



Lynn Barber

Była sobie dziewczyna

Tytuł oryginału: *An Education*

Z angielskiego przełożyła *Agnieszka Wyszogrodzka— Gaik*



TLR

Dla Rosie i Theo

TLR

Wstęp

W 2002 roku rozmawiałam z kolegą, dziennikarzem, który wspomniał Petera Rachmana, cieszącego się złą sławą właściciela nieruchomości w Londynie w latach pięćdziesiątych. Zaczął mi wyjaśniać, kim był Rachman, ale mu przerwałam.

— Tak, znałam go przelotnie, gdy chodziłam do szkoły. Kolega spojrział na mnie z niedowierzaniem.

— Znałaś Rachmana? Gdy chodziłaś do szkoły?

Wyjaśniłam mu, że kiedy jeszcze chodziłam do szkoły, miałam dużo starszego od siebie chłopaka, Simona, który zajmował się nieruchomościami. Czasami odwiedzaliśmy Petera Rachmana (choć nazywaliśmy go Percem — to było jego prawdziwe, polskie nazwisko) w jego licznych nocnych klubach. Wyjawiłam to bez ogródek i dostrzegłam, że brzmi mało wiarygodnie. Tak więc gdy kolega zaczął zadawać pytania — sceptyczne, jak przystało na dobrego dziennikarza — zrezygnowałam z prób wyjaśnienia czegokolwiek i zmieniłam temat.

Jednak potem myślałam długo i intensywnie o Simonie, po raz pierwszy od czterdziestu lat. Nie do końca wyparłam wspomnienie o nim, chociaż skutecznie wepchnęłam je w głęboki kąt szafy. Nie lubiłam o tym myśleć ani rozmawiać. Nie widziałam powodu, dla którego miałam o tym pamięć.

tać. To było jak, powiedzmy, okropny wypadek samochodowy, który miało się jako nastolatka i w konsekwencji którego przeszło się wiele poważnych operacji, ale na szczęście doszło się do siebie. Po co wracać do przykrych szczegółów? Wspomnienie o Simonie nie wiązało się z przyjemnością, dlatego wolałam o nim nie pamiętać.

Rozmowa o Rachmanie sprawiła, że pomyślałam: „Owszem, to jest bardzo dziwne, że znałam Rachmana, gdy miałam zaledwie szesnaście lat”. Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym więcej spraw związanych z moim nastoletnim życiem wydawało się dziwne. Dlaczego ja, typowa uczennica z Twickenham, biegałam po londyńskich nocnych klubach z oszustem? Dlaczego pozwalali mi na to rodzice? W ramach wyjaśnienia tego samej sobie spisałam wszystko, co pamiętałam i odkryłam, że gdy tylko odkopałam ów strumień nieruszanych wspomnień, nie dało się go zatrzymać. Zatem jako zwolenniczka porzekadła doktora Johnsona¹ głoszącego, że tylko dureń nie pisze dla pieniędzy, stworzyłam ze swych wspomnień mały pamiętnik i wysłałam go do przyjaciela, Iana Jacka, redaktora czasopisma „Granta”. Prosił mnie, bym napisała artykuł o zamiłowaniu do obserwowania ptaków, więc *Edukacja* musiała być dla niego zaskoczeniem, lecz opublikował tekst wiosną 2003 roku. Nieco zmienioną wersję możecie przeczytać w rozdziale drugim tej książki.

Wkrótce po ukazaniu się tekstu w „Granta” skontaktowała się ze mną moja agentka, informując, że Amanda Posey, producentka filmowa, chce się ze mną spotkać, aby przedyskutować nakręcenie filmu na podstawie

¹Samuel Johnson (1709-1784), angielski leksykograf, pisarz i krytyk (przyp. tłum.).

Edukacji. To był najmniej odpowiedni moment — mój mąż leżał w szpitalu w Middlesex, czekając na przeszczep szpiku kostnego, a ja dosłownie mieszkałam w szpitalu. Amanda Posey zaproponowała, że przyjdzie do pobliskiej kawiarni i spotka się ze mną wtedy, gdy będę mogła wyjść. Raczej niechętnie opuściłam szpital na pół godziny, aby spotkać się z nią i jej współpracowniczką, Finolą Dwyer. Amanda wydała mi się błyskotliwą młodą kobietą, ale tak bardzo odbiegała od mojego wyobrażenia o producencie filmowym (myślałam raczej o Harveyu Weinsteinie), że niemal podejrzewałam ją o fantazjowanie. Zapytała, czy chciałabym napisać scenariusz i zdawała się zachwycona, gdy odpowiedziałam przecząco. Oznajmiła, że ma kogoś na uwadze. Całe spotkanie wydawało mi się nierealne, ale w owym czasie wszystko sprawiało takie wrażenie, więc stwierdziłam: — Tak, proszę zrobić ten film.

Po czym wróciłam do szpitala i zapomniałam o niej.

Kilka miesięcy później otrzymałam kontrakt o objętości książki telefonicznej i dotarło do mnie, że Amanda Posey nie żartowała. Dowiedziałam się, że autorem scenariusza, o którym myślała, był jej chłopak — obecnie mąż — Nick Hornby. Cały pomysł wydał mi się bardziej prawdopodobny, zwłaszcza po spotkaniu z Nickiem. Było dla mnie dziwne (i nadal takie jest), że ten wybitnie „męski” pisarz tak dokładnie rozumie, co czułam jako szesnastoletnia uczennica, która z jednej strony była bardzo błyskotliwa, a z drugiej nie wiedziała o świecie nic. Zdawało się nawet, że rozumiał moich rodziców, a to więcej niż mogłam kiedykolwiek powiedzieć o sobie.

Na szczęście miałam dość rozumu, by umieścić w kontrakcie klauzulę stwierdzającą, że mogę przeczytać i skomentować (ale nie zmieniać) każdy scenariusz napisany przez Nicka Hornby'ego. To była edukacja sama w sobie — z biegiem lat i wraz z powstawaniem kolejnych szkiców (w sumie było ich chyba osiem) — sporo się dowiedziałam o pisaniu scenariuszy, gdy obserwowałam, jak ewoluuje dzieło Nicka. Pierwszy szkic był bardzo bliski mojej historii, co z okrucieństwem pokazało, że brakowało w niej właściwego zakończenia — po dojściu do dramatycznego punktu kulminacyjnego napięcie słabło. W kolejnych szkicach Nick walczył o stworzenie dobrego zakończenia i wreszcie to zrobił; ożywił też postaci bohaterów, będące wcześniej tylko nazwiskami, i napisał całe sceny, które w moim życiu w ogóle się nie wydarzyły. Bohaterka była wiolonczelistką w szkolnej orkiestrze, kupiła na aukcji obraz Burne'a— Jonesa i pojechała na psie wyścigi w Walthamstow, czego ja nigdy nie zrobiłam. Postaci jej rodziców powoli ewoluowały, przekształcając się z irytujących dinozaurów w rozumne istoty ludzkie. Czytając ósmy szkic, szlochałam ze współczucia dla swojego ojca — był to dziwny i być może terapeutyczny moment w moim życiu. Jedyną złą rzeczą, jaką zrobił Nick, była zmiana imienia Simon na David — a tak miał na imię mój mąż. W tej książce wróciłam do imienia Simon (choć też nie jest to jego prawdziwe imię).

Mijały lata, szkice scenariusza pojawiały się i znikwały, podobnie jak potencjalni sponsorzy. Ja poddałabym się już w drugim roku, lecz Nick, Amanda i ich współpracowniczka Finola Dwyer byli wytrwali i wreszcie, rok temu, rozpoczęła się produkcja filmu. Amanda zaprosiła mnie kilkakrotnie na plan, a potem pojawiła się pierwsza wersja po montażu. Byłam zachwycona

i mówiłam z dumą o swoim filmie, ale też czułam się zakłopotana, gdy pytano mnie, jak to jest, gdy widzi się na ekranie siebie w wieku szesnastu lat. Czy istnieje dobra odpowiedź na to pytanie? Jak głupim trzeba być, aby wierzyć, że aktorka, choć wyjątkowo dobra (Carey Mulligan), jest szesnastoletnią mną? Jednak skłoniło mnie to do zastanowienia się nad pamięcią, która nigdy nie była moją mocną stroną, oraz do podjęcia próby przypomnienia sobie jak najwięcej, zanim wspomnienia znikną na zawsze.

Jestem w wieku (sześćdziesiąt pięć lat), w którym większość ludzi obawia się choroby Alzheimera i wpada w panikę, gdy zapomni czyjeś imię. Ja nawet nie zauważę, kiedy zachoruję, bo przez całe życie miałam dziurawą pamięć. Zapamiętuję coś na krótko. Dawniej mogłam obryć się do egzaminu, a obecnie przygotować do wywiadu, czytając materiały dzień wcześniej, by zachować wiedzę dokładnie na dwadzieścia cztery godziny, a potem bum! — wszystko znika. To dlatego czuję się zażenowana, wpadając na kogoś, z kim przeprowadzałam wywiad — ludzie oczekują, że będę pamiętała wszystko, co ma związek z ich życiem, podczas gdy ja wymazuję te informacje, by zrobić miejsce dla następnych. Dzisiaj wręcz nie pamiętam, czy z kimś rozmawiałam. Albo nawet, czy z kimś spałam. Za każdym razem jestem nieco skrepowana, gdy spotykam mężczyzn, którzy twierdzą, że studiowali w Oksfordzie w tym samym czasie, co ja. Zastanawiam się wtedy, czy wylądowaliśmy razem w łóżku.

Są całe dziedziny, które opanowałam i z których nic nie pamiętam. Mam certyfikat dokumentujący, że potrafię stenografować sto słów na minutę. Jak ja to osiągnęłam? Przekupiłam egzaminatora? Miałam wysokie

oceny z łaciny dla zaawansowanych — *eheufugaces*, a nie jestem w stanie przetłumaczyć linijki z Horacego. W ramach krótkiej, nieprawdopodobnej kariery eksperta w sprawach erotyki napisałam książkę *Jak ulepszyć sobie męża w łóżku*, która w swoim czasie uchodziła za wiodący poradnik. Skąd miałam dość tupetu, by to zrobić? Spędziłam też pięć lat na badaniach i pisaniu książki *The Heyday of Natural History* (Czasy świetności historii naturalnej), co wiązało się z czytaniem wszystkich popularnych książek z dziedziny historii naturalnej z epoki wiktoriańskiej. Zniknęło, wszystko zniknęło. Zdaje się, że mam w mózgu jakiś przycisk automatycznego czyszczenia, który sprawia, że gdy już uporam się z jakimś tematem, nie muszę nic pamiętać. Nie przeszkadza to w mojej pracy dziennikarki, lecz nie jest już takie dobre w życiu. Moi przyjaciele czują się zranieni, gdy nie pamiętam rozmów, które odbyliśmy kilka tygodni wcześniej.

— Przecież ci mówiłam, Lynn! — wołają często.

— Wiem, wiem — odpowiadam szybko. — Było jednak tak ciekawe, że chciałabym usłyszeć to raz jeszcze.

Mam pewne strategie zapamiętywania. Od trzydziestego roku życia codziennie wypełniam dziennik (który wcześniej zapisywałam dość nieregularnie), żeby mieć możliwość sprawdzenia czegoś. W ubiegłym roku moja starsza córka, po raz pierwszy będąca w ciąży, spytała, jak długo trwał poród, gdy ją rodziłam. Nie miałam pojęcia, ale znalazłam dziennik z 1975 roku, poszukałam pod datą 3 maja i odkryłam — rany! — że tylko dwie godziny. Gdybym jej powiedziała, że dwie godziny, nie uwierzyłaby mi. Sama sobie bym nie uwierzyła. Jednak moją główną podporą przez większą

część życia był David, mój mąż, który wszystko pamiętał. Najbardziej przydatne było to, że pamiętał imiona ludzi oraz kiedy ich poznaliśmy i o czym rozmawialiśmy, dzięki czemu mógł mi dyskretnie podpowiadać w sytuacjach towarzyskich. Lecz nawet on był kiedyś zaszokowany, gdy podczas jakiejś kolacji ktoś opowiadał o Chinach, a ja stwierdziłam:

—Chciałabym pojechać do Chin! David oznajmił:

—Byłaś tam, Lynn. W 1985. Bardzo ci się nie podobało.

Wszyscy się na mnie gapili.

To dla was ostrzeżenie, że jesteście w rękach mocno nierzetelnej pamiętnikarki, której pamięci nie można ufać. Gdy tylko miałam możliwość, weryfikowałam informacje, zaglądając do swoich pamiętników lub artykułów, jednak nigdy nie byłam niewolnicą faktów. Lecz czy to ma znaczenie? Kto jest właścicielem wspomnień? Kiedyś napisałam do „Independent on Sunday” artykuł o swoim dzieciństwie w latach pięćdziesiątych i ciotka Ruth (siostra ojca) ostro sprzeciwiła się mojemu stwierdzeniu, że przez rok nie jadłam nic innego oprócz tostów z jajecznicą. Oświadczyła, że to bzdury i potworne oszczerstwa dotyczące mojej matki. Skąd jednak ciotka Ruth mogła to wiedzieć? Spotykaliśmy ją raz w roku w Boże Narodzenie i najprawdopodobniej wtedy jadłam indyka. Moja matka, co jest dla niej typowe, twierdzi, że nie ma pojęcia, co jadłam. Ma teraz dziewięćdziesiąt dwa lata i pamięta to, co chce pamiętać. Całą resztę zapomina. Mnie to nie przeszkadza.

Dzieciństwo

Wiem, że pamiętniki powinno rozpoczynać opowiadanie o przodkach, jednak ja ich nie mam, ponieważ moi rodzice pochodzą z niższych, niepamiętanych sfer. Nie ma żadnej siedziby rodowej, nie ma też, o ile mi wiadomo, żadnej rodowej wioski. Jedynym wybitnym, dalekim krewnym, o którym kiedykolwiek słyszałam, był praprawuj ze strony matki, naczelnik stacji Swaffham w hrabstwie Norfolk. Oczywiście, w czasach wiktoriańskich pozycja naczelnika stacji to było coś. Pamiętam, że raz widziałam zdjęcie w sepii przedstawiające wuja w mundurze, który rzeczywiście wyglądał wspaniale, niemniej nie sądzę, bym musiała raczyć was (lub siebie) zgłębianiem historii naczelnika stacji Swaffham.

Pewnego dnia, gdy jechałam autostradą M3, zauważyłam zjazd na Bagshot. Pomyślałam: „Moje miejsce urodzenia! Może powinnam je zobaczyć?”. Podczas rozważania za i przeciw, oddaliłam się od zjazdu na Bagshot o kilka kilometrów, dlatego też to miejsce, podobnie jak naczelnik stacji, pozostało mi nieznane. Tylko się tam urodziłam. Mama mieszkała z rodzicami w Sunningdale w hrabstwie Berkshire, a w Bagshot znajdował się najbliższy oddział położniczy. Bez wątpienia jest to urocze i przyjemne miejsce, wiem jednak o nim tylko tyle, że urodziłam się tam 22 maja 1944 roku i przeżyłam.

Mama mieszkała z rodzicami, bo mój ojciec nadal walczył na wojnie, a w zasadzie naprawiał radiostacje w czołgach w Catterick. Miał tak kiepski

wzrok, że nigdy nie skierowano go do służby czynnej. Spędził wojnę spokojnie w Anglii. Poznał moją matkę, gdy oboje stacjonowali w Birmingham — ona kierowała karetką, a on ochraniał szpital dla psychicznie chorych. Ojciec mówi, że była najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek w życiu widział — chociaż było to, zanim wypadły jej zęby. Gdy była dziewczynką, a potem dwudziestolatką, miała potwornie wystające zęby. Potem jednak — co w czasie wojny zdarzało się często ze względu na niedobory wapnia — wszystkie jej wypadły. To była najlepsza rzecz, jaka mogła się wydarzyć. Z nowym garniturem porządnie wyglądających zębów z Narodowego Funduszu okazała się prawdziwą piękną, którą często porównywano do gwiazdy filmowej Rosalind Russell. Miała gęste, czarne falowane włosy, piwne oczy, brzoskwiniową cerę, duży biust i długie nogi. Ludzie pewnie zastanawiali się, jak taka piękność mogła poślubić takiego okularnika, jak mój ojciec. Wyjaśnienie kryło się w jej przedmałżeńskich zębach.

Moje wspomnienia zaczynają się w czasach powojennych, gdy mieszkaliśmy w wynajmowanym mieszkaniu nad pasażem handlowym w Ashford w hrabstwie Middlesex. Pamiętam widok gąsienicy na zasłonie i odgłosy szczurów hałasujących w pojemnikach ze śmieciami na podwórku. Najważniejszą rzeczą, którą pamiętam z czasów, zanim skończyłam trzy lata, był duży wózek dziecięcy stojący w rogu salonu i to, że pewnego dnia zniknął. Zapytałam mamę, gdzie jest. Powiedziała, że go oddała, lecz w sposobie, w jaki to zrobiła, była pewna niezręczność. Właśnie dzięki temu zapamiętałam owo zdarzenie. Przypuszczam, że było to pierwsze przeczucie, że zostanę jedynaczką.

Bycie jedynaczką jasno definiowało mój charakter. Oznaczało, że większość dzieciństwa byłam bardzo samotna, a moim towarzystwem były wyłącznie książki i wymyślony przyjaciel, Kay. Aż do dziesiątego lub jedenastego roku życia nie miałam żadnych przyjaciół, co dzielnie znosiłam w czasie roku szkolnego, ale w czasie wakacji było to bolesne. Najgorsze ze wszystkiego były coroczne wakacje nad morzem — tydzień z rodzicami w pensjonacie w Lowestoft. Siedziałam na plaży z nosem w książkach i zazdrościłam innym dzieciakom, które się bawiły. Zazdrościłam im, a równocześnie gardziłam nimi. Jak mogły być takie dziecinne? Śmiały się tylko dlatego, że uganiały się za piłką? Najwyraźniej na tym polegała zabawa. Tęskniłam za nią, a jednocześnie uważałam, że nie jestem do niej stworzona. Nawet gdyby dzieciaki z plaży zaprosiły mnie do gry (nigdy tego nie zrobiły), nie wiedziałabym, co mam robić.

Byłam nie tylko jedynym dzieckiem, ale też, jak sędzę, wyjątkowo izolowanym. Rodzice chyba nie mieli żadnych przyjaciół. Ojciec chodził do klubu brydżowego (był mistrzem hrabstwa), a matka należała do amatorskiego towarzystwa teatralnego, lecz jeśli mieli tam jakichś znajomych, nigdy nie zapraszali ich do domu. Nie mieliśmy też żadnych krewnych w Londynie. Matka była jedynaczką, więc jej rodziną byli tylko rodzice. Ojciec miał rodzeństwo, z którego dwoje miało dzieci, ale rzadko się spotykaliśmy, bo mieszkali w Lancashire. Pragnęłam być częścią wielkiej rodziny, „plemienia” z mnóstwem kuzynów — myślałam, że kuzyni byliby idealni, lepsi od braci i sióstr, którzy mogliby zagrozić mojej władzy. Najbardziej chciałam poznać nie inne dzieci, ale inne rodziny, by zobaczyć, jak wyglą-

dają ich wzajemne relacje. Nie udało mi się to aż do czasów, kiedy dorosłam.

Rodzicom, jako pierwszemu pokoleniu imigrantów, udało się dostać do klasy średniej, dzięki ukończeniu szkół ponadpodstawowych. Rodzina ojca była bardzo uboga — mój dziadek, włókniarz, zmarł z wycieńczenia, gdy tata miał cztery lata. Babka utrzymywała czworo dzieci z niskiej renty wdowy. Mieszkali w Bolton w hrabstwie Lancashire, w pobliżu zakładu włókienniczego. Ojciec pamięta, że wielkim świętem dla rodziny była wyprawa do wuja w niedzielne popołudnie, by zjeść miskę tłuczonych ziemniaków z sosem z lunchu. Od czasu do czasu znajdowało się w nim kawałek mięsa. Tata wspominał, jak zdobył w szkole nagrodę i wyszedł ją odebrać w nowych butach, które babcia kupiła na tę okazję — były wściekle pomarańczowe i wszyscy się śmiali.

Ojciec dostał się na studia matematyczne na uniwersytecie w Manchesterze, ale nie było go na nie stać. Zaciągnął się do służby cywilnej i po powrocie z wojny ukończył studia prawnicze w szkole wieczorowej. Pamiętam, że gdy byłam mała, mama mówiła:

— Cii. Tata zajmuje się deliktamf^{*2}.

Nie wiedziałam, co to oznacza, lecz intuicyjnie czułam, że to coś straszego — gdy zbliżał się termin egzaminów końcowych, kark taty pokrywały rozognione czyraki. Zdobył tytuł, stopniowo wspinał się po szczeblach kariery w biurze podatków spadkowych i miał pensję pracownika klasy śred-

²* Czyn niedozwolony, wykroczenie przeciw prawu (przyp. red.).

niej, jednak mimo to zachowywał się, jakby pozostał w klasie robotniczej. Był niezwykle inteligentny, ale towarzysko nieokrzesany. Gdy mówił: „Zgarnij skorupy” z silnym akcentem z Lancashire, pytałam, czy mam posprzątać ze stołu. Mama wzdychała i mówiła:

— Przecież tata o to prosił.

Narzekaliśmy też na jego zwyczaj wychodzenia z domu z kawałkami papieru przyklejonymi do twarzy, gdy pozacinał się przy goleniu. Matka była bardziej obyta, lecz, jak powiedziałam ojcu, miała umysł na czwórkę, może czwórkę z minusem.

Pochodziła z nieco lepszej rodziny niż ojciec — bardziej wiejskiej niż miejskiej, zajmującej się usługami, nie produkcją, z wybitną postacią naczelnika stacji Swaffham w tle. Jej ojciec (wyjątkowo przystojny mężczyzna) miał rentę inwalidzką z powodu zatrucia gazem bojowym w czasie pierwszej wojny światowej i od czasu do czasu pracował na poczcie lub jako ogrodnik; babka była wykwalifikowaną instruktorką pływania. Mieszkali w domu z dwoma pokojami na dole i dwiema sypialniami na górze w Sunningdale, będącym w owym czasie wsią. W weekendy jeździli na pole golfowe w Wentworth, żeby zarobić kilka pensów za znalezione piłeczki golfowe. Moja matka, pomimo umysłu na czwórkę, dostała stypendium do szkoły średniej, a potem do London Academy of Music and Drama (LAMDA; Londyńska Akademia Muzyki i Sztuk Teatralnych). Miała nadzieję, że zostanie aktorką, ale skończyło się na dyplomie uprawniającym do uczenia dykcji, o czym później.

Rodzice wychowywali się w rodzinach metodystów, lecz gdy pojawiłam się na świecie, ich religią stała się nauka, nauka i jeszcze raz nauka. Od dziecka musiałam zdawać wszelkie egzaminy, zdobywać wszelkie stypendia i miałam pójść na studia — w Cambridge, jeśli okazałabym się uzdolniona matematycznie, jak ojciec, lub w Oksfordzie, gdybym miała artystyczną naturę, jak matka. Ojciec często cytował Charlesa Kingsleya: „Bądź dobra, słodka panno, i pozwól innym być mądrymi”. Mówił to jednak sarkastycznie — chciał, żebym była mądra i pozwoliła innym być dobrymi.

Matka nauczyła mnie czytać na długo przed tym, zanim poszłam do szkoły, więc pierwszego dnia w szkole podstawowej w Ashford byłam zdumiona, gdy znalazłam się w klasie matołów, którzy nie znali nawet alfabetu. Rzecz jasna, taka postawa nie czyniła mnie popularną wśród kolegów z klasy. Nie byłam też lubiana przez nauczycieli, bo odmawiałam jedzenia szkolnych posiłków. W szkole panowała zasada — jak w większości ówczesnych szkół — że nie można było wstać od stołu, dopóki nie zjadło się całego lunchu. Tak więc jakaś biedna nauczycielka marnowała całą przerwę, siedząc ze mną i zmuszając mnie do jedzenia. Nigdy nie jadłam. Wreszcie matka poszła na spotkanie z dyrektorką i wróciła do domu po zawarciu satysfakcjonującego kompromisu: mogę zostawiać część lunchu pod warunkiem, że zjem cokolwiek. Najczęściej mi się udawało, jednak raz w tygodniu podawano gulasz z chrząstkami, którego nie byłam w stanie tknąć. Tamtego dnia poszłam do kina, gdzie w dyskretnej wystawności restauracji Odeon byłam obsługiwana przez kelnerkę. Zamówiłam zupę z

pieczonymi ziemniakami. To była pierwsza, cenna lekcja nagradzania nie-
ustępliwości.

Tylko tyle pamiętam z Ashford; prawdziwe wspomnienia zaczynają się po tym, jak przeprowadziliśmy się do Twickenham, gdy miałam osiem lat. Rodzice mówili, że kupili wielki, stary dom — byli tak podekscytowani, że powtarzali to bez końca. Moje wyobrażenie o wielkim, starym domu było inspirowane lekturą takich książek, jak *Tajemniczy ogród*, więc myślałam o pełnym zakamarków, wielopiętrowym domu ze strychem i z parapetami oraz ukrytą klatką schodową. Martwiłam się, że mogłabym się zgubić w piwnicy albo że mój pokój w zachodnim skrzydle będzie nawiedzać bezgłowa zakonnica. Gdy wreszcie zobaczyłam dom pod numerem 52 przy Clifden Road w Twickenham, zaśmiałam się z niedowierzaniem:

— Mówiliście, że jest duży!

Teraz rozumiem, że był duży według standardów rodziców. Solidny edwardiański dom z trzema pokojami na dole i trzema sypialniami na górze, który miał taras i werandę oraz oranżerię i długi ogród z tyłu. (Domy przy Clifden Road osiągają obecnie ceny blisko miliona funtów). Niemniej ja upierałam się przy przekonaniu, że rodzice mnie okłamali i przez lata zrzedziłam: „Mówiliście, że jest duży!”.

Dom stał naprzeciwko żeńskiej szkoły średniej Twickenham County Grammar, ale przyjmowano tam tylko dziewczynki od jedenastego roku życia, więc musiałam chodzić do podstawówki na drugim końcu miasta. Była to szkoła koedukacyjna, w której roiło się od chłopaków krążących wokół sanitariatów na boisku — podskakiwali, żeby zajrzeć do środka znad

drzwi. W konsekwencji panicznie bałam się chodzić do toalety i narzuciłam sobie reżim dotyczący tego, co i o jakiej porze mogę jeść. Przez rok — z całym szacunkiem, ciociu Ruth — nie jadłam niemal nic oprócz tostów z jajecznicą. W kolejnym roku był to ekstrakt z drożdży i warzyw. Na szczęście określenie „zaburzenia żywienia” nie było wówczas znane, bo rodzice martwiliby się o mnie — chociaż, po zastanowieniu, stwierdzam, że chyba jednak nie, dopóki moje oceny byłyby dobre, a ja oczywiście takie miałam. Rywalizowałam z inną błyskotliwą dziewczyną, Marga— ret M., i co tydzień na zmianę zdobywałyśmy złotą gwiazdkę — nikt inny nie miał szans. W konsekwencji pozostali uczniowie nienawidzili nas, więc my ich również, ale jeszcze bardziej nienawidziłyśmy siebie nawzajem.

Jedyną dobrą rzeczą, jaką pamiętam z pierwszych lat w Twickenham był wieczór, w którym skończyła się reglamentacja słodyczy. Rodzice zabrali mnie do kina — chodziliśmy tam przynajmniej raz, a często dwa razy w tygodniu i oglądałam wspaniałe, nieodpowiednie filmy, takie jak *Bosonoga Contessa* („Co to znaczy, że on był ranny w czasie wojny, mamó? Jaka to była rana? Dlaczego to oznacza, że nie może jej poślubić?”), lecz owego wieczoru nudziłam się do chwili, gdy światła się zapaliły i kierownik kina wyszedł na scenę, by oznajmić:

— Panie i panowie, usłyszeliśmy w radiu, że skończyła się reglamentacja słodyczy. W holu mamy pełen wybór cukierków i czekolad.

Wszyscy rzucili się w stronę drzwi. Ojciec, oczywiście, tego nie zrobił. Nie rozumiał „owego zamieszania” wokół słodyczy, ale matka je rozumiała i kupiła opakowania toffi i rodzynek w czekoladzie. Zjadłam je wszystkie,

aż zrobiło mi się niedobrze. Od tamtej pory nie przepadam za słodyczami, ale wówczas była to historyczna chwila.

Gdy miałam dziesięć lat, rodzice podjęli wielkie ryzyko finansowe i posłali mnie do szkoły podstawowej Lady Eleanor Holles (LEH), niezależnej, płatnej szkoły w oddalonym o kilka kilometrów Hampton. Wyobrażali sobie, że jeśli przez rok będą płacić za moją edukację w szkole podstawowej, dostanę stypendium do szkoły średniej, co rzeczywiście miało miejsce. W szkole Lady Eleanor Holles po raz pierwszy spotkałam się z dziewczętami z dość bogatych środowisk — niektóre miały nawet własnego kucyka. Nadstawiałam uszu, gdy się przechwalały nowym jaguarem taty lub lodówką mamy. Snobizm w LEH był tak zaciekły, ponieważ miał miejsce w obrębie małej społeczności: dziewczyny z Oxshott gardziły tymi z Ewell, te z kolei gardziły dziewczynami z Kingston; właścicielki jaguarów gardziły właścicielkami wolseleyów, a wszystkie zachłysnęły się, gdy rodzice cichej dziewczyny, na którą nikt nie zwracał uwagi, przyjechali na rozdanie nagród rolls-royceem.

Dostrzegłam, że nie wygram w tym wyścigu snobizmu — nie mieliśmy samochodu, nie mówiąc już o padoku, więc nie starałam się kłamać i powiedziałam wszystkim, że jestem nędzar—ką i najmądrzejszą dziewczyną w szkole, co prawdopodobnie było zgodne z prawdą. (Obecnie Lady Eleanor Holles jest szkołą na wysokim poziomie, ale wtedy tak nie było). Opłaciło się. Właścicielki kucyków uznały, że fajnie jest mnie znać — byłam nowością w ich świecie. I były hojne: pożyczały mi ubrania na imprezy i oddawały talony na książki, które dostały pod choinkę, a z których,

w.przeciwieństwie do mnie, nie potrafiły zrobić użytku. W rezultacie zawsze miałam trudności z odczuwaniem nienawiści do bogaczy, co powinno być cechą dobrej lewicowej dziennikarki. Dziewczynom z LEH podobała się obecność nędzarki w ich gronie, a mnie podobało się posiadanie po raz pierwszy w życiu przyjaciółek. To był wspaniały dzień, gdy przeszliśmy do liceum i aż trzy dziewczyny rywalizowały o to, by ze mną siedzieć w ławce. Najprawdopodobniej miały nadzieję ściągać ode mnie, niemniej ja pławiłam się w popularności.

Jedynym mankamentem LEH, z mojego punktu widzenia, było to, że szkołę otaczały wielkie boiska, na których grałyśmy w różne gry. Najgorsza była gra w lacrosse, której założenie, że da się biec, równocześnie trzymając w prymitywnej rakiemie śnieżnej piłkę nad głową, podczas gdy inne dziewczyny rzucają w ciebie swoimi raketami i próbują cię podciąć, było moim zdaniem głupie. Szaleństwem było podjęcie próby uczestniczenia w tej grze. Potem brałyśmy razem prysznic, a pani od wychowania fizycznego — lesba — gapiała się pożądliwym wzrokiem na nasze kiełkujące piersi i krzaczki. W końcu zmusiłam rodziców do napisania usprawiedliwienia, że mam słabe kostki i nie powinnam w nic grać. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że teraz musiałam chodzić na zajęcia podiatrii i nauczyć się podnosić ołówki palcami stóp. Potem podiatra powiedział, że powinnam jeździć na łyżwach, aby wzmocnić kostki, i nawet zdobył dla mnie darmową kartę wstępu na niedzielne wejścia na lodowisko Richmond Ice Rink. Boże, myślałam, że lacrosse było straszne, ale jazda na łyżwach była przerażająca. Teoretycznie środek lodowiska był spokojnym miejscem, gdzie można było ćwiczyć figury, lecz żeby się do niego dostać, na-

leżało przebić się przez wielu pędzących łyżwiarzy. Pewnego razu widziałam, jak komuś odcięto kawałek palca, gdy upadł. Łyżwiarze rozwlekali krew wokół lodowiska do chwili, gdy porządkowi ich nie zatrzymali.

Drugim wielkim przekleństwem tamtych lat były lekcje dykcji prowadzone przez matkę. Gdy mieszkaliśmy w Ashford, pracowała dorywczo w domu handlowym w Windsorze, ucząc ekspedientki mówić z akcentem wyższych sfer, a gdy przenieśliśmy się do Twickenham, zamieniła pokój od ulicy w „studio”, powiesiła na ścianie certyfikat LAMDA i dawała lekcje w domu. Chciała umieścić tablicę z informacją o lekcjach dykcji na bramie, ale ojciec i ja sprzeciwiliśmy się — ojciec ze względu na to, że prawdopodobnie musielibyśmy płacić podatki, a ja z tego powodu, że chyba podciąłabym sobie żyły ze wstydu.

W owych czasach — w latach pięćdziesiątych — nauczycieli dykcji można było znaleźć w każdym mieście. W samym Twickenham było ich troje, a za rzeką, w Richmond, kolejne pół tuzina. Twierdzili, że uczą aktorstwa, „projekcji” i sztuki wystąpień publicznych, jednak tak naprawdę uczyli mówienia z akcentem wyższych sfer lub jakiejś jego wersji. Jeśli matka mówiła o kimś, że „ma lekki akcent”, nie miała na myśli akcentu regionalnego, czy nawet cockneya, lecz najstraszniejszego ze wszystkich, czyli akcentu pospółstwa. To oznaczało mówienie „kupywać” zamiast „kupować”, wprowadzanie słów z gwary lub mówienie „se” zamiast „sobie”. „Muszę sobie kupować świeże warzywa dwa razy w tygodniu, by nie kombinować, co sobie ugotować na obiad”, to był dobry sprawdzian. Celem lekcji dykcji było wyplenienie akcentu pospółstwa i nauczenie ekspe-

dientek mówienia jak damy, choć bez wyjątku kończyło się na tym, że mówiły jak ekspedientki z pretensjami. W Windsorze mama nauczyła sprzedawczynie mówić: „Życzyłaby sobie pani przymierzyć większy rozmiar, proszę pani?”.

Matka powtarzała mi, że dobrze wyćwiczony mówca mógłby recytować książkę telefoniczną Londynu i sprawić, że byłoby to interesujące. (Już jako dorosła zauważyłam, że wielu aktorów wypowiadało swe kwestie, jakby recytowali londyńską książkę telefoniczną i jakby słowa nie miały żadnego znaczenia). Wymowa miała być popisem dykcji, artykulacji, projekcji, intonacji, chiaroscuro, tembru głosu, lekkości, barwy, wibracji, crescendo, diminuendo w czasie recytowania, na przykład:

<i>AU along the backwater,</i>	Na całym rozlewisku,
<i>Through the rushes tali,</i>	Gdzie tylko sitowie i trzcina,
<i>Ducks are a— dabbling</i>	Wszystkie kaczki dziobią wodę,
<i>Up tails ali!</i>	Każda kuper wypina!
<i>Duckś tails, drakeś tails,</i>	Żółte nóżki powietrze tną skocznie,
<i>Yellow feet a— quiver,</i>	Kupry wdzięcznie się kręcą, wibrują,
<i>Yellow bills ali out of sight,</i>	Żółte dzioby zaś są niewidoczne —
<i>Busy in the riveri</i>	Niestrudzenie pod wodą buszuja!

Kenneth Grahame *Ducks Ditty* (Kacza śpiewka)*³

Wiele się mówiło o głoskach wargowych, spółgłoskach zwar— to—wybuchowych i oddechu przeponą. Matka robiła największe wrażenie, gdy demonstrowała oddychanie przeponą, ponieważ miała duży biust, który unosił się kilka centymetrów, kiedy brała wdech, i powoli opadał, kiedy robiła wydech, mrużąc „om” znacznie dłużej, niż wydawało się to możliwe, i kończyła „pa”! Kazała uczniom kłaść dłoń na swojej przeponie, gdy prezentowała ten wyczyn, wzbudzając w nich konsternację.

Każda lekcja zaczynała się od oddychania — mrużenia „om” i wykrzykiwania „pa” — po czym następowało ćwiczenie na wymawianie samogłosek: *Behold he sold the old rolled gold bowl*, w czasie którego rozgrywała się prawdziwa walka z mową pospółstwa. Potem były łamańce językowe: *An anemone, my enemy; Unique New York; Red lorry, yellow lorry; Selfish shellfish; The sixth sick sheiks sixth sheep's sick, Six thick thistle sticks, six thick thistles stick; The Leith police dismisseth us i Three free throws* — chyba nikt nie wymawiał ich prawidłowo, nawet moja matka. Potem następowało skubanie bażanta, przez które każdy z łatwością mógł się pogubić:

³ * Wszystkie cytowane wiersze w przekładzie Jerzego A. Nowakowskiego.

I am not the pheasantplucker, Ja nie jestem bażantów skubaczem,
I am the pheasant plucker's mate. Ja pomagam tylko kumplowi, ;
I am only plucking pheasants A że skubię bażanta, to znaczy,
'Cos the pheasant plucker's late. Że skubanie idzie wolno skubaczo-
wi.

Na koniec ćwiczenie w akcentowaniu spółgłosek, które należało wykrzykiwać, maszerując po pokoju i wymachując ramionami.

Zinty tinty tuppenny bun! Ene, due, like, rabe,
The fox went out to have some fun! Poszedł lisek na zabawę!
He had some fun!. Frajdę miał niesamowitą!
He banged the drum! Bił w bębenek rudą kitą!
Zinty tinty tuppenny bun! Ene, due, bajda, pajda,

Bić w bębenek to jest frajda!

To był mój codzienny muzak*⁴, który słyszałam, odkąd przeprowadziliśmy się do Twickenham, czyli gdy miałam osiem lat, i trwał do czternastego roku życia, kiedy mama przestała pracować w domu i podjęła

⁴* Lekka muzyka nadawana przez głośniki.

pracę nauczycielki w szkole. W studiu mamy zawsze był jakiś uczeń, gdy wracałam ze szkoły. Mogłam dość dokładnie określić czas na podstawie tego, czy byli na etapie „om” i „pa!”, czy też *behold he sold the old rolled gold howl*. Wchodziłam najciszej, jak umiałam, ignorując uczniów, którzy czekali w przedpokoju, robiłam sobie filiżankę herbaty i siadałam w pokoju śniadaniowym, by odrobić pracę domową. Przez ścianę zawsze słyszałam „om” i „pa!”. Potem następowała straszna chwila, gdy przechodzili do stałych fragmentów, które musieli opanować na potrzeby egzaminów i konkursów. Jak dobrze znałam je wszystkie!

Dirty British Steamer with Obskurny parowiec brytyjski
a salt— caked smoke Stack z kominem do cna zasiarczonym,
Butting through the Channel sterczącym nad kanałem,
in a mad March haze przez mgły się przedziera po omacku.
With a cargo ofTyne coal, W ładowniach ma węgiel znad Tyny,
road rails, pig lead ołów nieprzetopiony,
Firewood, ironware drewno na opał, żelastwo
and cheap tin trays. i tanie cynowe tacki.

John Masefield, *Cargoes* (Ładunki)

*Up the airy mountain
Down the rushy glen We da-
ren't go a— hunting For fear
of little men.*

Gdzie góra powabem horyzont prze-
słania, W dolinę, gdzie zieleń z zielenią
się splata, Tam strach się zapuszczać na
łowy, polowania, Tam można się natknąć
na skrzata.

William Allingham, *The Fairies* (Duszki)

*Do you remember an Inn,
Miranda?*

*(Under the vine
of the dark verandah?)*

Do you remember an Inn?

Do you remember an Inn,

And the bedding

Miranda?

and the spreading

Do you remember an Inn?

Of the straw for a bedding

Czy pamiętasz oberżę, Mirando?

And the fleas that tease

Czy pamiętasz z oberży widoki?

in the High Pyrenees

Roztrząsanie,

And the wine

układanie

that tasted of the tar?

złotej słomy na posłanie, pchły

And the cheers and the jeers

drażniące nasze zmysły w Pirene-

of the young muleteers

jach Wysokich, i to wino,

co smak miało chyba dzieg-
ciu?

Serie hurra okrzyków

i szyderstwa mulników

(W ocienionej winorośli

werandzie)?

Czy pamiętasz oberżę,

Mirando?

Oberżę, Mirando, pamię-
tasz?

TLR

Hilaire Belloc, *Tarantella*

Wiele lat później, gdy czytałam angielską literaturę w Oksfordzie, nauczyłam się znacznie lepszych wierszy na pamięć — sonetów Szekspira, ód Keatsa, utworów Yeatsa — lecz gdyby ktoś przyłożył mi do głowy pistolet i kazał recytować wiersz, niemal na pewno byłyby to *Ładunki* lub *Czy pamiętasz oberżę, Mirando?* Nadal *l*Azrza się, że pewne wiersze przypominają mi się nieproszone — niechciane! — w dziwnych momentach dnia. Mamroczę: „Obskurny parowiec brytyjski z kominem do cna zasiarczonym”, gdy pcham wózek alejkami w supermarkecie Waitrose, albo mówię: „Jest tam kto? Zapytał podróżny”, gdy czekam na połączenie z centralą.

Wydaje mi się, że wiersze, których uczyła moja matka, w większości uchodziły w owym czasie za nowoczesne lub modernistyczne, bo nawiązywały raczej do Browninga niż Words—wortha. Jednak skoro były nowoczesne, to dlaczego tak obsesyjnie mówiły o skrzatach i elfach? Skąd się to wzięło? Czy elfy przeżywały jakiś renesans, być może w związku z odrodzeniem kultury celtyckiej w pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku? Oczywiście, jak tylko napisałam o elfach, pomyślałam o Tolkienie. Przypomniał mi się też boom z lat trzydziestych na kulturę ludową, mający związek z tańcem morris i Cecilem Sharpem, który też musiał odgrywać tu jakąś rolę. Niemniej elfy i tak były potwornie irytujące.

W czasie konkursów dykcji i egzaminów wierszy nie wystarczyło recytować — wszystkim słowom musiały towarzyszyć gesty. Dlatego wszelkie nawiązania do księżyca, słońca, gwiazd i pogody wymagały patrzenia do góry, a odniesienia do burzy, deszczu, mrozu wiązały się z owijaniem ramion wyimaginowanym szalem i chuchaniem na paznokcie. (Czy w realnym życiu ktokolwiek chucha na paznokcie? Nigdy czegoś takiego nie widziałam). Szloch lub nawet lekki żal wiązały się z ocieraniem oczu wierzchem dłoni, śmiechowi towarzyszyło żywe potrząsanie ramionami w stylu Edwarda Heatha. Elfy i wróżki zawsze zaczynały przemowy w kucki, po czym podskakiwały, okręcały się i biegały szaleńczo po scenie z wyciągniętymi ramionami. Wykonywanie podskoków było wymogiem. Szukanie czegoś lub rozgfądanie się wiązało się z koniecznością przyłożenia do czoła dłoni tak, by osłaniała oczy przed światłem, towarzyszył temu gest wskazywania na coś. Wszystkie te czynności były męczące i, rzecz jasna, zbijające z tropu. Jednak nic nie mogło się równać z wygibasami związanymi z dialogiem w wykonaniu jednej osoby. Sądzę, że dialog taki był ciekawym wymogiem na potrzeby lekcji elokucji*⁵. Polegał na odgrywaniu ról dwóch osób (jeśli miało się szczęście; niestety, zazwyczaj była to jedna osoba i elf)> co wymagało ogromnej sprawności, bo należało wykonywać półobrót za każdym razem, gdy zmieniał się mówiący. W miarę możliwości, trzeba było zmieniać pozycję ciała (jeden z bohaterów kucał), jak też mówić z innym akcentem, a przynajmniej inną barwą głosu, by różnicować role.

⁵ * Elokucja (z łac. *ebcutio*) — poprawne, jasne i ozdobne wysławianie się (przyp. red.).

Był pewien szczególnie okropny kawałek zatytułowany *Podsluchane na Salmarsh* (sic! — zapewne chodziło o saltmarsh — słone błota) autorstwa Harolda Munro. Brzmiał on tak:

TLR

Nymph, nymph, what are your beads? Green glass, goblin.

Why do you stare at them?

Give them me.

No.

Give them me. Give them me. No.

Then I will howl all night in the reeds,

Lie in the mud and howl for them. Goblin, why do you love them so? Etc., etc.

Nimfo, nimfo, jakie masz paciorki? Ze szkła zielonego, karle.

Czemu im się tak przyglądasz?

Daj mi je.

Nie.

Daj mi je, daj, daj, daj.

Nie.

Wiesz, nimfo, co ci powiem? Nocą legnę w sitowiu. Będę z żalu za nimi zawodził! Czemu je tak polubiłeś, karle? Etc, etc.

Z jakiegoś powodu nimfa zawsze stała na paluszkach, z ramionami wyciągniętymi do tyłu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, co miało sugerować skrzydła, podczas gdy karzeł kuczał z jedną ręką nad głową, co miało wskazywać na ohydę lub fizyczną deformację. Mówił głębokim, szorstkim głosem, zaś nimfa mówiła wysokim głosikiem, jak nasza nowa królowa Elżbieta. Celem ćwiczenia było szybkie zmienianie brzmienia głosu i ustawienia ciała, pewnie po to, by publiczność nie umarła z nudów. Zawsze chętnie przechodziłam do kolejnej linijki, wirowałam, obracałam się i kuczałam, niczym obłąkany akrobata, ale równocześnie mamrotałam do siebie i liczyłam sekundy do czasu, kiedy się to skończy.

Najstraszniejszy ze wszystkich stałych fragmentów był kawałek z *Targowiska karzełek* Christiny Rossetti, który wymagał ruchów w stylu tańca derwiszów:

Laughed every goblin Karzełki zachichotały,

When they spied her peeping: Widząc, że ich wypatruje,

Came towards her hobbling, Rzuciły się ku niej śmiało,

Flying, running, leaping, To frunąc, to podskakując.

Puffing and blowing, Dyszą, sapia, puchają,

Chuckling, clapping, crowing, Kwaczą, pieją i gdaczą,

Clucking and gobbling, ; Gulgoczą i wybuchają

<i>Mopping and mowing,</i>	Raz śmiechem, a raz płaczem.
<i>Full of airs and graces,</i>	Wdzięk i gracia prawdziwe,
<i>Pulling wry faces,</i>	Lecz strach patrzeć na tę sfore,
<i>Demure grimaces,</i>	Na twarzach grymas wstydlivy,
<i>Cat-like and rat-like,</i>	Usta krzywe w esflores.
<i>Ratel- and wombat-like,</i>	Ten kot, ten szczur - do połowy,
<i>Snail-paced in a hurry.</i>	U tego szpony szatańskie,
Et bloody cetera.	Ten - ratel szerokogłowy,
	A tamten — wombat tasmański.
	Ślimaczą się w pośpiechu...
	Et cholerne cetera.

Czym, na Boga, jest ratel, jak się robi „usta krzywe w esflores” i jak można „ślimaczyć się w pośpiechu”?

Największym pragnieniem mojej matki było oczywiście to, bym spełniła jej niezrealizowane marzenie i została aktorką, więc wzięła mnie w obroty, gdy tylko zaczęłam mówić. W wieku dziewięciu lat byłam weteranką egzaminów LAMDA i festiwali czytania poezji. Niemal w każdą sobotę jechałyśmy na dalekie przedmieścia (Wimbledon, Surbiton lub Bromley), by spędzić popołudnie w akustycznej sali, słuchając, jak dzieciaki recytują „Gdzie góra powabem horyzont przesłania”. Z pozoru byłam uległa, ale moje ciało zdradzało wewnętrzny bunt — rano w dniu ważniejszego konkursu zawsze budziłam się, mając na oku jęczmień wielkości piłeczki golfowej. Właśnie owe jęczmień były niezmiennie uznawane winnymi tego,

że nie zdobywałam złotych medali. Czasami dostawałam brąz i zawsze wracałam z pochwałą, niemniej sędzę, że wszyscy to rozumieli.

Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że mama miała uczennicę zwaną Lynn Hope, która była w tym samym wieku, co ja. Nasze matki czule nazywały nas „dwie Lynn” i mówiły innym o naszej wielkiej przyjaźni, chociaż najbardziej nawet pobieżna obserwacja pozwalała stwierdzić, że się nienawidziłyśmy. Uważałam, że Lynn Hope jest beznadziejnie gruba; ona z kolei uznawała mnie za nadętą, co było zgodne z prawdą. Ze względu na to, że byłyśmy w tym samym wieku, brałyśmy udział w tych samych konkursach, w których Lynn Hope zawsze zdobywała złoto, a ja tylko srebro, brąz lub pochwałę. Ta dziewczyna z tubalnym głosem i niezachwianą pewnością siebie, budzącymi obrzydzenie dołeczkami w policzkach, białymi skarpetkami z falbankami, czarnymi bucikami i ohydny zwyczajem klaskania w dłonie i mówienia: „Nie mogę w to uwierzyć!”, była Shirley Temple festiwalu recytatorskich w Middlesex. Za każdym razem, gdy wygrała, następowała upiorna farsa. Matka podbiegała do Lynn Hope i obejmowała ją, a ta wołała: „Dziękuję, dziękuję, pani Barber!”. Trzymały się za ręce i kłaniały publiczności. Moja matka podkreślała fakt, że nagradzana uczennica należy do niej, a ja czałam się i rzucałam gniewne spojrzenia zza jęczmienia wielkości piłeczki golfowej. Swego czasu podsłuchałam, jak inna nauczycielka elokucji mówi:

— Pani Barber musi być bardzo przykro, że jej córka nigdy nie wygrała.

Zauważyłam, że raz czy dwa matka zgłosiła mnie do konkursu, nie zgłaszając Lynn Hope. Nawet wtedy nie wygrałam i mama musiała wymyślać jeszcze bardziej fantastyczne wyjaśnienia mojej porażki.

Dość wcześnie zrozumiałam, że to denerwowało matkę bardziej niż mnie. Naprawdę z całego serca pragnęła, bym została aktorką. Miała całą litanię pełnych nadziei projekcji, które służyły podtrzymaniu jej marzenia przy życiu: „Gdy będziesz starsza”, „Gdy będziesz miała głębszy głos”, „Gdy się zaokrąglisz” (nadal byłam chuda jak szczapa). Wielka różnica między matką i mną, która utrzymała się do dzisiaj, polegała na tym, że nie miałam złudzeń. Nawet jako siedmio— bądź ośmiolatka, znosząc z nadąsaną miną niekończące się czytanie poezji i słuchanie dziesiątej bądź dwunastej interpretacji *Zielonych paciorków na srebrnym pierścionku*, dostrzegałam, że inne dzieci biorące udział w konkursach były po prostu lepsze ode mnie. Mówiły wyraźniej, głośniejsze, odważniej i z większym dramatyзмом. Skakały po scenie, podczas gdy ja ciężko po niej stapałam; promieniały w momentach, w których ja marszczyłam brwi; były ładniejsze, mądrzejsze i, szczerze mówiąc, bardziej utalentowane. Czasami skrycie je podziwiałam.

Gdy zaczęłam chodzić do szkoły średniej, zdołałam wytłumaczyć mamie, że nie mam czasu brać udziału w konkursach recytatorskich. Poza tym myślę, że wówczas ona też już się zniechęciła. Jednak nie zrezygnowała ze wszystkich marzeń ze mną związanych. Napisała do BBC z prośbą o przesłuchanie mnie. Przygotowałam scenę z *Androklesa i lwa*, a może *Chłopca z wózkiem* — w każdym razie jakieś banialuki nie do wypowiedzenia. Na koniec przesłuchania pani producent podziękowała mi w taki sposób, że

wiedziałam, iż powie: „Nie, dziękuję”. Potem poprosiła mnie, żebym coś przeczytała i ku mojemu przerażeniu, dała mi najwyższe noty. W rezultacie zostałam przyjęta do programu *Children's Hour*, w którym czytałam listy od dzieci u „wujka” Adriana Thomasa. To była świetna zabawa i bułka z masłem. Co kilka tygodni miałam popołudnie wolne od szkoły i jechałam do siedziby stacji, gdzie razem z trojgiem innych dzieci spędzałam godzinę w studiu znajdującym się w piwnicy, czytając listy od słuchaczy. Z każdej pary jeden list był napisany przez młodsze, a drugi starsze dziecko. Na początku odpowiadało mi to — miałam jedenaście lub dwanaście lat i mimo że czytanie listów sześcio— lub siedmiolatków wydawało się poniżające, byłam zachwycona czekiem i popołudniem wolnym od szkoły. Nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie zostanę „starszą dziewczyną”.

Wtedy nadszedł dzień, w którym pojawiła się Jane Asher. Miałam wówczas czternaście lat. Asher była o dwa lub trzy lata młodsza, ale niepokojąco pewna siebie i śliczna. Pani producent powiedziała, że chcą sprawdzić dźwięk i dała Jane list do przeczytania. Też dostałam list. Po krótkiej, cichej naradzie, dali mnie i Jane po pliku listów i powiedzieli, żebyśmy poszły do zielonego pokoju i poćwiczyły czytanie. Ale cóż to?! W moim stosiku było mnóstwo idiotycznych bazgrołów od sześciolatków, podczas gdy Jane czytała listy od nastolatek! Jak to możliwe?

— To musi być jakaś pomyłka — powiedziałam do pani producent. — To ja jestem starsza! Jestem od niej starsza!

— Owszem — odpowiedziała uroczo — ale twój głos brzmi młodziej.

— Nie! — krzyknęłam. — To nie jest w porządku. Nie zrobię tego!

Dostałam ataku hysterii, zalewając się łzami i krzycząc. Uspokoiли mnie i jakimś cudem wzięłam udział w programie. Jednak już nigdy więcej nie zostałam poproszona o czytanie listów w *Children's Hour*.

To był koniec mojej kariery w świecie elokucji. Niestety, została mi po niej straszna spuścizna — akcent. Klasyczny akcent z lekcji dykcji, bezdomny i nieprawdziwy, niesugerujący ani terenu polowań na kuraki, ani piętra w domu towarowym; akcent krzyczący „pozerka!”, gdy tylko się go słyszy. To moja najbardziej odpychająca cecha. Często widzę, jak ludzie spotykający mnie po raz pierwszy są zaskoczeni. Nie mam pojęcia, jak powinien brzmieć mój naturalny akcent — ojciec nadal mówi z akcentem z Lancashire, matka z takim, jak ja. Być może dlatego, że tak bardzo nienawidziłam swojego głosu, postanowiłam pisać. W wieku trzynastu lub czternastu lat pisałam regularnie do kolumny dziecięcej „Richmond and Twickenham Times”, za co dostawałam pieniądze. Było to coś, co zorganizowałam sobie całkowicie samodzielnie, bez pomocy matki. Jak w niezapomniany sposób zauważyła Julie Burchill, gdy odkryłam pisanie, poczułam się tak, jakbym dotychczas posługiwała się drugim językiem i wreszcie znalazła język ojczysty.

Edukacja

Gdy skończyłam szesnaście lat, zaokrągliłam się, jak obiecywała mama. Dzięki nowym krągłościom i włosom nie związywanym już w warkocze wyglądałam dość atrakcyjnie. Zgarnęłam wszystkie nagrody za egzaminy kończące gimnazjum, byłam na dobrej drodze do zdania egzaminów z zaawansowanego angielskiego, francuskiego i łaciny oraz dostania się do Oksfordu. Bałam się tylko, że zawiedzie mnie łacina — w owych czasach trzeba było znać ją na poziomie zaawansowanym, jeśli chciało się studiować anglistykę w Oksfordzie. Nadal robię się z tego powodu purpurowa z wściekłości. Pewnie mówiłabym w czterech językach, gdybym nie musiała tracić tych wszystkich lat na naukę łaciny.

W tym czasie matka przestała dawać lekcje elokucji i została prawdziwą szkolną nauczycielką. Zaczęło się od tego, że szkoła Twickenham County Grammar, która mieściła się po drugiej stronie ulicy, zapytała, czy mama mogłaby od czasu do czasu dawać lekcje dykcji i aktorstwa, na co oczywiście się zgodziła. Potem zaproponowano jej miejsce w zastępstwie nieobecnej nauczycielki angielskiego. W bardzo krótkim czasie została nauczycielką na pełen etat, a potem główną anglistką. Zawsze było dla mnie szokujące to, jak mogła być główną anglistką, skoro prywatnie wołała Georgette Heyer od Jane Austen i Waltera de la Mare od Wordswortha. Czasami zastanawiałam się, czy nie napisać do Ministerstwa Edukacji, żeby ją

zadenuncjować. Miałam wrażenie, że tylko dzięki temu, że tego nie zrobiłam, mogła kontynuować swoje pozbawione skrupułów wspinanie się po szczeblach hierarchii nauczycielskiej. Odniosła tak wielki sukces, że kończyła karierę jako zastępca dyrektora dwuletniej szkoły przygotowującej do egzaminu dojrzałości.

Ojciec też awansował, więc byliśmy dość dobrze sytuowani, ale nie odczuwaliśmy tego w pełni, bo tata nigdy nie pozbył się rozpaczliwego, dziecięcego lęku przed życiem w biedzie i wiecznie oszczędzał na czarną godzinę. (Podczas wyjątkowo mokrej zimy 2000 roku, gdy dom rodziców zalala woda do wysokości piętnastu centymetrów, wesoło powiedziałam do ojca, że chyba przyszła jego czarna godzina. Mimo że był już ślepy i miał problemy z poruszaniem się — był wtedy po osiemdziesiątce — próbował przejść przez zalany pokój i mnie uderzyć).

Wielki strach budziła w nim nieodpowiedzialność — co zdaje się oznaczało wszelkie formy zabawy. Po co mi, na przykład, bożonarodzeniowe drzewko? Potworna strata czasu i pieniędzy, ponadto igły zapychają odkurzacza i niszczą dywan. Odpowiadałam mu, że dla zabawy i obserwowałam, jak niemal umiera na atak serca. Wszelkie formy życia towarzyskiego uważał za marnotrawienie czasu — według niego zaangażowanie matki w amatorski teatr było niebezpieczną rozpustą. To był jeden z nielicznych tematów, w których matka uparła się, a gdy się upierała, ojciec wiedział, że trzeba się wycofać.

Kłóciłam się tylko z ojcem — moje wczesne lata nastoletnie to jedna długa kłótnia z nim, zwykle o błahostki, takie jak pora kładzenia się do łóż-

ka. Matka była pasywnym, czasami zapłakany widzem. Niekiedy, gdy mnie uderzył („Przyda ci się, jak ktoś cię trzep nie w ucho”), interweniowała, a często po szczególnie głośnej awanturze, po której wbiegałam do swojego pokoju, wślizgiwała się do mnie z czymś ciepłym do picia i prezentem w postaci biszkopta.

— Czy nie możesz być bardziej taktowna? — prosiła. — Dlaczego musisz doprowadzać go do wściekłości?

Gardziłam jej próbami wprowadzenia rozejmu, które zawsze były zbyt słabe i spóźnione. Raz nawet powiedziałam:

— Posłuchaj, mamó. Jeśli naprawdę jesteś po mojej stronie, rozwiedź się z nim. W przeciwnym razie nic nie mów.

No i zamilkła.

Wtedy w naszym życiu pojawił się Simon i wszystko się zmieniło. Poznałam go, gdy miałam szesnaście lat, a on miał — jak twierdził — dwadzieścia siedem, ale pewnie był przed czterdziestką. Czekałam na autobus do Twickenham po próbie w Richmond Little Theatre (nadal zgadzałam się pojawiać w amatorskich produkcjach matki), gdy podjechał elegancki, rdzawoczerwony samochód i mężczyzna z wielkim cygarem w ustach pochylił się w stronę okna pasażera i zapytał:

— Podwieźć cię?

Oczywiście, rodzice mówili, nauczyciele mówili, wszyscy mówili, że bym nigdy nie wsiadała do samochodu nieznajomego mężczyzny, lecz wtedy nie wydał mi się nieznajomy i wskoczyłam do auta. Podobał mi się

zapach cygara i skórzane siedzenia. Zapytał, dokąd chciałabym pojechać. Powiedziałam, że na Clifden Road. Zgodził się. Stwierdziłam, że nigdy nie widziałam takiego samochodu. Oznajmił, że to jest bristol i że wyprodukowano ich niewiele. Opowiedział wiele faktów dotyczących tej marki, gdy sunęliśmy ulicą — te auta zawsze sunęły — w stronę Twickenham.

Miał zabawny akcent — później, gdy poznałam go lepiej, zrozumiałam, że według niego miał to być akcent wyższych sfer — i zapytałam, czy jest cudzoziemcem. Odpowiedział:

— Tylko jeśli uważasz, że Żydzi to cudzoziemcy. Oczywiście, tak myślałam. Nigdy nie poznałam Żyda. Nie

sądziłam, by Żydówki chodziły do naszej szkoły. Odparłam jednak grzecznie:

— Jesteś Żydem? Nie domyśliłabym się.

(Nie miał zakrzywionego nosa, tłustych pukli ani krzaczastej brody Shylocka ze szkolnej sztuki). Powiedział, że walczył w izraelskiej armii, gdy był w moim wieku. Zastanawiałam się, ile dawał mi lat. Miałam nadzieję, że dziewiętnaście. Potem zapytał:

— Masz ochotę na kawę?

A ja odpowiedziałam głupio:

— Dziękuję. Muszę być w domu przed dziesiątą. Jeśli się spóźnię, ojciec mnie zabije.

— Idziesz jutro do szkoły? — zapytał lekko.

Nie mogłam wydobyć słowa ze złości na samą siebie. Kiwnęłam tylko głową. Zawiózł mnie pod dom i powiedział:

— Czy mogę zaprosić cię na kawę innego wieczoru?

Moje życie mogłoby potoczyć się inaczej, gdybym powiedziała „nie”. Jednak nie byłam dość niegrzeczna. Zamiast tego powiedziałam, że jestem bardzo zajęta próbami do sztuki, co oznaczało, że niestety nie mam wolnych wieczorów. Zapytał, co to za sztuka. Odparłam, że *Szkoda tej czarownicy na stos*^{*6} w Richmond Little Theatre.

Po przyjeździe na pierwszy występ kilka tygodni później, znalazłam w garderobie ogromny bukiet zaadresowany do mnie. Inne aktorki, dorosłe kobiety, jęczały z zazdrości i mówiły:

— Te kwiaty musiały kosztować fortunę.

Gdy kilka godzin później wyszłam z teatru, zobaczyłam zaparkowanego bristola. Podeszłam, żeby podziękować. Simon zapytał:

— Czy teraz możemy jechać na kawę?

Powiedziałam, że nie, bo znowu bym się spóźniła, ale może mnie odwieźć do domu. Nie rzuciłam się na główkę w ten związek. Simon był dla mnie o wiele za stary, abym mogła myśleć o nim jak o chłopaku. Z drugiej strony, zawsze fantazjowałam o tym, by mieć starszego mężczyznę, kogoś bardziej elokwentnego ode mnie, i zrobić wrażenie na gówniarach z Hamp-

⁶ * Sztuka autorstwa Christophera Frya z 1948 roku (przyp. tłum.).

ton Grammar. Dlatego zgodziłam się spotkać z nim w piątkowy wieczór, chociaż ostrzegłam go, że będzie musiał przejść przez magiel pytań mojego ojca.

To maglowanie było sławne wśród chłopców z Hampton Grammar. Ojciec chciał wiedzieć, jakie oceny dostali z egzaminów, jakie egzaminy zaawansowane będą zdawać i na jakie uniwersytety składają papiery. Praktycznie zmuszał ich do tego, by wypełnili test mierzący inteligencję, zanim mogli zabrać mnie do kina.

Tym razem jednak ojciec nie grymasił. Zapytał, gdzie się poznaliśmy. Powiedziałam, że w Richmond Little Theatre, i to wszystko. Zdawało się, że Simon mu rzeczywiście zaimponował. Nawet zaproponował, że możemy wrócić do domu o północy, czyli godzinę później, niż zwykle mogłam wracać w weekendy. Tak więc nasze spotkanie przy kawie zamieniło się w kolację i to z błogosławieństwem ojca.

Simon zabrał mnie do włoskiego lokalu przy Marylebone High Street. Rzecz jasna, byłam urzeczona. Jeszcze nigdy nie jadłam w porządnej restauracji. Chodziłam tylko do herbaciarni z rodzicami. Nie rozumiałam menu, ale zachwyciłam się wielkimi młynkami do pieprzu, ciężkimi sztuczkami, crepes Suzette i szampanem. Urzekła mnie też rozmowa z Simonem. Znowu niewiele rozumiałam, po części z powodu jego dziwnego akcentu, ale też dlatego, że mówił o miejscach i rzeczach, które mogłam sobie jedynie wyobrażać. Moja wiedza o świecie opierała się na Szekspirze, Jane Austen, George'u Eliocie i siostrach Bronte. Nikt z nich nie miał nic do powiedzenia na temat życia w kibucu ani robienia koktajli Mołotowa. Czu-

łam, że nie mogę nic wniesć do rozmowy i zarumieniłam się, gdy Simon zachęcał mnie, bym opowiedziała mu o swoich koleżankach, nauczycielkach, nagradzanych esejach. Wówczas nie zdawałam sobie sprawy z tego, że fakt, iż jestem uczennicą, stanowił znaczną część mojego uroku.

W ciągu kolejnych tygodni akceptowano to, że Simon pojawiał się w piątkowe lub sobotnie wieczory, żeby zabrać mnie na „West End”. Czasami szliśmy do kina Chelsea Classic na zagraniczne filmy; niekiedy zabierał mnie na koncerty w Wig— more lub Royal Festival Hall. Najczęściej jednak chodziliśmy do restauracji. Wybór lokali był podyktowany przez tajemnicze wizyty, które Simon składał po drodze. Mówił:

— Muszę podskoczyć do Princes Gate.

Po czym znikał w jednym z białych, przypominających klify domów, a ja czekałam w samochodzie. Czasami czekałam bardzo długo, więc nauczyłam się zabierać na każdą randkę książkę. Pewnego razu zapytałam, czy mogłabym pójść z nim, ale odparł:

— Nie. To są interesy.

Nigdy więcej nie zapytałam.

Oprócz zabierania mnie gdzieś w weekendy, Simon wpadał czasami do nas w tygodniu, gdy „przejeżdżał obok”. (Dlaczego przejeżdżał przez Twickenham? Dokąd jechał? Nigdy nie zapytałam). Niekiedy rozmawiał z moimi rodzicami, bywało, że godzinę i dłużej. Mówili o polityce lub wiadomościach — te tematy mnie nie interesowały. Często byli tak zajęci rozmową, że nawet nie zauważali, gdy wychodziłam z pokoju. Uważałam to

za coś niebywałego. Nigdy wcześniej w naszym domu nie zdarzało się, bym nie była w centrum uwagi.

Teoretycznie Simon uosabiał wszystko, czego moi rodzice najbardziej się obawiali — nie był jednym z nas, był Żydem i kosmopolitą, praktycznie cudzoziemcem! Nosił kaszmirowe swetry i zamszowe buty; jeździł drogim samochodem; nie chodził do pracy w biurze; niejasno mówił o swoim wykształceniu, a co gorsza, chełpił się tym, że przeszedł edukację na „uniwersytecie życia” — to nie była placówka, jaką moi rodzice uznawali. A jednak w jakiś niewytłumaczalny sposób lubili go. W rzeczywistości podobał im się bardziej niż mnie, być może dlatego, że bardzo się starał, by go lubili. Przynosił matce kwiaty, a ojcu wino; nauczył ich grać w tryktraka; gawędził z nimi nieskończenie długo i wydawał się szczerze zainteresowany ich poglądami.

Przypuszczam, że to była dla nich miła odmiana po ciągłych rozmowach o mnie.

Mimo to nikt z nas nigdy nie dowiedział się czegokolwiek o nim. Zdaje się, że rodzice kiedyś zapytali, gdzie mieszka. Odpowiedział, że w South Kensington, ale to wszystko. Nie znałam jego numeru telefonu, nie mówiąc o adresie. Jeśli chodzi o to, czym się zajmował, to był „deweloperem nieruchomości” — mam wrażenie, że to określenie mówiło moim rodzicom równie mało, co mnie. Wiedziałam, że miało to związek z tymi wizytami, które składał, wielkimi pękami kluczy, które nosił, stertami raportów rzeczoznawców oraz katalogami aukcji leżącymi na tylnym siedzeniu samochodu, jak też ze sporadycznymi wieczorami, podczas których spotykali-

śmy się z Perecem, co oznaczało jazdę po Bayswater i szukanie rollera Perca Rachmana zaparkowanego przed jednym z jego klubów. Później od nazwiska Rachmana powstanie termin „rachmanizm”, ale dopiero, gdy prasa odkryje, że był to najbardziej wykorzystujący najemców właściciel mieszkań. W owym czasie był tylko jednym z wielu tajemniczych kolegów biznesowych Simona.

Simon był biegły w nieudzielaniu odpowiedzi na pytania, choć rzadko musiał się tym wykazywać, bo nigdy o nic nie pytałam. To, jak daleko sięgało moje niezadawanie pytań jest z perspektywy czasu zdumiewające — winię za to Alberta Camusa. Zazwyczaj bombardowałam ludzi pytaniami, chciałam poznać wszystkie szczegóły dotyczące ich życia, nawet zakłócałam ich milczenie, pytając, o czym myślą. W czasie, gdy poznałam Simona, stałam się egzystencjalistką. Jedną z zasad egzystencjalizmu, praktykowaną przeze mnie i inne uczennice w szkole Lady Eleanor Holles, było to, że nie zadawało się pytań. Zadawanie pytań świadczyło o naiwności i burżuazyjnym pochodzeniu; niezadawanie ich pokazywało, że jest się obytym w świecie i z pochodzenia Francuzem. Tak bardzo chciałam być obyta w świecie. Tak się złożyło, że to niezwykle odpowiadało Simonowi. Moja rola w związku polegała na tym, że miałam być lodowatym dziewczęciem: nieustępliwym, niewdzięcznym i niereagującym na nic, co mówił lub robił. Zadawanie pytań pokazywałoby, że jestem nim zainteresowana, a nawet, że mi na nim zależy, a tego tak naprawdę nie chciało żadne z nas.

Simon dość wcześnie ustalił, że jestem dziewicą i wydawał się z tego powodu zadowolony. Spytał, kiedy zamierzam stracić dziewictwo. Odpo-

wiedziała, że gdy skończę siedemnaście lat. Zgodził się ze mną, że to idealny wiek. Powiedział, jak ważne jest, żeby nie tracić dziewictwa podczas nieudanej szarpaniny z jakimś brudnym uczniakiem, ale z doświadczonym, starszym mężczyzną. Całkowicie się z nim zgadzałam, chociaż, w przeciwieństwie do niego, nie miałam żadnego konkretnego mężczyzny na myśli. Zdecydowanie nie był obmacywaczem. Byłam przyzwyczajona do chłopaków z Hampton Grammar, którzy w ciemnościach kina zamieniali się w ośmiornice przysysające swoje macki do naszych piersi. Simon nigdy tego nie robił, za to całował mnie długo i delikatnie. Mówił przy tym:

— Uwielbiam patrzeć w twoje oczy.

Gdy mnie całował, nazywał mnie Minn. Ja miałam nazywać go Bubl, ale zwykle o tym zapomniałam. W końcu pewnego wieczoru powiedział:

— Chciałbym zobaczyć twoje piersi.

Niechętnie rozpięłam bluzkę i pozwoliłam mu zajrzeć za nią. To wszystko nadal mieściło się w granicach kodeksu randkowego Lady Eleanor Holles — za te wszystkie kolacje, które mi zafundował, miał prawo ściągnąć ze mnie biustonosz od razu.

Potem rodzice wepchnęli mnie do łóżka z nim. Pewnego dnia, przy okazji jednej z jego niezapowiedzianych wizyt, Simon powiedział, że w następny weekend jedzie do Walii odwiedzić przyjaciół. Zapytał, czy mogłabym z nim jechać. Byłam pewna, że rodzice się nie zgodzą — wyjazd z

noclegiem z mężczyzną, którego ledwie znałam? — a oni powiedzieli „tak”, chociaż ojciec dodał żartobliwie:

— Oczywiście śpicie w oddzielnych pokojach.

— Rzecz jasna — odparł Simon.

Tak oto wyjechaliśmy na pierwszy z wielu niegrzecznych weekendów. Nie podobała mi się Walia, ponury hotel, krzywe spojrzenia, gdy Simon nas meldował. Oczywiście, mieliśmy wspólny pokój i łóżko, ale Simon tylko mnie pocałował i powiedział:

— Zaczekamy do czasu, gdy skończysz siedemnaście lat. Potem było wiele innych weekendów — Paryż, Amsterdam,

Brugia i często Sark na Wyspach Normandzkich, bo Simonowi podobał się tamtejszy hotel, a ja lubiałam zaopatrywać się w nie— obłożone cłem perfumy Je Reviens i moje nowe, ekscytujące odkrycie, papierosy Sobranie Black Russian. Dzięki nim wydawałam się o niebo bardziej obyta w świecie.

Gdy nadeszły moje siedemnaste urodziny, wiedziałam, że dług za kolacje i weekendy zostanie spłacony tylko wtedy, gdy „oddam” Simonowi dziewictwo. Przez wiele tygodni mówił o tym, kiedy, gdzie i jak to się powinno stać. Myślał o Rzymie, może Wenecji; ja myślałam o tym, by było to jak najbliżej Twickenham, na wypadek, gdybym krwawiła. W końcu stało się to w nowym, modnym hotelu — Ariel? — w pobliżu lotniska. Heathrow, w którym spędziliśmy noc przed wczesnoporannym lotem gdzieś

tam, zapomniałam. Chciał, żebyśmy poćwiczyli z bananem — przyniósł go specjalnie. Powiedziałam:

— Na Boga!

I kazałam mu zrobić to jak należy. Mówił dużo o tym, jak wielką ma nadzieję, że Minn zrobi Bubl zaszczyt i powita go w jej domu. W czasie tego gadania znalazł się we mnie i było po wszystkim. Pomyślałam: „Hm, to było łatwe. Może teraz mogę mieć prawdziwego chłopaka”.

(Wydaje mi się, że słowo: „nieistotne” najlepiej opisuje moje życie seksualne z Simonem. Gdy z nim byłam, nigdy nie miałam nawet najmniejszego orgazmu. To nie był namiętny kochanek — gadanie o Minn i Bubl podobało mu się bardziej, niż robienie czegokolwiek. Podczas gdy pani od gimnastyki zawsze ryczała w szatni: „W ubiegłym tygodniu też mówiłaś, że masz okres!”, Simon zawsze wierzył mi na słowo, gdy mówiłam, że Minn jest niedysponowana. Tak więc mimo że spędziłam wiele nocy w łóżku z Simonem, często w zagranicznych hotelach, działo się tam bardzo niewiele).

Romans — jeśli tak to można nazwać — trwał dalej, po części dlatego, że nie pojawiał się żaden prawdziwy chłopak, a po części dlatego, że przyzwyczałam się do podwójnego życia pilnej uczennicy w ciągu tygodnia i odwiedzającej restaurację, podróżującej za granicę, światowej kobiety w weekendy. Takie życie oddalało mnie od koleżanek z klasy. Gdy pytały:

— Przyjdiesz w sobotę do Eel Pie Jazz Club? Odpowiadałam:

— Nie. Jadę z Simonem do Paryża.

Oczywiście przyjaciółki domagały się, bym przedstawiła im Simona, lecz nigdy do tego nie dopuściłam. Bałam się czegoś — być może tego, że go przejrzą, że nie zobaczą w nim Jamesa Bonda, jak go opisywałam, ale raczej niskiego, dość ohydneho człowieczka mającego podłużną twarz i plarfusa, mówiącego z innym akcentem i kłamiącego na temat swojego wieku.

Do tego czasu — po roku trwania związku — dotarło do mnie, że nie wiedziałam o Simonie wielu rzeczy. Znałam jego samochody (miał kilka bristolii), wiedziałam, do jakich restauracji i klubów chadzał, ale nadal nie znałam jego adresu. Zabierał mnie do różnych mieszkań, które nazywał swoimi, lecz często było tam mnóstwo pluszowych maskotek i damskiej odzieży, a Simon nie wiedział, gdzie się włącza światło. Były to zatem mieszkania innych ludzi lub lokale do wynajęcia w Bayswater, South Kensington, przy Gloucester Road. Zdawało się, że ma dostęp do nieograniczenie wielu mieszkań.

Gdzie według mnie mieszkał? Teraz wydaje się to niesamowite — choć przypomina, jak młoda byłam — ale wyobrażałam sobie, że nadal mieszkał z rodzicami i wstydził się o tym powiedzieć. Wyobrażałam sobie parę starych ludzi mieszkających w slumsach East Endu i wykonujących dziwne rytuały w jidysz. To, że powiedział mi, iż jego rodzice byli dobrze sytuowani i mieszkali w Cricklewood, nie miało nic do rzeczy — wołałam swoją wersję. Przypuszczam, że z oszustami zawsze tak jest — nie muszą konstruować całej historii, bo ich ofiary wypełnią luki, godzą to, co jest nie do

pogodzenia i wykonują większość pracy za nich. Simon nie musiał mnie oszukiwać, ja oszukiwałam sama siebie.

Jednak w owym czasie istniał ważny powód, by być z Simonem — byłam zakochana. Nie w nim, rzecz jasna, lecz w jego partnerze Danny'm i dziewczynie Danny'ego, Helen. Kochałam ich oboje jednakowo. Uwielbiałam ich urodę, ich przestronne mieszkanie przy Bedford Square, w którym na ścianach wisiały prerafaelickie obrazy, a z głośników sączyła się muzyka klawesynowa. Wówczas niewiele osób w Wielkiej Brytanii podziwiała prerafaelitów. Danny był jednym z pierwszych, a ja chętnie poszłam w jego ślady. Pożyczył mi albumy Rossettiego, Burne'a— Jonesa i Millaisa, a czasami schlebiał mi, pokazując ilustracje w katalogach aukcji i pytając o zdanie.

— Jak myślisz? Powinienem licytować?

Łatwo mi się z Danny'm rozmawiało. Mogłam z nim gawędzić długo, podczas gdy z Simonem tylko stroiłam fochy.

Z Helen było inaczej. Przechadzała się w ciszy, piękna, smutna dama, jak z obrazów Burne'a— Jonesa, na wpół ukryta za burzą złotorudych włosów. Początkowo tak bardzo podziwiałam jej urodę, że nie byłam w stanie z nią rozmawiać. Potem stopniowo docierało do mnie, że jej milczenie było często spowodowane tym, że nie wiedziała, co powiedzieć, oraz że — nie chciałam używać tego słowa w odniesieniu do swojej bogini — była gruba. Przerazało mnie, że pewnego dnia Danny to odkryje. Simon czasami napomykał, że zainteresowanie Danny'ego Helen może słabnąć i mogą być inne dziewczyny. Wiedza o tym i utrzymywanie tego w tajemnicy sprawiły,

że tym ważniejsze było dla mnie spotkanie się z Helen, chronienie jej. Mogłybyśmy się przecież zaprzyjaźnić pewnego dnia, gdy będę nieco starsza i bardziej obyta.

Simon nigdy nie rozmawiał ze mną o interesach („Nie chcesz o tym słuchać, Minn”), lecz Danny nie miał takich obiekcji.

Uwielbiał opowiadać mi zabawne historyjki o zwariowanym świecie podejrzanych handlarzy nieruchomościami — przekrętach, dzwonek aukcyjnych. O tym, jak licytatorzy czasami próbowali unikać „kowbojów ze Stamford Hill”, organizując aukcje w Jom Kippur lub inne święta, i o widoku tych wszystkich chasydzkich Żydów, kryjących się za szalami i okularami przeciwsłonecznymi, próbujących licytować tak, by nikt ich nie widział. Albo o wielkim kancie, gdy sprzedali Judahowi Bin— stockowi ćwierć akra w Ealing Common, nie informując go, że działka ma tylko dwa metry szerokości. To od Dannyego dowiedziałam się, jak Perec Rachman pozornie rozwiązał problem stałych lokatorów, którzy byli zmorą handlarzy nieruchomości w latach sześćdziesiątych. Prawo dawało im możliwość zajmowania mieszkania za ustalony czynsz do końca życia, jeśli mieliby na to ochotę, a oni zazwyczaj żyli obrzydliwie długo. Rachman miał konkretne metody polegające na prowadzeniu prac remontowych wszędzie wokół, zdejmowaniu dachu, „sprowadzaniu czarnuchów” (ludzi z Indii Zachodnich) albo zasiedlania reszty budynku prostytutkami, przez co stali lokatorzy najczęściej się wyprowadzali.

Tak więc to od Dannyego dowiedziałam się, że branża nieruchomości, w której działał Simon, nie była do końca uczciwa. Sugestie dotyczące in-

nych form nieuczciwości pojawiły się w piętnastym miesiącu naszego związku, gdy poszłam do księgarni przy Richmond Green. Simon zabierał mnie tam kilkakrotnie, żeby kupić książki o historii Żydów i prace Isaacka Bashevisa Singera — przyjmowałam je z wdzięcznością, choć nigdy ich nie czytałam. Tego dnia wybrałam się tam sama i księgarz, który zazwyczaj był przyjacielski, zapytał:

— Gdzie twój przyjaciel?

— Jaki przyjaciel?

— Simon Prewalski.

— Nie znam nikogo o tym nazwisku — odparłam zgodnie z prawdą.

— Nieważne, jak się nazywa. Powiedz mu, że mam już dość jego czeków bez pokrycia. Zgłosiłem to na policję.

Tego wieczoru powiedziałam do Simona:

— Znasz kogoś o nazwisku Prewalski?

— Tak. Moją matkę, dziadków. A co? Przekazałam mu słowa księgarza.

Simon stwierdził:

— Nie chodź tam. A jeśli pójdziesz, powiedz mu, że mnie nie widziałś. Powiedz, że ze sobą zerwaliśmy.

— Co miał na myśli, mówiąc o czekach bez pokrycia?

— A skąd mam wiedzieć? Nie martw się tym.

To była sugestia, a może coś więcej. Lecz w Cambridge napotkałam niezaprzeczalny dowód. Simon i Danny pojechali do Cambridge, gdzie kupowali całą Bateman Street. Często się tam zatrzymywaliśmy. W pewien weekend jęczałam — zawsze jęczałam:

- Mam już dość Bateman Street.

- Ja też — odparł Danny. — Jedźmy na wieś.

I pojechaliśmy w stronę Newmarket. W miejscu zwanym Six Mile Bottom zobaczyłam dom kryty strzechą z tablicą informującą, że jest na sprzedaż.

— Jaki śliczny — zauważyłam. — Czy nie moglibyście kupować takich ładnych miejsc zamiast tych strasznych slumsów?

— Może byśmy mogli — stwierdził Simon i zatrzymał bristolą. — Podobają ci się, Danny?

— Czemu nie?

Simon zaparkował samochód i pomaszerowaliśmy do drzwi. Otworzyła starsza pani.

— Agent nie powiedział, że przyjdziecie.

— Ojej, jakie to niedbalstwo z jego strony — powiedział Danny. Wi-
docznie spodobał się jej jego akcent wyższych sfer, który

był bardziej przekonujący niż Simona, bo odpowiedziała:

— Proszę wejść. Oprowadzę państwa.

W domu było pełno antycznych mebli. Wydał mi się ponury i w ciągu kilku minut znudziłam się. Simon i Danny wydawali się urzeczeni i podziwiali belki, polakierowane podłogi, obrazy, meble. Raczej zrzędliva właścicielka rozpromieniła się i zaprosiła nas na kawę. Gdy ją przyrządzała, Simon zapytał, czy może iść na górę do łazienki. Kilka minut później widziałam, jak wynosił coś do samochodu. Potem dołączył do nas i po półgodzinnej rozmowie wyszliśmy. W samochodzie Danny zapytał:

— Masz to? Simon potaknął.

— Speed?

— Prawie na pewno.

— Co masz? — odezwałam się.

— Czy to był twój wymarzony dom? — spytał Danny. — Będziecie tam żyli z Simonem długo i szczęśliwie?

— Nie — odparłam. — Był ponury. Obaj się zaśmiali.

— Tak trudno cię zadowolić.

Danny powiedział, że musi wrócić na Bateman Street. Nadal byłam wściekła na niego i Simona za to, że się ze mnie śmiali, więc powiedziałam:

— Obiecaliście mi dzień na wsi. Nie wracam tam.

Danny stwierdził, że możemy podrzucić go do Newmarket, więc zawieźliśmy go na dworzec, po czym pojechaliśmy do hotelu na lunch. Jedli-

śmy nie najlepsze jedzenie, gdy na salę weszło dwóch mężczyzn. Jeden z nich wskazał drugiemu nasz stół. Ów człowiek przedstawił się jako detektyw. Powiedział:

— Mamy skargę od pani takiej i takiej z Six Mile Bottom. Według niej dwóch mężczyzn i dziewczyna odwiedzili dzisiaj rano jej dom. Po ich wizycie zauważyła, że z jednej z sypialń zginęła cenna, stara mapa.

— Oh, Simon! — krzyknęłam. Spojrzał na mnie ostro.

— Może moglibyśmy kontynuować tę rozmowę na zewnątrz — zaproponował.

Wyszedł razem z policjantem. Poczekalam kilka minut, potem poszłam do damskiej toalety, a stamtąd przez tylne drzwi akurat wyszłam na ulicę. Miałam akurat dość pieniędzy, by dojechać autobusem do Cambridge. Zdyyszana pobiegłam na Bateman Street, by poszukać Danny'ego.

— Aresztowali Simona! — powiedziałam. — Ukradł mapę tej starszej pani!

— Jestem pewien, że to nieporozumienie — powiedział łagodnie. — Zajmę się tym. Może pojedziesz pociągiem do Londynu?

— Nie mam pieniędzy! — lamentowałam. Wręczył mi dziesięć funtów banknot.

— Nie martw się o Simona — rzekł.

Nie zamierzałam. Miałam nadzieję, że trafił do więzienia. Oczywiście, nie stało się tak. Wpadł na Clifden Road kilka dni później i zabrał mnie na kolację.

— Jak mogłeś ukraść coś starszej pani?

— Nic nie ukradłem. Poprosiła mnie, żebym wziął mapę do wyceny.

— Nieprawda. Byłam tam z tobą.

— No dobrze, nie poprosiła mnie. Uznałem jednak, że jest to mapa Speeda i pomyślałem, że ją wycenie. To miała być miła niespodzianka.

Wiedziałam, że kłamał, ale odpuściłam sobie. Powiedziałam: — Jeśli kiedykolwiek coś naprawdę ukradniesz, odejdę od ciebie.

— Wiem, że to zrobisz, Minn — odpowiedział. Wiedziałam, że ukradł, a jednak go nie zostawiłam, więc oboje kłamaliśmy.

Krótko potem próbowałam od niego odejść. Byłam znudzona. Miałam dość Minn i Bubl, niekończących się podróży samochodem, czekania, gdy załatwiał swoje sprawy, długich, ciężkich posiłków w restauracjach, przepychanek w dziwnych sypialniach i tego, że nie spotykaliśmy się z nikim więcej, | oprócz Danny ego i Helen. Uwielbiałam wieczory przy Bedford j Square, gdy Danny grał na klawesynie, a Helen pokazywała mi • swoje nowe ubrania, lecz teraz ta para spędzała większość czasu w Cambridge, a Simon już tam nie jeździł. Oznajmiłam mu:

—Koniec z nami. Muszę się skupić na egzaminach końcowych. Odparł:

—To nie jest koniec. Przyjadę po ciebie, gdy zdasz egzaminy,

Wieczorem w dniu, w którym zdałam egzaminy, Simon zabrał mnie na kolację i poprosił o rękę. Chciałam, by to zrobił, ponieważ był to dowód mojej władzy, jednak nie miałam najmniejszego zamiaru przyjąć jego oświadczeń, bo przecież jechałam do Oksfordu. Poświęciłam temu celowi osiemnaście lat życia, więc sugerowanie, że miałabym z tego zrezygnować, było z jego strony impertynencją. Następnego ranka przedstawiłam rodzicom te wieści jako świetny dowcip.

— Wiecie co? Simon mi się oświadczył! Chciałby, żebyśmy pobrali się tego lata!

Ku mojemu całkowitemu zdumieniu, ojciec powiedział:

— Czemu nie?

Czemu nie? Czy on nagle oszalał?

— Bo wtedy nie mogłabym wyjechać do Oksfordu.

— A czy to będzie koniec świata? Posłuchaj — kontynuował. — Spotykasz się z nim od dwóch lat. Najwyraźniej ma poważne zamiary. To dobry człowiek. Nie baw się nim.

Pełna niedowierzania spojrzałam na matkę, ale ta pokręciła głową.

— Nie musisz iść na uniwersytet, jeśli będziesz miała dobrego męża.

Działo się to w 1962 roku. Do narodzin feminizmu była jeszcze długa droga. Niemniej i tak poczułam się zdradzona, jakbym spędziła osiemna-

ście lat w zakonie, po czym matka przełożona oznajmiłaby mi, że Bóg nie istnieje. Nie byłam w stanie uwierzyć, że moi rodzice mogli porzucić pomysł Oksfordu. Najwyraźniej jednak mogli i w ciągu kolejnych kilku dni przekonywali mnie podczas każdego posiłku, że dobrzy mężowie nie rosną na drzewach; mam szczęście, że go znalazłam („Nie jesteś mu równa z urodzenia”); po co miałabym iść na uniwersytet, skoro nie muszę? Tymczasem Simon obwoził mnie po nadmorskich domach i pytał, gdzie chciałabym mieszkać po ślubie. Nie mogłam się oprzeć i powiedziałam koleżankom ze szkoły, że jestem zaręczona. Wszystkie były tym dziko podniecone, cieszyły się ze mną i mówiły:

— Nie będziesz już musiała się uczyć łaciny!

Mimo to robiło mi się niedobrze. Zawsze podobał mi się dźwięk słowa „Oksford”, lubiłam też pisać eseje, więc nie byłam zbyt chętna do rezygnacji z tego pomysłu. Jednak rodzice, zwłaszcza ojciec, wywierali na mnie ogromną presję. Po co jechać do Oksfordu, skoro mogę wyjść za Simona? Przypominali mi też, jak mówiłam, że nie zniosę kolejnego semestru w szkole.

To była prawda. W owych czasach, jeśli ktoś zamierzał studiować w Oksfordzie lub Cambridge, musiał zostać w szkole jeden semestr dłużej po zdaniu egzaminów końcowych z poszczególnych przedmiotów, żeby przygotować się do egzaminów wstępnych na studia. Bałam się tego, ponieważ panna R. Garwood Scott, dyrektorka szkoły, odmówiła mi roli starszej uczennicy odpowiedzialnej za dyscyplinę. Inni kandydaci Oxbridge spędzali czas w specjalnym pokoju przeznaczonym dla takich uczniów, podczas

gdy ja błąkałam się po korytarzach lub boisku samotnie, bez mojej grupy. Panna R. Garwood Scott była niewzruszona i nigdy nie zostałabym uczennicą odpowiedzialną za dyscyplinę, nawet gdybym spędziła w szkole sto lat — byłam wicherzycielką, miałam zły wpływ na koleżanki, byłam bezczelna i sprawiałam, że inne uczennice śmiały się z nauczycieli. Robiłam dobrą minę do złej gry, ale wiedziałam, że kolejny semestr to będą najbardziej samotne trzy miesiące w moim życiu. Lecz czekała na mnie wspaniała nagroda w postaci Oksfordu — nigdy nie wątpiłam, że ją dostanę — i uznałam, że jest to cena, którą chcę zapłacić.

Wydarzenia zaskoczyły mnie na kilka dni przed końcem semestru. Panna R. Garwood Scott dowiedziała się o zaręczynach i wezwała mnie do siebie. Czy to prawda, że jestem zaręczona? Odpowiedziałam, że tak, ale nadal zamierzam zdawać do Oksfordu. Była bezwzględna. Mogę albo być zaręczona, albo zdawać egzaminy, ale nie jedno i drugie. Kiedy będzie ślub i w którym kościele? Odparłam, że nie odbędzie się w kościele, bo mój narzeczony jest Żydem.

—Żydem? Czy nie wiesz, że Żydzi zabili naszego Pana? Spojrzałam na nią.

—Zatem nie będę zdawała do Oksfordu — powiedziałam. Mój mały gang czekał pod gabinetem.

— Powiedziała jej, że odchodzę — oznajmiłam. — Próbowała mnie przekonać, żebym została, ale odmówiłam.

Wszystkie mi pogratulowały i błagały, żebym wybrała je na drużny. Po-
tem poszłam do kibla i wypłakałam sobie oczy. Powiedziałam rodzicom:

—Nie jadę do Oksfordu. Wyjdę za Simona.

—O Boże! — odparli. — Wspaniale!

Gdy Simon przyjechał tego wieczoru, gawędzili wesoło o tym, że nie tracą córki, tylko zyskują syna. Simon chichotał, machał rękami, nalewał drinki i wznosił toasty — dostrzegłam jednak w jego oczach błysk paniki. Kilka dni później jechaliśmy bristolem na kolację, gdy powiedział, że musi wpaść do jednego z mieszkań, by zamienić słowo z najemcą. Gdy tylko wszedł do domu, otworzyłam schowek na mapy i zaczęłam przeglądać listy i rachunki. Mogłam to zrobić przy stu innych okazjach wcześniej — wiedziałam, że w tym schowku trzymał korespondencję, że schowek nie był zamykany na klucz, a ja często czekałam w samochodzie sama i nie miałam skrupułów dotyczących czytania listów innych ludzi. Dlaczego więc nigdy tego nie zrobiłam? I dlaczego właśnie teraz wydawało mi się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie? Rezultat był natychmiastowy. Znalazłam tuzin albo więcej listów adresowanych do Simona Goldmana z Twickenham. Dwa listy były do państwa Goldman. Adres był ten sam.

Tego wieczoru zachowywałam się dość normalnie, lecz gdy Simon zapytał, czy Minn przyjmie Bubl z wizytą, odpowiedziałam gładko, że Minn jest niedysponowana. Na tym etapie byłam przynajmniej tak dobra w kłamstwach, jak Simon. Gdy tylko wróciłam do domu, zajrzałam do książki telefonicznej — dlaczego wcześniej nie pomyślałam, by to zrobić? — i rzeczywiście znalazłam S. Goldmana z numerem Popes Groove (Twickenham)

i adresem, który widziałam na listach. To niecały kilometr od naszego domu. Mijałam to miejsce codziennie, jadąc autobusem do szkoły. Całą noc planowałam i ćwiczyłam, co powiem, biorąc pod uwagę różne scenariusze. Następnego ranka, gdy wreszcie wykręciłam numer, wszystko skończyło się w ciągu kilku sekund. Odebrała kobieta.

— Pani Goldman? — powiedziałam.

— Tak.

— Dzwonię w sprawie bristolu, który pani mąż wystawił na sprzedaż.

— Och! Zamierza go sprzedać? Nie ma go teraz. Zwykle wraca około osiemnastej.

To mi wystarczyło, a nawet więcej — w tle słyszałam płacz dziecka.

Wsiadłam w pociąg do Waterloo i przeszłam całą drogę do Bedford Square. Helen była w domu. Odgadła, gdy tylko mnie zobaczyła.

—Dowiedziałaś się?

—Tak — odparłam. — Nie chodzi o to, że jest żonaty. On z nią mieszka. I mają dziecko.

—Dwoje.

—Dlaczego mi nie powiedzieliście?

—Przykro mi. Chciałam. Tego wieczoru, gdy oznajmiłaś o waszych zaręczynach, mówiłam Danny'emu, że musimy ci powiedzieć, ale Danny stwierdził, że Simon nigdy by nam nie wybaczył.

To była — która? — trzecia, czwarta, piąta zdrada ze strony dorosłych? A ja myślałam, że Helen była moją przyjaciółką.

—Co Simon zamierzał? — zapytałam. — Popęlić bigamię?

—Tak — odpowiedziała poważnie. — Dokładnie to chciał zrobić. Miał wrażenie, że jeśli tego nie zrobi, straci cię. Bardzo cię kocha.

Wróciłam do domu i wrzasnęłam do rodziców:

— To przez was! To przez was się z nim spotykałam, to przez was się zaręczyłam.

Rodzice byli bladzi ze zdenerwowania. W przeciwieństwie do mnie, nie mieli sygnałów, że Simon jest nieuczciwy. Matka płakała. Gdy Simon przyszedł do nas tego wieczoru, ojciec podszedł do drzwi i próbował go uderzyć. Słyszałam, jak krzyczał:

— Zrujnowałeś jej życie!

Z okna swojego pokoju widziałam, jak Simon siedział w bristolu. Trzęsły mu się ramiona. Wtedy ojciec podszedł do samochodu i kopnął go z całych sił. Simon odjechał. Widok mojego ojca kopiącego samochód wydał mi się zabawny, miałam ochotę krzyknąć z okna: „Porysuj go, tato! Porysuj karoserię. To go naprawdę wkurzy!”.

To było dziwne lato. Moi rodzice rozpaczali i byli w głębokim szoku. Ja, choć oszukana w mniejszym stopniu, udawałam więcej smutku, niż rzeczywiście odczuwałam. Nigdy nie kochałam Simona, a zdaje się, że oni tak.

Siedziałam w swoim pokoju i każdego dnia odtwarzałam bardzo głośno *Symfonię d— moll* Cesara Francka. Najpierw byłam wściekła, potem zdezorientowana i niezdecydowana, co mam robić dalej. Nie miałam planów na lato ani na resztę życia. Gdy przyszły wyniki egzaminów z poszczególnych przedmiotów, okazało się, że dostałam najwyższe oceny nie tylko z angielskiego i francuskiego, czego się spodziewałam, ale też — *mirabile dictu* — z łaciny. Rzuciłam list na stół podczas śniadania i oznajmiłam:

— Widzicie? Mogłam się dostać do Oksfordu.

Ojciec wziął dzień wolny, chyba po raz pierwszy w życiu, i poszedł spotkać się z panną R. Garwood Scott. Bóg wie, jak bardzo bił się w pierś, a nienawidził tego, ale wrócił z ponurą miną i wielkim kompromisem. Dyrektorka zgodziła się, żebym podeszła do egzaminów do Oksfordu jako uczennica Lady Eleanor Holles. Mogłam zdawać w szkole. Nie pozwoliła mi jednak uczęszczać do szkoły — ojciec musiał zorganizować mi prywatne lekcje. Rodzice rozmawiali do późnej nocy o tym, jak znajdą nauczyciela i jak go opłacać. Dzień lub dwa później — zapewne na skutek indagacji panny R. Garwood Scott — zadzwoniła jedna z nauczycielek angielskiego i zaproponowała, że będzie mnie uczyć. Chciała nawet robić to za darmo, choć sądzę, że ojciec nalegał, aby jej zapłacić. Tej jesieni pisałam eseje i chodziłam na prywatne lekcje, ciężko pracowałam i czułam się samotna. Rodzice przeżywali tak głęboki smutek, że posiłki odbywały się w milczeniu. Raz lub dwa widziałam bristola zaparkowanego na końcu ulicy, lecz nigdy nie poczułam najsłabszej nawet pokusy, by do niego podejść.

Pewnego dnia tamtej zimy, siedząc przy stoliku w swoim pokoju i pisząc esej, zobaczyłam kobietę idącą powoli ulicą i patrzącą na nasz dom. Natychmiast odgadłam, że to żona Simona. Była ładniejsza, niż sobie wyobrażałam, choć, oczywiście, mamuśkowata i stara. Kilka minut później zawróciła i ruszyła ścieżką prowadzącą do domu. Mama musiała wyglądać przez okno na dole, bo krzyknęła do mnie:

— Zostań w swoim pokoju.

Zaprosiła kobietę do środka. Rozmawiały prawie pół godziny. Matka nie przekazała mi, co powiedziała pani Goldman. Z logiką typową dla jej umysłu na czwórkę stwierdziła, że to nie moja sprawa. Nie mogła jednak się oprzeć, aby nie powiedzieć z dziwną złośliwością:

— Nie byłaś pierwsza. Miał przed tobą inne dziewczyny. W każdym razie — kontynuowała — teraz siedzi w więzieniu. To dla niego najlepsze miejsce.

Przez chwilę myślałam, że trafił do więzienia z powodu związków z różnymi dziewczynami, ale mama powiedziała, że złapano go na wystawianiu czeków bez pokrycia. Został oskarżony o trzy przestępstwa, przesłuchany w sprawie stu dziewięćdziesięciu innych i skazany na sześć miesięcy.

Zdałam egzaminy do Oksfordu, chodziłam na rozmowy kwalifikacyjne i zostałam przyjęta do college'u St Annes. Podczas drugiego semestru jedna z zakonnice prowadzących akademik wręczyła mi karteczkę, którą przyniósł

pewien mężczyzna. Było na niej napisane: „Bubl z pełnym szacunkiem prosi o przyjemność przebywania w towarzystwie Minn przy kolacji w Randolph Hotel dzisiaj o 20". Podarłam karteczkę na oczach zakonnicy.

— Proszę nigdy nie wpuszczać tu tego mężczyzny — powiedziałam do niej. — To oszust.

Poszłam do Mertona, by poinformować o tym mojego chłopaka, Dicka. Stwierdził:

— Chciałbym go poznać. Chodźmy do Randolpha.

Tak też zrobiliśmy. Simon siedział w holu — ten jeden raz w życiu był punktualny. Wyglądał na starszego, bardziej zmęczonego i zaniedbanego, niż go pamiętałam. Jego twarz rozjaśniła się, gdy mnie zobaczył i posmutniała, gdy oznajmiłam:

—To jest mój chłopak, Dick. Simon zaproponował uprzejmie:

—Może zechcecie zostać na kolacji oboje, jako moi goście?

—A jak za nią zapłacisz? — warknęłam.

Dick spojrzał na mnie przerażony. Nigdy wcześniej nie słyszał, bym mówiła takim tonem. Simon w milczeniu wyjął spory zwitek banknotów z kieszeni. Skinęłam głową na zgodę.

Dick był urzeczony Simonem i zachwycony jego opowieściami o kibucu, łowieniu ryb na dynamit, koktajlach Mołotowa. Wszystko to już słyszałam, z wyjątkiem nowych opowieści z więzienia. Dąsałam się w czasie jeżdżenia. Simon powiedział, że po wyjściu z więzienia, natychmiast ruszył do

Sark — rzucił mi przy tym tak ckiwe spojrzenie, że niemal splunęłam — gdzie został ponownie aresztowany, gdy tylko wysiadł z samolotu w Jersey, bo wystawił na Wyspach Nor— mandzkich kilka czeków, których bank nie chciał zrealizować. Kiedy Dick odprowadzał mnie do akademika, powiedział:

—Już rozumiem, dlaczego dałaś mu się nabrać. Potrafi nieźle czarować, prawda?

—Nie — odparłam z wściekłością. — To obrzydliwy kryminalista i oszust. Nie waż się nigdy mówić, że go lubisz!

Czy Simon był oszustem? Cóż, był kłamcą i złodziejem, który wykorzystał swój urok jak łom, by włamać się do domu moich rodziców i ukraść to, co najcenniejsze, czyli mnie. Oczywiście, czas i Oksford też by mnie im ukradły, ale Simon uczynił to niemal w jedną noc. Aż do czasu naszych zaręczyn uważałam, że rodzice nie znali się na wielu rzeczach (na przykład na modzie, egzystencjalizmie i na tym, dlaczego Jane Austen jest lepsza od Georgette Heyer), ale ślepo akceptowałam ich moralną władzę. Dlatego gdy tak swobodnie porzucili edukacyjny ewangelizm, dla którego sprzedali mnie osiemnaście lat wcześniej, i powiedzieli, że powinnam rzucić Oksford, by poślubić Simona, pomyślałam: „Już nigdy więcej nie posłucham waszej rady w żadnej sprawie”. A gdy okazało się, że Simon jest żonaty, wyglądało to tak, jakby byli jego cichymi współnikami. Od tego czasu, kiedy opowiadałam im o swoich planach, słyszałam w odpowiedzi tylko skruszone: „Sama wiesz najlepiej”.

Co dostałam od Simona? Edukację — coś, czego moi rodzice zawsze sobie dla mnie życzyli. W ciągu dwóch lat bycia z Simonem sporo się nauczyłam. Poznałam drogie restauracje i luksusowe hotele, odbyłam podróże zagraniczne, dowiedziałam się o antykach, filmach Bergmana i muzyce klasycznej. To wszystko było bardzo przydatne, gdy trafiłam do Oksfordu — umiałam odczytać menu, rozpoznać miseczkę do obmywania palców, rozumiałam operę i nie byłam prostytutką. Była też największa korzyść. Moje doświadczenia z Simonem całkowicie wyleczyły mnie z pragnienia bycia wyrafinowaną. Gdy trafiłam do Oksfordu, chciałam tylko poznać miłych, porządnych, konwencjonalnych chłopaków w moim wieku. Nie miało znaczenia, czy nieporadnych, czy też prawiczków. Przecież w końcu jednego z nich poślubię i będę jego żoną do końca życia. Przypuszczam, że powinnam za to dziękować Simonowi.

Były też inne lekcje udzielone mi przez Simona, ale tych żałuję. Nauczyłam się nie ufać ludziom; nie wierzyć w to, co mówią, tylko obserwować, co robią; podejrzewać, że każdy jest zdolny żyć w kłamstwie. Zaczęłam wierzyć, że inni ludzie — nawet jeśli wydaje nam się, że dobrze ich znamy — są niepoznawalni. Ta wiedza była dobrą bazą dla mojej kariery dziennikarki, ale nie dla życia. Uczyniła mnie zbyt czujną, ostrożną i ubogą emocjonalnie. Moja edukacja mnie zniszczyła.

Oksford

W Oksfordzie wykonywałam najcięższą pracę intelektualną w życiu, ale nie chodziło tu o studiowanie literatury angielskiej, tylko o moje starania zmierzające do tego, by stać się zupełnie inną osobą od tej, na którą wyrosłam. Porażka z Simonem była wielkim ciosem w moją pewność siebie. Myślałam, że wiedziałam wszystko, a teraz dotarło do mnie, że nie wiedziałam nic. Co ważniejsze, to, czego nauczyłam się od rodziców i co od nich przejęłam, teraz uważałam za zawodne. Musiałam to przemyśleć od podstaw. Zdaje się, że nawet poszłam dalej — miałam wrażenie, że to, w co wierzyli moi rodzice, było z zasady złe i że jeżeli kiedykolwiek będę się z nimi zgadzała, natychmiast powinnam się tego wyprzeć. Musiałam odrzucić wszystko, od powiedzonka ojca: „Nie pożyczaj od kogoś ani komuś”, po powiedzonko matki: „Nie należy łączyć niebieskości z zieleniami”. W pewnym sensie problemem nie było to, co mówili. Bardziej martwiłam się ich postawami, uprzedzeniami, przekonaniem, które mogłam przejąć nieświadomie albo wtedy, gdy byłam za mała, by wiedzieć, czego się uczyć. Musiałam kwestionować wszystko, w co wierzyłam i nigdy nie akceptować własnych odruchów. To wymagało ciągłej czujności; i było intelektualnie wyczerpujące.

Moi rodzice nie wyrażali otwarcie swoich przekonań (te matki różniły się od tych ojca), ale oboje podzielali opinie, w duchu których dorastałam, głoszące że: praca jest dobra, a przyjemność zła; wyrzeczenie jest dobre, a brak umiaru zły; oszczędzanie pieniędzy jest dobre, a wydawanie ich złe; hazard jest czymś nie do pomyślenia; nieodpowiedzialność oznacza ruinę. Ludzie, którzy ignorują te zasady, źle kończą. Mówiąc krótko, przypuszczam, że był to typowy purytanizm angielskiej niższej klasy średniej, cechujący się kładzeniem silnego nacisku na ostrożność, izolacjonizm, „nie przeszkadzanie”, oszczędność, pruderię, moralne potępienie i głęboki lęk przed nieznanym, co obejmowało wszystko, od cudzoziemców po obce warzywa.

Ponadto matka udzieliła mi dziwnej rady, która dźwięczała mi w uszach przez wiele lat, że nie powinnam się zaprzyjaźniać z oczywistymi ludźmi, czyli ładnymi, popularnymi lub nawet lubianymi; miałam szukać dziewczyn z trądzikiem albo łupieżem, z jęklivymi głosami i nieszczęśliwych, bo tylko pośród nich znajdę prawdziwe przyjaciółki. Inne, te lubiane i ładne, miały mnie według niej zdradzić. I mimo że nigdy — dzięki Bogu — nie stosowałam się do tej rady, pozostała w mojej głowie, przez co nie ufałam ludziom atrakcyjnym lub popularnym. Gdybym się nad tym zastanowiła, choćby przez chwilę, dostrzegłabym, że moja matka była kiepską nauczycielką w kwestiach przyjaźni, bo przecież sama nie miała przyjaciół.

W każdym razie, to wszystko oznaczało, że przyjechałam do Oksfordu, by uczyć się nie literatury angielskiej, lecz umiejętności bawienia się. Od tej pory żyłam według zasady: będę chodzić na wszelkie imprezy, na które

mnie zaproszą, flirtować z każdym mężczyzną, jakiego spotkam, pić wszystkie drinki, palić wszystkie jointy i nigdy nie poświęcać lunchu dla wykładu lub imprezy dla seminarium. Dar w postaci doskonałej koncentracji, która zapewniła mi najwyższe oceny z egzaminów z poszczególnych przedmiotów, zaprowadził mnie do Oksfordu. Stamtąd wyszłam w świat jako w pełni świadoma hedonistka i femme fatale. Studiowałam pięknych ludzi i włączałam się w ich szeregi, a przynajmniej nie odstępowałam od nich na krok. Dajcie mi kapitanów drużyn krykieta z prywatnych szkół, dajcie mi urocze córki książąt, a nie pryszczate mądrale z północnych szkół średnich! Zamierzałam świetnie się bawić, do licha. Zamierzałam ciężko pracować, by zdobywać przyjemność. Chciałam studiować mężczyzn, mężczyzn i jeszcze raz mężczyzn, bo wiedziałam, że jestem na tym polu rozpaczliwą ignorantką. Jedynymi mężczyznami, których znałam dotychczas, byli Simon i mój ojciec. Obaj, choć w różny sposób, beznadziejni.

Oksford okazał się idealnym miejscem do studiowania mężczyzn, bo w owych czasach na jedną dziewczynę przypadało siedmiu studentów i jeżeli było się dość ładną, a ja byłam, naprawdę oganiało się przed nimi jak przed muchami. Co więcej, większość z nich była bogata lub miała na tyle bogatych tatusiów, by posłali ich do prywatnych szkół — z perspektywy czasu jest to szokujące, ale wtedy byłam po prostu zadowolona, że tak wielu mężczyzn chętnie fundowało mi kolację. Najbardziej podobali mi się ci ze sportowymi samochodami, którzy porywali mnie do wiejskich restauracji, takich jak Rose Revived; albo ci, którzy kupowali mi kosze piknikowe od Fortnum & Mason. Nigdy nikt nie pomyślał o skąpstwie. Pewnie w pubach kręcili się też jacyś biedni chłopcy, ale nie spotykałam się z nimi.

Miałam szczęście, że pierwszego dnia w college'u St Annes zaprzyjaźniłam się z inną nowicjuszka, Marią Aitken, wysoką, dowcipną, piękną córką członka parlamentu, która mieszkała w otoczonej fosą posiadłości wiejskiej w Suffolk. Była świetną mentorką mojego nowego życia hedonistki. Wkrótce po tym, gdy ją poznałam, dostałam zaproszenie od jej brata na spotkanie Stowarzyszenia Jamesa Bonda w budynku Oxford Union. Zapytałam Marię, o co chodzi. Zaśmiała się i stwierdziła:

— To jeden z genialnych pomysłów Jonathana. Oznaczało to, że Jonathan Aitken wystąpi w smokingu

w otoczeniu tuzina ślicznych nowicj uszek w najlepszych sukienkach, a kelnerzy będą podawać martini z wódką, wstrząśnięte, ale nie mieszane.

Co za jełop, pomyślałam. Było jednak mnóstwo innych zaproszeń od niejełopów. W mojej skrytce na listy codziennie znajdował się satysfakcjonujący stosik kopert z zaproszeniami na herbatkę, drinka, piknik, *fêtes champêtres*, przyjęcia koktajlowe. Początkowo byłam nieco zagubiona — pamiętam, jak zapytałam Marię, dlaczego napisano „impieza domowa”, skoro odbywa się ona w Magdalen. Maria przeprowadziła mnie przez to pole minowe i nauczyła, że jeśli na zaproszeniu napisano: „drinki od 18 do 20”, nie musiałam przybywać punktualnie o 18 i pić do 20 — miałam pojawić się około 19 i zostać nie dłużej niż godzinę. Na drugim semestrze myślałam, że znam już wszelkie możliwe odmiany imprez, ale zaskoczyło mnie zaproszenie na wspólne czytanie w Devon w Wielkanoc.

— Co się robi na wspólnym czytaniu? — zapytałam zdziwiona.

— Hm. Mieszka się w wynajętym domku i czyta książki.

To było jedno z nielicznych zaproszeń, które odrzuciłam.

Nie byłam szczególnie zaniepokojona, gdy otrzymałam pierwsze zaproszenie na kolację, ponieważ przypuszczałam, że to oznacza kolację w restauracji — do czego przyzwyczaiał mnie Simon — tyle że w obecności większej liczby osób. Przyjęcie odbywało się w Bear w Woodstock i było wspaniałe. Uczestniczyło w nim około szesnastu gości w smokingach, były wizytówki na stole. Zostałam zaproszona przez Charlesa Vyvyana, chłopaka z Balliol, który zabierał mnie gdzieś od czasu do czasu i nigdy nie dowiedziałam się dlaczego, ponieważ nie wydawał się mną choć trochę zainteresowany. Miałam na sobie zwykłą imprezowa sukienkę, zdecydowanie za krótką i za bardzo wyciętą na tę okazję. Nie znałam tam nikogo i, ku mojemu przerażeniu, zostałam posadzona daleko od Charlesa, między dwoma wybitnymi nauczycielami akademickimi. Jednym z nich był Maurice Keen, o którym później chodziły słuchy, że był w Oksfordzie główną wtyczką rekrutującą szpiegów, ale wtedy, oczywiście nie wiedziałam o tym. Konieczność rozmawiania z nauczycielem akademickim napawała mnie lękiem. Keen zadawał nedorzeczne pytania, na przykład czy wolę Elżbietę I od Marii, królowej Szkocji. Odparłam, że nie wiem, przecież studiuję literaturę a nie historię. Och! Przez jakiś czas milczał, po czym zapytał, którym bohaterem Dickensa chciałabym być najbardziej. Nie omawialiśmy jeszcze Dickensa,. Och! Zrozpaczony, podjął trzecią próbę.

—Jak ci się układa z lady Ogilvie?

—Kim jest lady Ogilvie?

— Och! Myślałem, że mówiłaś, że studiujesz w college'u St Annes.

— Tak.

— Sądziłem, że wiesz, iż lady Ogilvie jest dyrektorką twojego college'u.

Horror, horror!

Kolejny horror tamtego semestru polegał na odkryciu, że istnieją ludzie w moim wieku mądrzejsi ode mnie! W Lady Eleanor Holles nigdy się to nie zdarzało. Mówiło się w szkole o dwóch kujonkach fizyki i geniuszu matematycznym, ale to się nie liczyło. W Lady Eleanor Holles byłam niekwestionowaną gwiazdą angielskiego i nigdy nie przyszło mi do głowy, że każda szkoła w kraju ma swoją gwiazdę i że spotkam wiele z nich w Oksfordzie. Na pierwszym seminarium miałam za partnerkę Charlotte B., która, jak odkryłam po kilku minutach, była dwa razy inteligentniejsza ode mnie. Tematem był utwór *Faerie Chieene* Spensera. Wydawało mi się, że wykażałam się heroizmem, czytając kilka pieśni z tego steku staroświeckich nonsensów, ale Charlotte przeczytała wszystko i — co niesamowite — podobało się jej. Razem z panną Morrison przez godzinę wymieniały się entuzjastycznie cytatami, podczas gdy ja nadałam się i wpadłam w panikę.

W czasie pierwszego semestru często się dąsałam i wpadałam w panikę, zwłaszcza gdy poinformowano nas, że sami musimy się nauczyć języka anglosaskiego. Dostaliśmy podręcznik gramatyki i słownik. Mieliśmy wziąć się do pracy i przygotować do tłumaczenia *Boewulfa*. Wiedziałam, że nigdy nie będę w stanie przetłumaczyć *Boewulfa* i spanikowałam tak bardzo, że dostałam półpaśca i zostałam odesłana do domu z zaświadczeniem lekar-

skim zwalnającym z egzaminu. Uniknęłam egzaminów na koniec semestru i nigdy nie nauczyłam się anglosaskiego. Te długie święta Bożego Narodzenia w Twickenham dały mi dość czasu na przetrwanie faktu, że według standardów Oksfordu jestem intelektualną miernotą. Do tej pory zawsze sądziłam, że jestem znakomita — jeżeli nie byłam w czymś najlepsza, to tylko dlatego, że nie włożyłam w to wystarczająco dużo pracy. Seminarium z Charlotte pokazało, że są ludzie mądrzejsi ode mnie i żadne nawet największe zakuwanie tego nie zmieni. To był cios dla mojej dumy, ale nie dla nadziei — nigdy nie pragnęłam jakoś szczególnie być idealna.

To było kolejne odejście od rodziców. Mądrość, osiągnięcia akademickie — oto jedyne wartości, do których nauczyli mnie aspirować i według nich osiągnęłam wszystko, dostając się do Oksfordu. Jednak gdy się tam znalazłam, zrozumiałam, że mądrość to nie wszystko — istnieją inne cechy, takie jak wrażliwość, uprzejmość, urok, takt, o których nigdy nie myślałam nawet przez chwilę, a które były o wiele ważniejsze. Niezupełnie wróciłam do idei Charlesa Kingsleya: „Bądź dobra, słodka panno, i pozwól innym być mądrymi”, niemniej zaczęłam uważać, że powinnam przywiązywać mniej wagi do bycia mądrą, a więcej do bycia dobrą.

Ponadto porażka z Simonem pozostawiła mi wielki brak zaufania do uczenia się z książek, co do pewnego stopnia utrzymuje się do dzisiaj. Oto, co czułam: przeczytałam mnóstwo książek, powinnam być mądra, a nie rozpoznałam najbardziej oczywistego oszustwa na świecie. Miałam wrażenie, że muszę koniecznie zrozumieć Realne Życie, a Milton i Spenser nie mogli mi w tym pomóc. To było kiepskie nastawienie w przypadku podję-

cia trzyletnich studiów nad literaturą angielską. Czytałam klasyków niecierpliwie, zamiast rozkoszować się nimi, jak czyniłam to w szkole. Ja chciałam poznawać dzień obecny.

Chyba to nastawienie skierowało mnie ku dziennikarstwu — nadal od czuwam nieco przesadzoną nienawiść do wszystkiego, co ma związek z przeszłością. Musiałam wykazać się jakąś pracą, bo dostałam dość przyzwoitą ocenę za pracę magisterską, niemniej w moim przypadku kurs literatury angielskiej był stracony.

Z drugiej strony, bardzo sumiennie dążyłam do realizacji ustanowionego przez siebie celu — poznawania mężczyzn. Spotykałam się z jak największą ich liczbą — dość normalne było to, że jadłam lunch z jednym, piłam herbatę z drugim, jadłam kolację w towarzystwie trzeciego, a potem szłam na imprezę, by zapewnić sobie „towar” na kolejny tydzień. Mój kalendarz był tak wypełniony spotkaniami z mężczyznami, że nie było czasu na wykłady, a szanse na pisanie esejów miałam tylko wtedy, gdy siedziałam zamknięta w swoim pokoju w nocy. Często, zamiast pisać eseje, pisałam notatki na temat wszystkich swoich odkryć dotyczących mężczyzn. Badałam ich tak, jakby byli nowym gatunkiem — pisałam o ich wyglądzie, zwyczajach, środowisku i na tej podstawie dokonywałam zdumiewających uogólnień. „Mężczyźni lubią opowiadać o swoich psach, ale nie o siostrach”. „Zdaje się, że wszyscy uprawiają hazard”. „Lubią opowiadać o zabawach z czasów szkoły i dawnych nauczycielach”. Moja ciekawość była tak nienasycona, że przez całe wieczory wypytywałam mężczyzn o nich i nigdy nie miałam im za złe, że nie zadawali mi podobnych pytań. Nauczyłam się też,

aby nigdy, przenigdy, nie rozmawiać o pracy. Najgorszą rzeczą, jaką mogłam zrobić, było stwierdzenie, że lubię pisać eseje. Ważne, by wychodzić na głupią — co szło mi dość naturalnie. W szkole lubiłam popisywać się intelektualną wyższością; w Oksfordzie nauczyłam się, by nigdy tego nie próbować.

College St Anne's próbował poskromić mój sposób bycia, umieszczając mnie w akademiku zwanym Springfield St Mary, prowadzonym przez zakonnice. Co gorsza, dostałam najmniejszy pokój w akademiku, gdzie w rzeczywistości nie było miejsca na kota, nie mówiąc już o chłopaku, więc cały czas spędzałam w męskich akademikach. Na pierwszym roku mieszkałam głównie w Mertonie, ponieważ stamtąd był mój chłopak, Dick. Poznałam go w dziwny sposób. Zabrał mnie z ulicy wysoki, przystojny doktorant filologii klasycznej zwany Jo, który oznajmił, że zaprowadzi mnie do swojego młodszego brata, Dicka, mieszkającego w Mertonie. Wyjaśnił, że Dick, podobnie jak ja, właśnie przyjechał do Oksfordu, ale był raczej nieśmiały i nadal rozbity z powodu niedawnej śmierci ojca, więc przyda mu się towarzystwo miłej dziewczyny. Jo powiedział, że zrobił rozeznanie wśród wszystkich studentek pierwszego roku i wybrał mnie. Byłam nieco speszona takim podejściem — także dlatego, że podobał mi się Jo — lecz gdy tylko poznałam Dicka, ucieszyłam się. Był wysoki, przystojny, dowcipny, uroczy i miał dość szerokie usta. Jo uważał, że wygląda dokładnie jak Jean— Paul Belmondo. Po dniu lub dwóch byliśmy oficjalnie parą (choć jeszcze nie kochankami) i chodziliśmy po Oksfordzie za rękę.

Dick miał jedną wadę: chciał być aktorem (i nim jest, tyle że pod innym nazwiskiem). Grał Henryka V w Haileybury i wszyscy się zgodzili, że było to najlepsze wykonanie, jakie kiedykolwiek widzieli, więc Dick bardzo zapragnął grać w studenckim towarzystwie dramatycznym i podbić scenę londyńską. Ponieważ nie znieśliśmy rozłąki, jeździłam z nim na przesłuchania, na których był obsadzany w roli, na przykład, Hamleta, a ja służącej. Sądziłam, że po latach lekcji dykcji i pojawianiu się w amatorskich produkcjach matki z łatwością dostanę główne role, lecz niestety w Oksfordzie rywalizowałam z aktorkami, które miały prawdziwy talent — z Dianą Quick lub Tamarą Ustinov. Na początku pierwszego roku zostałyśmy z Tamarą obsadzone w rolach sióstr w komedii z epoki restauracji Stewardów. Pamiętam, jak patrzyłam na nią przez scenę, widziałam jej reakcję na to, co ktoś inny mówił i myślałam: „Boże, wygląda, jakby się naprawdę koncentrowała, a nie wygłaszała kwestii znanych od wieków”. Ja natomiast stawałam na scenie i szukałam wśród publiczności przyjaciół, do których machałam do czasu, gdy przychodziła kolej na mój występ — cóż, reżyserzy nie przepadali za mną z powodu tego zwyczaju. Chodzenie na próby z Dickiem przestało być fajne, bo jego role były coraz lepsze, a moje coraz gorsze. Do kryzysu doszło podczas letnich wakacji, gdy wystawialiśmy *Sen nocy letniej* w hotelu pod Stratford. Dick grał Demetriusza, a ja Hipolitę. Hipolita pokazuje się w scenie na początku sztuki i na końcu. Mieszkaliśmy w tym czasie w przyczepie na mokrym polu przez sześć tygodni.

Nasze rozstanie było nieuniknione, chociaż zawsze wspominałam Dicka — i nadal to czynię — jako swojego pierwszego chłopaka, wygodnie wymazując z pamięci Simona. Był moją pierwszą miłością i czułam się zdru-

zgotana, gdy wkrótce po rozstaniu zaczął spotykać się z Marią Aitken. Oczywiście istniało wielu innych, którzy mogli mnie pocieszyć i na drugim roku, nie będąc już z Dickiem, spotykałam się z mnóstwem chłopaków. „Spotykałam się” to raczej eufemizm; spałam z nimi; prowadziłam rozwiązły tryb życia. Nadal byłam przybita z powodu Dicka i chciałam szybko znaleźć innego chłopaka, więc pomyślałam, że przyspieszę proces — zamiast tracić nieskończenie wiele wieczorów na chodzenie na randki, dlaczego nie miałabym pójść z mężczyzną do łóżka od razu i stwierdzić, czy mi się podoba? To było dość niezwykle podejście w Oksfordzie w owym czasie i zapewniło mi zasłużoną reputację łatwej panienci — na drugim roku spałam chyba z pięćdziesięcioma mężczyznami. W tamtych dniach fantazjowałam o spotkaniu nieznanego, z którym nie zamienię słowa, wskoczę z nim do łóżka i dopiero potem porozmawiam. Jednak często nie było żadnego „potem”, dlatego że seks okazał się katastrofą lub moja pozorna seksualna pewność siebie odstraszała ich. Udawałam wielkie, głośne orgazmy z mnóstwem: „Tak! Tak! Jeszcze!”, lecz nadal nie doświadczałam ich naprawdę. (To dziwne, że wytrwałam przy seksie tak długo. Zazwyczaj panicznie boję się nudy. Gdybym poszła obejrzeć balet i stwierdziła, że to nudne, nie poszłabym na spektakl nigdy więcej. W pewien sposób wiedziałam, że seks w końcu będzie taki, jak należy i rzeczywiście tak było).

Jednym z niewielu dobrych facetów, których poznałam w okresie rozwiązłości, był Howard Marks, student fizyki z Balliol, który później zdobył sławę jako Pan Miły, dealer narkotyków. Miał równie swobodne podejście do wskakiwania do łóżka jak ja i nagroził mnie zaszczytem Wielkiego Pieprzenia. W owym czasie wyróżniał się w Oksfordzie nie jako

kryminalista i dealer narkotyków, ale jako syn walijskiego górnika, który dorastał w górniczej wiosce, gdzie wszyscy mówili po walijsku i trzymali węgiel w wannach. Później dowiedziałam się, że oboje jego rodzice byli nauczycielami, lecz Howard słusznie uznał, że syn górnika brzmi lepiej. Nosił niebieskie zamszowe buty, cudownie udawał Elvisa i twierdził, że stracił dziewictwo ze swoją ciotką, gdy miał osiem lat. Z pewnością był doświadczonym i hojnym kochankiem, prawdopodobnie pierwszym prawdziwym Don Juanem, jakiego poznałam, i byłam mu wdzięczna za edukację seksualną, jaką od niego otrzymałam. Nigdy nie wiązałam go szczególnie z narkotykami, choć zdaje się, że przez cały czas palił trawkę. Lecz wtedy wszyscy palili. No dobrze, ja nie paliłam, ale udawałam, że to robię. Nigdy nie odmawiałam, gdy ktoś proponował mi jointa, jednak sama nic nie kupowałam i nie brakowało mi tego, gdy jeździłam na wakacje do Twickenham. Zawsze wolałam papierosy.

Kiedy, jeśli w ogóle, zajmowałam się pracą akademicką? Musiałam coś robić, skoro zostałam magistrem, ale nie pamiętam, żebym kiedykolwiek chodziła na wykłady. Nie jestem nawet pewna, czy wiedziałam, gdzie były prowadzone. Nigdy też nie postawiłam nogi w bibliotece Bodleian. Podało mi się studiowanie gramatyki i etymologii; mogłam pisać przekonujące eseje o Szekspirze, ponieważ poznałam go dogłębnie w szkole; szukałam poetów piszących najkrótsze dzieła — metafizyków, Keatsa, Gerarda Manleya Hopkinsa — i unikałam takich, jak Tennyson i Spenser, którzy rozwodzili się bez końca. Podobnie było z pisarzami — Austen była lepsza od Dickensa, bo napisała mniej; uwielbiałam Fanny Burney, ponieważ napisała tylko jedną powieść. Do dzisiejszego dnia nie przeczytałam wszystkich

powieści Dickensa. Moją zaletą było to, że szybko się uczyłam, dlatego egzaminy mi odpowiadały — zakuwałam przez tydzień, po czym jednego dnia wypluwałam z siebie wszystko, aby później o tym zapomnieć. Zgadza się, że system prac okresowych jest jedyną słuszną metodą oceny osiągnięć akademickich — równocześnie dziękuję swojej szczęśliwej gwiazdzie za to, że nie istniał on w czasach mojej młodości.

Trzy lata w Oksfordzie były schizofrenicznym przełączaniem się między niekończącymi się imprezami w czasie semestru i beznadziejnie nudną pracą w czasie wakacji. Nie była to praca akademicka, tylko czasowe zatrudnienie w biurze. Zanim pojechałam do Oksfordu, rodzice kazali mi zrobić kurs sekretarski („coś na wszelki wypadek”) i miałam certyfikat stwierdzający, że potrafię stenografować sto słów na minutę i pisać na maszynie z prędkością czterdziestu słów na minutę, chociaż wątpię, abym kiedykolwiek posiadała te umiejętności. Oznaczało to jednak, że mogłam zwracać się do agencji prac biurowych w każde wakacje i pracować przez kilka tygodni w firmach przewozowych oraz agencjach ubezpieczeniowych, by mieć pieniądze na ubrania na kolejny semestr i na taksówki. Wiele biur było tak di— ckensovskich, że nie mogłam uwierzyć w ich istnienie w latach sześćdziesiątych. W jednym pomieszczeniu siedzieli rzędami mężczyźni zwani „juniorami”, a w drugim — rzędy maszynistek zwane „dziewczynami” (mimo że wiele z nich było w wieku średnim). Wzywali nas kolejni juniorzy, którzy mówili:

— Proszę napisać list, panno Barber. — Po czym zaczęli dyktować. Mówili tak powoli i przewidywalnie, że nigdy nie musiałam stenografować

— mogłabym wyryć ich słowa w granicie, podczas gdy je sączyli. W listach zawsze znajdowały się linijki: „Szanowny Panie. Potwierdzamy otrzymanie Pańskiego listu 29 ult (ult to tajemniczy skrót oznaczający ostatni miesiąc). Badamy kwestie przez Pana poruszone i obiecujemy przedstawić nasze wnioski w przyszłości”. Innymi słowy, odwal się pan. Ten bezużyteczny list sporządzało się w trzech kopiach (co oznaczało konieczność używania kalki i brudzenie tuszem palców), które następnie wkładało się do teczek przechowywanych w metalowych szafkach. Jeżeli popełniło się błąd, trzeba było zaczynać od początku — w większości biur używanie korektorów było zakazane. Pod koniec dnia kosz na papier był pełen zmarnowanych kartek i kalki. Przynajmniej trzykrotnie wyrzucałam do niego zawartość popielniczki (w tamtych czasach, rzecz jasna, można było palić w biurze) i rozpalałam porządne ognisko. Moja norma wynosiła pięć listów dziennie — uchodziłam za szczególnie wydajną pracownicę, byłam chwalona i polecana przez agencję. Ludzie pracowali w tych biurach — tych samych biurach z tymi samymi kwiatami w doniczkach — przez całe życie. Wydaje mi się, że to właśnie znajomości owych biur zawdzięczam tę odrobinę ambicji, jaką mam. Motywacją mojego ojca był strach przed przytułkiem, który widział w dzieciństwie w Bolton, zaś w moim przypadku bodźcem zmuszającym do działania było wspomnienie pokoju maszynistek w agencji ubezpieczeń Prudential przy ulicy High Holborn. Gdy zbliżał się koniec studiów w Oksfordzie, wpadłam w panikę myśląc, że pochłonie mnie Prudential i już nikt mnie nie zobaczy. Na szczęście w samą porę poznałam swojego męża.

David

Poznałam Davida w ostatnim miesiącu ostatniego semestru w Oksfordzie i od razu wiedziałam, że to Ten Jedyńy — mężczyzna, którego muszę poślubić. Nie chodziło tylko o to, że mi się podobał lub że chciałam z nim chodzić; czułam, że chcę z nim spędzić życie. Nie wiem, skąd ta pewność, ale wiem, że ją czułam i towarzyszyła mi ona przez ponad trzydzieści lat małżeństwa. Nawet w złych chwilach, gdy myślałam, że byłabym szczęśliwsza, gdybym w ogóle nie wychodziła za mąż, nigdy ani przez chwilę nie pomyślałam, że mogłabym być szczęśliwsza, będąc żoną kogoś innego. David był najlepszym mężem, jakiego mogłam mieć lub pragnąć. Wiedziałam o tym od pierwszej chwili, gdy go poznałam.

Pewnego dnia pojawił się w moim pokoju ze swoim przyjacielem, Timem Jealem. Spotkałam Tima Jeala kilkakrotnie na imprezach i być może podobałam mu się — w końcu to był jego pomysł, żeby wziąć Davida i odwiedzić mnie w St Anne's. Zdobyli gdzieś taśmę do dalekopisu i udawali, że ją odczytują; śmiali się i krzyczeli, prawdopodobnie pijani lub naćpani. Tim Jeal plótlł trzy po trzy i przeczesywał palcami swoje piaskowoblond włosy, ale ja patrzyłam na ciemnowłosego, niebieskookiego mężczyznę o oliwkowej cerze, który przyszedł razem z nim i myślałam: „To Ten jedyńy”. Wspomniał coś o powrocie do Meksyku na czas wakacji, więc przyjąłam, że jest Meksykaninem. Miał zaczesane do tyłu włosy, dzięki czemu

wyglądał meksykańsko — większość studentów w tamtych czasach nosiła fryzury na Beatlesów lub miała długie loki. Wydawał się egzotyczny, tajemniczy, nieco ponury. Postanowiłam go usidlić.

Uganiecie się za nim było trudne, ponieważ oboje gorączkowo szykowaliśmy się do egzaminów końcowych. Co więcej, mieszkał w wiosce poza Oksfordem i rzadko przyjeżdżał do miasta. Przez to musiałam poświęcić dużo czasu na studiowanie rozkładów jazdy autobusów i szwendanie się w okolicy dworca autobusowego, a i tak udało mi się na niego wpaść tylko kilkakrotnie. Spotkałam go też na imprezie i zmusiłam do tego, żeby zabrał mnie na czytanie poezji w Albert Hall, lecz do czasu, gdy kilka tygodni później wyjechaliśmy z Oksfordu na dobre, udało mi się poczynić niewielkie postępy. Wiedziałam, że mu się podobam i że uważał mnie za zabawną, ale to wszystko — nie posuwał się dalej poza trzymanie mnie za rękę.

Pojechał do rodziców do Meksyku, a ja wróciłam do swoich do Twickenham, gdzie pracowałam dorywczo jako maszynistka. Nawet nie miałam jego adresu. Byłam zrozpaczona.

Pewnego dnia wpadłam na kolegę z Oksfordu, Nica Mudie— go. Żaliłam się na niedolę mieszkania w Twickenham.

— Mam w Stockwell dom, w którym mogłabyś mieszkać, ale jest w zasadzie w ruinie — powiedział.

Poinformował mnie, że jego matce skończyła się umowa najmu domu w South Kensington, więc kupiła tę starość w Stockwell. Nic miał się zająć

odnowieniem domu, ale nie mógł dostać pożyczki, żeby zacząć prace, tak więc budynek stał pusty. Powiedział swobodnie:

— Mieszka tam jeszcze jedna osoba. David, ten artysta z New College. Znasz go?

— Aaaa — wybełkotałam, niezdolna wymówić słowo. Przeniosłam się na Groveway w Stockwell tego samego dnia.

Dom był ogromny — cztery piętra, przynajmniej tuzin dużych pokoi, lecz w wielu z nich nie można było zamieszkać z powodu braku szyb lub popękanych desek w podłodze. Piwnica i parter były zapchane dosłownie od podłogi po sufit meblami z domu w South Kensington. Musiałam przeciskać się między szafami i przechodzić nad stołami, żeby dostać się od drzwi wejściowych do schodów. Na ostatnim piętrze znalazłam trzy puste pokoje w miarę dobrym stanie, a także działającą toaletę i umywalkę. Co więcej, w jednym z pokoi znajdowały się materac leżący na podłodze i porzucane ubrania, które prawdopodobnie należały do Davida. Nic znalazłam dla mnie materac i krzesło, po czym wyszedł. Pierwszą noc w tym domu spędziłam sama. Byłam zbyt zziębnięta, przerażona i podekscytowana, by spać.

Następnego dnia kupiłam elektryczny piecyk i wyciągnęłam ze sterty mebli na dole kolejne krzesło, koce i lampę. Potem usłyszałam, jak otwierają się drzwi i ktoś przedziera się głośno przez meble w stronę schodów. Czy to włamywacz, czy... ?

— Cześć — powiedziałam swobodnie. — Nic powiedział, że mogę się tu na jakiś czas zatrzymać. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

— Jasne, że nie — odparł. — Pomogę ci znaleźć jakieś meble. Poszliśmy na dół i dźwigaliśmy meble do czasu lunchu. Zdobyliśmy całkiem niezły łup: wspaniałe łóżko, dwa wiktoriańskie fotele i doskonały turecki dywan. David powiedział, że gdzieś w piwnicy jest kuchnia, lecz była zbyt zavalona meblami, by tam wejść, więc poszliśmy na lunch do robotniczej kawiarni, a potem do Tate Gallery. Podczas jazdy autobusem do domu pocałował mnie w policzek i tak to się zaczęło.

Całą mroźną zimę spędziliśmy przy Groveway. Jednym z pierwszych prezentów, jakie David mi sprawił, był wylinia— ty kożuch z Oxfam, który bardzo mi się przydał — wkładałam go, by wyjść do toalety. Zdołaliśmy przekształcić nasz pokój w gniazdko; zawiesiliśmy lub upięliśmy każdą zasłonę, dywan lub koc, jakie udało nam się znaleźć. Kąpaliśmy się w łaźni publicznej Camberwell, wpraszaliśmy się na posiłki do przyjaciół, stopniowo odkopaliśmy kuchnię i nauczyliśmy się gotować — a raczej David nauczył się gotować, mnie się to nie udało. Studiował książkę kucharską *Larousse Gastronomique* i robił doskonałe suń¹ ety, podczas gdy ja miałam nadal problemy z zapiekanką z peklowanej wołowiny.

Przyjaciele twierdzili, że jesteśmy bardzo dzielni, mieszkając w Stoc-kwell. Obecnie SW9 uchodzi za elegancki adres, lecz w tamtych czasach była to ponura, podupadła okolica, w której nadal było widać liczne ślady po wojennych bombach i potworne, gnijące osiedla domów komunalnych. Brixton, leżące półtora kilometra dalej, było w całości zamieszkane przez

ludzi z Indii Zachodnich. W Stockwell było więcej białych, głównie Irlandczyków, lecz w stu procentach była to biedota. Większość domów przy Groveway podzielono na kawalerki, a wszystkie samochody stojące wzdłuż ulicy były wrakami, które bracia O'Hagan za rogiem mieli zreperować, ale nigdy tego nie zrobili.

Jednak Stockwell zmieniało się. Pewnego dnia David wrócił do domu z dziwnym, fioletowym czymś. Powiedział, że to bakłazan i że kupił go w miejscowym warzywniaku.

- Nie rozumiesz, co to oznacza? — zapytał. — Jest niczym gałązka przyniesiona przez gołębia na Arkę.

- Nie rozumiem — odparłam. — Mówiłeś, że to warzywo.

Wyjaśnił mi, że w okolicy muszą mieszkać ludzie z klasy średniej, którzy czytają Elizabeth David i wiedzą, co zrobić z bakłazaną. To znaczyło, że okolica się poprawiała. I rzeczywiście, krótko po tym, jak to powiedział, na naszej ulicy pojawiło się mnóstwo kontenerów na gruz i szyldów agencji nieruchomości. Irlandzki dom po drugiej stronie ulicy, na którym było dwadzieścia dzwonek i przed którym leżała sterta złomu, nagle otrzymał gustowną mosiężną kołatkę i wyrósł przed nim rycynus. Stockwell, a zwłaszcza Groveway, nagle zrobiła się tak modna, jak obecnie Notting Hill (kilka lat później księżna Diana będzie chodzić tam na kolacje). Banki prześcigały się między sobą, by dać Nicowi pożyczkę na odnowienie domu, a my musieliśmy się wyprowadzić. Nie było sprawy. Udało mi się do tego czasu usidlić Davida i już nigdy go nie opuścić.

Dlaczego byłam taka pewna, że David jest Tym Jedynym? Przede wszystkim dlatego, że był bosko przystojny i pozostał taki przez całe życie. Ludzie mówią, że nie powinno się kogoś poślubiać za jego wygląd, ale się z nimi nie zgadzam. Gdybym zsumowała przyjemność, jaką dało mi patrzenie na Davida przez te wszystkie lata, miałyby dość pokaźne rozmiary. Czasami, gdy siedzieliśmy na kanapie i oglądaliśmy telewizję, spoglądałam na jego profil i mówiłam: „Rany!”. Piękny mąż oznaczał piękne dzieci, których bym nie miała, gdybym poślubiła jakiegoś ropucha. Tak więc wygląd był ważny. Oczywiście, były też inne cechy. Miał uroczy, melodyjny głos i zawsze śpiewał, wszystko, od irlandzkich ballad Count John McCormacka po piosenki z musicali. Był genialnym kucharzem i nic nie dawało mu większego szczęścia, niż przygotowanie bajecznego jedzenia. Miał cudowne oko i zawsze wyszukiwał różne szczegóły — malunek na szyldzie pubu, śliczne zielone porosty na pniaku świętego drzewa — których ja bym nie zauważyła. Uwielbiałam chodzić z nim do galerii i muzeów, bo tak wiele mnie uczył. Cechowało go takie samo czarne poczucie humoru, jak mnie — na przykład oboje uważaliśmy za przezabawne, że Tommy Cooper zmarł na atak serca, występując w programie telewizyjnym *Live from Her Majesty's*. To przejaw złego gustu, wiem, ale był to nasz zły gust i nasza silna więź, których inni nie akceptowali.

Byliśmy podobni pod milionami względów — oboje nienawidziliśmy teatru, uwielbialiśmy operę, nie znosiliśmy sportu i kochaliśmy galerie sztuki. Pewnego razu wypełniliśmy test psychometryczny dla przyjaciela, który uczył się na psychiatrę. Przyjaciel stwierdził, że nigdy nie widział dwóch równie podobnych wyników. Oboje byliśmy spod znaku Bliźniąt

(choć, rzecz jasna, nie wierzyliśmy w astrologię!) i zachwyciło nas, gdy usłyszeliśmy, że Bliźnięta powinny pobierać się z Bliźniętami, bo są okropnymi partnerami dla innych znaków. My, Bliźnięta, jesteśmy małżeńskimi trędowatymi w krainie ciał niebieskich.

Jednak różniliśmy się pod jednym ważnym względem. David był dobry, dogłębnie uprzejmy, prawdomówny, przyzwoity, ja natomiast byłam nieco moralnie zepsuta. Podczas lat spędzonych z Simonem stałam się biegłą w kłamstwie i trudno mi było pozbyć się tej umiejętności. Jednak wiedziałam, że muszę poślubić kogoś dobrego. Nie miałam nic przeciwko temu, by moimi chłopakami byli źli chłopcy — w rzeczywistości pociągali mnie — ale na męża chciałam kogoś w stu procentach przyzwoitego. Dzięki Bogu, że miałam tyle rozsądku, by to dostrzec.

Różniliśmy się też pochodzeniem. David nie był Meksykaninem — to okazało się nieporozumieniem — lecz dorastał głównie za granicą, ponieważ jego ojciec pracował w różnych krajach jako dyrektor British Council. Mój teść, Maurice, pochodził ze starej angielskiej szlachty — drugie imię Davida, Cloudesley, zostało mu nadane ku czci jednego z przodków, admirała sir Cloudesleya Shovela — i podobnie jak jego bracia, uczył się w Eton i Oksfordzie, po czym trafił do Gwardii. Służył w stopniu majora w czasie wojny i był zaangażowany w potajemne działania „Paddyego” Leigh—Fermora w Grecji (wspomniano o nim w *Kapitanie Corellim*), a potem został mianowany dyrektorem British Council w Grecji. Później stacjonował we Włoszech, na Cyprze (gdzie, zdaje się, odegrał potajemnie rolę w negocjacjach z Makariosem), w Belgii, Meksyku, Tajlandii i wreszcie w Paryżu.

Wysoki, wyprostowany, zasadniczy, zawsze nienagannie ubrany Maurice był w każdym calu sztywnym, tradycyjnym angielskim dżentelmenem, jednak nie aż tak konwencjonalnym, jak się wydawał. Napisał kilka dość dobrych książek podróżniczych i powieści pod pseudonimem John Lincoln oraz poślubił Leonorę, która będąc aktorką i Żydówką, nie do końca była żoną, jakiej można by oczekiwać dla mężczyzny z tej klasy. Stanowili niezwykłą parę — on wysoki, jasnowłosy, angielski, ona drobna, ciemnowłosa, o sefardyjskiej urodzie.

David odziedziczył po nich to, co najlepsze — wzrost ojca i jego porcelanowo błękitne oczy oraz gęste włosy i oliwkową cerę matki.

Jako młody chłopak mieszkał z rodzicami za granicą — pamiętał idylliczne lata we Włoszech i na Cyprze — ale gdy skończył osiem lat, rodzice wysłali go do prywatnej szkoły podstawowej w Anglii. Nie widział ich ponad rok. Spędził wakacje ze swoją ciotką Anną, siostrą Leonory, która poślubiła notariusza z Leeds i prowadziła koszerny dom, więc David z jednej strony poznawał żydowskie tradycje, a z drugiej rytuały szkoły z internatem. Nienawidził szkoły tak bardzo, że rzadko o niej mówił. Wspominał coś o zimnym, ohydny jedzeniu i samotności. Wiele lat później, gdy nasza córka Rosie skończyła osiem lat, David popadł w dziwną depresję i wreszcie wyjaśnił, że przypomniało mu się, jak został wysłany do szkoły, gdy był w jej wieku. W owym czasie było to, rzecz jasna, normalne (wielu ludzi mieszkających na obczyźnie wysyłało dzieci do domu do Anglii, gdy miały pięć lub sześć lat), lecz zawsze, gdy Leonora mówiła z zachwytem o

tym, jaką była kochającą matką, musiałam gryźć się w język, by nie powiedzieć: „Ale wysłałaś Davida do Anglii, gdy miał osiem lat!”.

W każdym razie David przeżył szkołę podstawową, a potem Eton, z dużym stoicyzmem, aczkolwiek, jak sędzę, głęboko nieszczęśliwy. Gdy wiele lat później zabieraliśmy syna przyjaciela z Eton na niedzielny lunch, błagałam Davida, żeby przynajmniej oprowadził mnie po kaplicy, ale nigdy tego nie zrobił — nawet nie wysiadał z samochodu. Jediną zaletą Eton był świetny nauczyciel plastyki, Wilfrid Blunt, który pozwalał Davidowi zostawać w pracowni, gdy wszyscy inni wiosłowali lub grali w okropne gry. Praktycznie mieszkał w pracowni, a jego najlepszymi przyjaciółmi w Eton byli inni artyści, w szczególności Edmund Fairfax— Lucy, który został członkiem Akademii Królewskiej, i Nick Gosling, syn krytyka sztuki, Nigela Goslin— ga, który prowadził towarzystwo filmowe.

David chętnie poszedłby do szkoły sztuk pięknych, ale jego rodzice wybrali konwencjonalną drogę, według której musiał zdobyć odpowiedni tytuł — zawsze przecież mógł malować w czasie wolnym. Tak więc znalazł się w New College w Oksfordzie, aby studiować filozofię, fizjologię i psychologię — wyjątkowo bezużyteczny przedmiot, który, zdaniem Davida, polegał wyłącznie na obserwowaniu szczurów w labiryntach. Większą przyjemność sprawiało mu działanie w Komitecie sztuki college'u. Spędził wiele szczęśliwych dni w Londynie, wybierając grafiki i obrazy do pokoju studentów. Rysował też piękne ilustracje umieszczane na okładkach „Isis” i innych czasopism studenckich.

Taki był David, którego poznałam w 1966 roku. Był bardziej obyty ode mnie. Więcej czasu spędził za granicą niż w Anglii; oglądał operę w La Scali i jadł lunch z Haroldem Actonem w La Pietra; odwiedził Wielki Kanion i wspaniałe świątynie Majów; dobrze mówił po włosku i francusku, a także nieco po hiszpańsku; jadał w trzygwiazdkowych restauracjach z przewodnika Michelin i potrafił rozmawiać o truflach; znał sławnych pisarzy i artystów, takich jak Leonora Carrington, Stephen Spender, Lawrence Durrell, którzy byli przyjaciółmi rodziny. A jednak zawsze zaskakiwało mnie to, czego nie wiedział. Prawie nie znał Anglii i był zachwycony, gdy zabrałam go do Kornwalii i Krainy Jezior. Bał się rachunków, formularzy podatkowych, policjantów, lekarzy i wszelkich przedstawicieli władzy. W dziwny sposób bał się również ludzi z klasy robotniczej — to zawsze ja decydowałam, którego sprzątacza, ogrodnika, hydraulika, elektryka zatrudnimy, ponieważ każdy z nich budził w nim jednakowy niepokój. Później, gdy twierdził, że stał się marksistą, powiedziałam mu, że nie może być marksistą i równocześnie nienawidzić klasy robotniczej. Powiedział, że wcale jej nie nienawidzi — opierał się na założeniu, że to oni nienawidzą jego.

Gdy zamieszkaliśmy w Stockwell, David malował i rysował, ale nie podejmował wysiłków zmierzających do sprzedania prac lub nawet pokazania ich komuś. Miał dość pieniędzy na życie, ponieważ jego rodzice nadal mieszkali w Meksyku i powierzyli mu zarządzanie ich domem pod Oksfordem w Little Haseley. Mógł zostawić sobie resztę pieniędzy z najmu po opłaceniu rachunków. Zappełnił dom przyjaciółmi z Oksfordu. Jeździliśmy tam w weekendy, by wziąć gorącą kąpiel i pobrać czynsz.

Gdy opuściliśmy Stockwell, potrzebowaliśmy więcej pieniędzy, więc David musiał pójść do pracy. Przyjaciel z Oksfordu, Paddy Scannell, pomagał założyć nowy kurs dziennikarstwa na Regent Street Polytechnic i powiedział, że mógłby załatwić Davidowi kilka godzin tygodniowo wykładów z przedmiotów ogólnych. Niebawem kierunek zafascynował Davida, który z przedmiotów ogólnych przerzucił się na historię telewizji, jego zdaniem poważnie zaniedbywaną. Razem z Paddym napisali książkę o pierwszych latach BBC. Gdy kierunek się rozrastał, zwiększały się też obowiązki Davida, aż w pewnym momencie został dyrektorem wydziału. Uwielbiał te pierwsze lata na politechnice, kiedy to nadal określali terytorium dziennikarstwa i działali na rzecz zaakceptowania go jako niezależnego kierunku.

(Wciąż wściekam się na ludzi — niestety, także wielu kolegów dziennikarzy — którzy uważają, że dziennikarstwo jest bezwartościowym lub niepoważnym kierunkiem. Wiem, że nie zawsze jest to nauka dużego kalibru, lecz nie rozumiem, jak można mieć zarzuty do dziennikarstwa jako przedmiotu, skoro żyjemy w epoce zdominowanej przez media. Czy nie jest ważne, by dać młodym ludziom pojęcie o tym, jak media działają? Czy ktokolwiek może poważnie utrzymywać, że łacina jest nadal istotniejsza?).

Po Stockwell nastąpiło kilka miesięcy wędrownego stylu życia i pomieszkiwania u przyjaciół — jedną z korzyści związanych z nauką Davida w Eton było to, że miał mnóstwo bogatych znajomych dysponujących wolnym pokojem. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Oakwood Court, Kensington, jednym z wielkich pałaców zamieszkałych przez szpiegów i emeryto-

wanych pracowników służby cywilnej, a krótko w Mayfair w mieszkaniu dozorca na poddaszu pięknego georgiańskiego domu. To był wspaniały adres i urocze mieszkanie — niestety, zaprojektowane dla karłów. Jedynie na środku salonu znajdowało się małe miejsce, w którym mogliśmy stać wyprostowani, a podwójne łóżko było mniejsze od większości dziecięcych tapczanów — uprawialiśmy seks tylko w pozycji „na łyżeczkę”. Mimo pięknego domu Mayfair okazało się beznadziejnym miejscem pod względem zaopatrzenia. Nie było tam sklepów spożywczych ani trafiki, jeszcze mniej pralni samoobsługowych, a jedynym miejscem, w którym stać nas było na jedzenie, było centrum prowadzone przez sektę o nazwie The Process. Nauczyliśmy się jeść bardzo szybko i kończyć, zanim jacyś szaleńcy z obłędem w oczach zaczęli wypytywać, czy znaleźliśmy sens życia.

— Tak, tak — odpowiadaliśmy. — Poproszę keczup. Pochłanialiśmy jeszcze kilka kęsów i rzucaliśmy się do drzwi. Wreszcie David wpadł na kolegę ze szkoły, S., który zapytał,

czy nie chcielibyśmy wynająć jego mieszkania w Haverstock Hill przy Belsize Park. To była bajeczna umowa — osiem funtów tygodniowo za w pełni umeblowane, trzypokojowe mieszkanie z widokiem na wspaniały, mierzący pół akra ogród. Teoretycznie zajmowanie się ogrodem było naszym obowiązkiem, ale na szczęście pani Franks z góry zapytała, czy mogłaby w nim czasami posiedzieć w zamian za pielęgnowanie go. Układ okazał się idealny, bo pani Franks była cudowną ogrodniczką, dobrze reagującą na moje sporadyczne polecenia: „Więcej pachnącego groszku”, „Żadnych nagietków”. Postawiła się tylko raz, gdy powiedziałam, że chcie-

libyśmy uprawiać warzywa. Wtedy oznajmiła silnym niemieckim akcentem:

— To jest miła okolica. Nie mogę na to pozwolić.

Ten jeden raz w życiu czułam, że nie ma sensu się kłócić.

W owych dniach Belsize Park była żydowską okolicą z dobrymi delikatesami, które zamykano w soboty i otwierano w niedziele. Mieszkaliśmy tam przez siedem lat — jedyną małą tajemnicą było to, dlaczego przyjaciel Davida, S., zrezygnował z tak cudownie taniego mieszkania. Wreszcie pani Franks oświeciła nas. Człowiek, z którym S. mieszkał, popełnił samobójstwo w pewien weekend i S. znalazł jego ciało po powrocie. Od tego momentu nie był w stanie tu mieszkać. Kilka lat później, gdy opuściliśmy mieszkanie, historia miała dziwne postscriptum. Właścicielka zapytała, czy zgodzimy się sprzedać jej dywany, zasłony i meble, żeby mogła wynajmować mieszkanie jako umeblowane. Zawsze zakładaliśmy, że było umeblowane przez nią, jednak okazało się, że wszystkie rzeczy należały do człowieka, który popełnił samobójstwo. David skontaktował się z S., żeby zapytać, czy chce te rzeczy — nie chciał, więc otrzymaliśmy tę przydatną spuściznę w postaci łóżek i pościeli, dywanów i foteli, rondli i naczyń żaroodpornych po zmarłym, którego nigdy nie znaleźliśmy. David czasami mówił makabrycznym tonem:

— Jemy z talerzy umarlaka.

A ja odpowiadałam radośnie:

— Tak. Czyż nie są ładne?

Nadal mam niektóre z nich. To był dziwny prezent z za grobu.

Pobraliśmy się w 1971 roku, gdy mieszkaliśmy w Haverstock Hill, nie dlatego, że mieliśmy bzika na punkcie małżeństwa, ale dlatego, że w owych czasach tylko małżeństwo mogło dostać wspólny kredyt hipoteczny, a my postanowiliśmy kupić dom. Chcieliśmy, żeby nasz ślub wiązał się z jak najmniejszym zamieszaniem. Pobraliśmy się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Hampstead po drugiej stronie ulicy. Kupiłam uroczą, czerwoną sukienkę Gini Fratini, a David włożył swój najlepszy garnitur z Carnaby Street. Zapytałam, czy musimy zapraszać rodziców, a David odparł, że owszem. Tak więc mieliśmy ślub z udziałem rodziców w urzędzie stanu cywilnego, a potem był lunch w mieszkaniu i wieczorna impreza dla przyjaciół, gdy rodzice wyszli. Bałam się spotkania naszych rodziców — wiedziałam, że będę się zwijać ze wstydu — i rankiem w dniu ślubu obudziłam się z najbardziej oczywistą chorobą psychosomatyczną w życiu: dosłownie oniemiałam — nie byłam w stanie mówić. Zdołałam wyskrzypieć: „Dziękuję”, gdy Leonora sprezentowała mi piękny pierścionek ze szmaragdami i brylantami, który należał do jej babki, i „Tak” w urzędzie stanu cywilnego, lecz po powrocie do domu na lunch z rodzicami nie wypowiedziałam ani jednego słowa. Nawet gdy wieczorem przyszli przyjaciele, nadal nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Następnego dnia mówiłam normalnie.

Wreszcie opuściliśmy Haverstock Hill, ponieważ w latach siedemdziesiątych wszyscy mówili, że trzeba się wspinać po drabinie mieszkaniowej. Kupiliśmy dom, choć ciężko nam było opuszczać nasze urocze mieszkanko i wyprowadzać się z Hamstead Heath w nieznane, dzikie rejony Finsbury

Park. Dotarliśmy tam, gdyż kierowaliśmy się na wschód tak długo, aż znaleźliśmy dom, na który nas było stać. Podobnie jak Stoc—kwell, Finsbury Park uchodziła za okolicę nie do przyjęcia, lecz, nam udało się znaleźć piękny, czteropokojowy dom w wiktoriańskim stylu z tarasem, oryginalnymi kominkami i gzymsami, za czternaście i pół tysiąca funtów. Mimo że, jak w przypadku Stockwell, wszyscy mówili, że będziemy ciągle gwałceni i napadani, przez dziesięć lat, gdy tam mieszkaliśmy, nie było do nas nawet jednego włamania. Byliśmy tak dumni z tego domu, że wyczyściliśmy szczoteczkami do zębów wszystkie gzymsy oraz wyszorowaliśmy i wypolerowaliśmy podłogi. Jedyne mankament polegał na tym, że każdej nocy szczelinami w podłodze wychodziły wielkie, brązowe ślimaki bez skorupy. Wreszcie uparłam się, że musimy mieć dywany.

Wówczas nie miałam zmysłu dekoratorskiego, na szczęście David miał go dość za nas dwoje. Z biegiem lat uczyłam się od niego. Uczyniliśmy dom naprawdę pięknym, chociaż ogród nigdy nie osiągnął świetności tego z Haverstock Hill. Potem, gdy dom był już gotowy, przestałam łykać tabletki antykoncepcyjne i czekałam, aż zajdę w ciążę. David zawsze otwarcie mówił o tym, że celem małżeństwa jest założenie rodziny — gorąco pragnął mieć dzieci. Ja nie byłam tego taka pewna — wydawało się, że brakuje mi instynktu macierzyńskiego, jako dziecko nigdy nie bawiłam się lalkami i nigdy nie mówiłam pieszczotliwie do niemowląt. Jednak David mnie wspierał. Powiedział, że jeśli nie spodoba mi się opieka nad dziećmi, on się nimi zajmie. Jestem mu do zgonnie wdzięczna. Gdybym poślubiła niezdecydowanego człowieka, który by twierdził, że mogę mieć dzieci, je-

śli chcę, ale będę je miała na głowie, mogłabym być po dziś dzień bezdzietna. Dzięki Bogu, że David miał taką pewność.

Jednak nie zachodziłam w ciążę przez cały rok. To było pewnie dla mnie dobre — gdy zaczęłam myśleć, że nie mogę mieć dzieci, bardzo zapragnęłam je mieć. Nękały mnie myśli o aborcji, której dokonałam w Oksfordzie. Zaszłam w ciążę niemal za pierwszym razem, gdy przespałam się ze studentem, ale jego brat zorganizował aborcję w klinice przy Harley Street. Zabieg był szybki i prosty. Poszłam na imprezę tego samego wieczoru. Nie miałam wyrzutów sumienia czy wątpliwości, ani w owym czasie, ani dziesięć lat później, lecz w ciągu tych miesięcy, gdy nie udawało mi się zajść w ciążę z Davidem, zakrwawione dziecko nawiedzało mnie w snach i mówiło:

— Mogłaś mnie mieć, miałaś swoją szansę.

Byliśmy już zapisani na badania płodności, gdy pojechaliśmy na wakacje do Portugalii i bingo! Wróciłam w ciąży. Ku mojemu zaskoczeniu, podobało mi się to. Podobało mi się urodzenie Rosie, karmienie jej piersią i byłam bardzo szczęśliwa, przechodząc przez to samo dwa lata później z Theo. Pragnęłam mieć więcej dzieci, ale brakowało nam pieniędzy i musiałam wracać do pracy.

Poślubienie Davida było najlepszą, najrozsądniejszą i najszlachetniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Wierzę, że jego dobroć była do pewnego stopnia zaraźliwa i że uczynił mnie lepszą osobą, a już na pewno dobrym rodzicem. Byłam i nadal jestem wielką egoistką, najprawdopodobniej dlatego, że jako dziecko byłam rozpieszczana, ale mając Davida u boku,

zrozumiałam, czym jest bezinteresowność. Był bardzo oburzony, gdy jeden z naszych przyjaciół nazwał go świętym, wyraźnie nawiązując do tego, że jest świętym, skoro wytrzymuje ze mną! Nie wydaje mi się, żebym była zadowolona z bycia żoną świę.— tego, ale jestem wdzięczna losowi, że miałam dość rozsądku, by poślubić dobrego człowieka.

Pod pewnymi względami byliśmy niekonwencjonalnym małżeństwem. Gdy poznaliśmy się w latach sześćdziesiątych, nie było przyjęte, aby mężczyzna gotował w domu. Nawet nasi przyjaciele często z tego żartowali. Matka Davida była oburzona. Zawsze próbowała nauczyć mnie „prostych” przepisów. Stawiałam opór. David uwielbiał gotować. Ja nienawidziłam. On był w tym dobry, ja kiepska. Ergo, dlaczego mielibyśmy zmieniać układ, który odpowiadał nam obojgu. Czy tylko dlatego, by żyć w zgodzie z wyobrażeniami jego matki na temat obowiązków żony? Podobnie czymś niezwykłym było to, że żona ma wyższe zarobki, a taki stan rzeczy miał miejsce przez większość trwania naszego małżeństwa. Lecz nas nigdy to nie martwiło — w życiu tak po prostu było, że na dziennikarstwie wychodziło się lepiej niż na malarstwie lub nauczaniu. Sądzę, że ludzie, którzy próbują wieść życie małżeńskie zgodnie z oczekiwaniami innych osób, są szaleni. Dość trudno wytrwać w małżeństwie aż do śmierci — moim zdaniem właśnie to powinno być jego celem, choć nie zawsze udającym się osiągnąć — nawet bez zadowalania innych ludzi. Dobre małżeństwo to takie, które odpowiada samym zainteresowanym. Nasze nam odpowiadało.

„Penthouse”

Najpierw małżeństwo, potem kariera — tak z pewnością wyglądały moje priorytety, gdy opuszczałam Oksford. Z drugiej strony, musiałam znaleźć jakieś zatrudnienie i fakt, że natknęłam się na magazyn „Penthouse”, był prawdziwym szczęśliwym trafem. Mój oryginalny plan zostania gwiazdą filmową/miliarderką/femme fatale nie sprawdzał się i gdy poszłam do biura pośrednictwa pracy w Oksfordzie, zasugerowano mi jedynie, że mogę dołączyć do personelu więziennego oraz mieć nadzieję na szybki awans i zostanieie naczelnikiem więzienia. CÓŻ za perspektywa — zwłaszcza że włożyłam tak dużo pracy w to, by stać się hedonistką! Uznałam więc, że powinnam złożyć podanie o pracę lub praktykę, choćby tylko po to, by uniknąć kariery w więziennictwie.

Jak wszyscy, starałam się o praktykę w BBC, ale zorientowałam się, że rozmowa idzie mi kiepsko, gdy na pytanie o to, jakie kwestie polityczne mnie interesują, odparłam, podrapawszy się w głowę:

— Eee... aborcja?

List odmowny przyszedł następnego dnia. Wprawdzie miałam pożądaną przez pracodawców umiejętność stenografowania i pisania na maszynie, ale pracowałam w ten sposób już dostatecznie długo, aby wiedzieć, że nie chcę tego robić. Inną możliwością, na której mogłam zarobić, było dziennikarstwo. Pisałam dla „Richmond and Twickenham Times”, gdy jeszcze byłam

w szkole i od czasu do czasu dla „Isis” i „Cherwell”, gdy studiowałam w Oksfordzie. Problem z dziennikarstwem w owych latach polegał na tym, że było ono ściśle kontrolowane przez Związek Zawodowy Dziennikarzy i aby dostać się do ogólnokrajowej gazety, należało przejść jeden z obszernych programów szkolenia, co oznaczało spędzenie dwóch lat na prowincji. Nie było szans, bym to zrobiła, gdy właśnie poznałam Davida i deptałam mu po piętach. Poza tym, jako osoba, która całe życie spędziła w Londynie, nie byłam gotowa jechać dalej niż do Oksfordu.

Wówczas zwróciłam się do czasopism. One również były w dużej mierze kontrolowane przez związki i, podobnie jak w BBC, panował w nich wkurzający zwyczaj proponowania kobietom pracy w charakterze sekretarki i wspinania się po szczeblach kariery. Nie podobała mi się wizja dwóch lat pisania na maszynie dla redaktorki „Practical Knitting” (Robótki na drutach w praktyce) w ramach aspirowania do stanowiska zastępcy adiustatora. Wtedy poszłam na spotkanie z przerażającą Beatrix Miller, redaktorką „Vogue”, która zapytała, co mnie interesuje. Ktoś mi poradził, bym nie mówiła, że moda, bo tak mówili wszyscy, więc, dziwacznie i niezgodnie z prawdą odpowiedziałam, że podróże (byłam w Indiach podczas jednych z wakacji w Oksfordzie). Naczelną zaproponowała mi pracę asystentki zastępczyni redaktorki działu podróży za czternaście funtów tygodniowo. Nadal się nad nią zastanawiałam, gdy dostałam lepszą propozycję z „Penthouse'a”.

Robert Charles Joseph Edward Sabatini Guccione, Amerykanin sycylijskiego pochodzenia o chropowatym głosie, rysownik kreskówek i kierow-

nik pralni chemicznej, założył „Pent— house” w 1965 roku, gdy jeszcze byłam w Oksfordzie. Wywołał spore poruszenie wśród władz uczelni, wysyłając numery reklamowe do starszych nauczycieli akademickich Oksfordu. Wielu z nich było oburzonych otrzymywaniem tej sprośnej korespondencji. Zostałam wysłana, jak sądzę przez „Cherwell”, aby zrobić z Guccione wywiad i zapytać go, dlaczego tak postąpił. Nie pamiętam z naszego spotkania nic ponad to, że odbyło się w wytwornym mieszkaniu w Londynie i że Guccione często mnie rozśmieszał, a na koniec rozmowy powiedział:

— Jeśli kiedykolwiek będziesz szukała pracy, przyjdź do mnie. Zachotałam i wróciłam do Oksfordu. Potem miałam

w zwyczaju mówić do przyjaciół:

— Cóż, zawsze mogę pracować w „Penthouse”. Wszystkie inne drogi zawiodły, więc zrobiłam właśnie to.

Napisałam do Boba Guccione, przypominając mu o naszym spotkaniu. Poinformowałam go, że jestem absolwentką z pewnym doświadczeniem dziennikarskim. Zapytałam, czy nie miałby jakiejś pracy dla mnie w swoim czasopiśmie. Otrzymałam list od Harry'ego Fieldhouse'a — Bob nie zajmował się korespondencją — który zaprosił mnie na spotkanie. Harry był redaktorem, zaś Bob redaktorem naczelnym, dla którego miałam pracować.

W „Penthouse” zaskoczyło mnie wszystko. Wyobrażałam sobie, że znajdę się w luksusowym apartamencie*⁷ lub wytwornym biurze w West Endzie, a trafiłam do małego domku z tarasem przy Ifield Road, w pobliżu Fulham Road, z widokiem na cmentarz Brompton z tyłu domu. W salonie rezydowała lalecz— kowata recepcjonistka imieniem Maureen i stały sterty kartonowych pudeł — niebawem dowiedziałam się, że były to denerwujące Penteez Panties. W pokoju z tyłu domu znajdował się Klub Książki Penthouse'a. Na górze, w pokoju od podwórka, było biuro Boba i Kathy, a od ulicy mieścił się pokój redakcyjny — spore pomieszczenie, w którym urzędował dyrektor artystyczny, Joe Brooks, i swój mały kącik miał Harry Fieldhouse.

Harry też mnie zaskoczył. Wydawał się bardzo stary (przypuszczam, że miał około czterdziestki) i zdecydowanie zbyt dżentelmeński i profesorski, by być dziennikarzem, nie mówiąc już o redaktorze „Penthousea”. Spodobało mi się jednak jego ironiczne poczucie humoru. Jako pierwsze padło pytanie:

— Umiesz literować?

— Tak — odpowiedziałam. — Studiowałam w Oksfordzie anglistykę.

—Ekstaza — rzekł.

—Cóż, było całkiem przyjemnie.

⁷ * Po angielsku: „penthouse” (przyp. tłum.).

—Przeliteruj to.

Oparłam się pokusie udzielenia odpowiedzi mądrali (t— o) i przeliterowałam na głos: *e—c—s—t—a—s—y*^{*8}.

— Dobrze. Niewiele osób potrafi przeliterować to słowo, a często go używamy w „Penthousie”. *Pulchritude*^{*9} to kolejne takie słowo. Umiesz je przeliterować?

Odparłam, że tak, po czym to zrobiłam.

Akomodacja, minuskuła, upodobanie, nieżył, wewnętrzny — wyrzucił z siebie listę słów i kiwał głową, gdy je literowałam poprawnie. Potem dał mi krótki artykuł i kazał podkreślić wszystkie błędy, jakie, moim zdaniem, się w nim znajdują. Było tam kilka literówek. Zaznaczyłam je.

— Dobrze — stwierdził. — Możemy płacić ci szesnaście funtów tygodniowo. Pracujemy od dziesiątej do osiemnastej. Możesz zacząć w poniedziałek?

—Tak!

*⁸ Częstym błędem jest pisanie „ecstasy” przez „x”.

* * Krasa.

⁹ * Krasa.

David czekał na mnie na rogu. Biegłam w jego stronę ulicą i krzychałam:

— Hurra! Szesnaście funtów tygodniowo! Zaczynam w poniedziałek!

Był zadowolony, tak samo jak ja, ale zapytał, na czym praca ma polegać. Oczywiście, nie miałam pojęcia. Jednak to nie miało znaczenia. Podoobał mi się Harry Fieldhouse, podobał mi się domek przy Ifield Road i wiedziałam, że praca dla magazynu „Penthouse” też mi się spodoba. I rzeczywiście, tak było przez kolejnych siedem lat.

W poniedziałek Harry dał mi listę znaków korektorskich i kazał się ich nauczyć. Moja praca miała polegać na sprawdzaniu wszystkich kopii publikowanych w magazynie i poprawianiu ich. Podział pracy w „Penthouse” w pierwszych latach istnienia czasopisma był bardzo prosty: Harry odpowiadał za wszelkie słowo pisane, a Bob za wszystkie zdjęcia; Joe Brooks zajmował się opracowaniem graficznym; Kathy Keeton, dziewczyna Boba, reklamami — jednak w owych czasach nie mieliśmy wielu reklamodawców, więc czasopismo było finansowane z dystrybucji Penteez Panties i Klubu Książki prowadzonych przez Maureen i Sylvie. Teoretycznie magazyn był miesięcznikiem; w praktyce wychodził, gdy Bob zebrał dość pieniędzy, aby zapłacić drukarni — w pierwszym roku było chyba dziesięć numerów.

Moje pierwsze miesiące w pracy płynęły leniwie. Spędziłam wiele radosnych poranków na sporach z Harrym Fieldhouseem, dotyczących niuansów interpunkcji lub poprawnej pisowni. Miał silną awersję do „wdów” — samotnych słów na końcu akapitów, które zajmowały całą linijkę — to było

„marnotrawstwo miejsca”. Bardzo lubił myślniki, za którymi ja akurat wtedy nie przepadałam (nie wiem, dlaczego), jak też pisanie słów przez „z”, a nie „s”¹⁰. Uważał, że pisanie przez „z” jest nowoczesne, bo było amerykańskie, a Harry kochał wszystko, co amerykańskie. Dlatego (nieprawdopodobnie) uwielbiał Boba. Jeździł wielkim amerykańskim samochodem — jego lincoln townhouse i cadil— lac Boba zajmowały większą część ulicy. Mimo raczej staroświeckich manier, chłonał wszystko, co nowe — był kimś, kogo obecnie nazywa się „pierwszym naśladowcą”. Zawsze obdarowywał mnie gadżetami, które, jego zdaniem, miały odmienić moje życie (nigdy nie potrafiłam ich uruchomić), i kupił sobie łóżko opalające, sprowadzone z Ameryki na długo przed tym, zanim ktokolwiek w Anglii o czymś takim słyszał. Większą katastrofą było to, że jako jeden z pierwszych poddał się przeszczepowi włosów, czego rezultatem była czarna, kropkowana linia biegnąca przez czoło i kilka kepek włosów na ciemieniu przypominających sadzonki sałaty. Twierdził, że się połączą, ale to nigdy nie nastąpiło. Lubiałam zabierać nieznajomych do biura Harry'ego i oglądać wyraz niedowierzania malujący się na ich twarzach, gdy ujrzeli jego czaszkę.

Bob i Kathy rzadko się pojawiali wcześniej niż późnym popołudniem (Bob cierpiał na potworną bezsenność i jeśli udało mu się zasnąć, nikt nie

¹⁰ * Na przykład: „realize”, a nie „realise” (uświadamiać sobie, zdawać sobie sprawę), „organize”, a nie „organise” (organizować), „utilize”, a nie „utilise” (wykorzystywać) (przyp. tłum.).

miał prawa go budzić), więc w zasadzie Harry, Joe i ja pracowaliśmy rano w ciszy do czasu, gdy pojawiała się Kathy wyszczekująca polecenia. Uwielbiałam Boba, za jego sardoniczne poczucie humoru i chropowaty akcent rodem z Brooklynu, ale Kathy Keeton była po prostu straszna. Wychowywała się na farmie w Republice Południowej Afryki, ćwiczyła balet i została królową striptizu w Bulawayo. Zyskawszy taką pozycję, przyjechała do Londynu, by zostać gwiazdą Pigal— le. Tam wypatrzył ją Bob. Zastał ją w garderobie w otoczeniu książek o tematyce ekonomicznej, czytając „Financial Times”. Powiedział, że zakłada czasopismo i chciałby, żeby pozowała do zdjęć. Nie zgodziła się, ale przysłała do pracy w biurze pisma. Jako striptizerka zarabiała sto pięćdziesiąt funtów tygodniowo. Bob powiedział, że będzie jej płacił tygodniowo dziesięć funtów za sprzedawanie powierzchni reklamowej. Przystąpiła na to. Tak narodziło się partnerstwo równie potężne, jak związek Antoniusza i Kleopatry, Romea i Julii, Dydony i Eneasza, Marksa i Spencera. On był dobrym katolikiem i pozostał mężem Muriel, matki jego czworga dzieci do czasu, gdy dzieciaki dorosły. Kathy była *maitresse en titre* i domina „Penthousea”. Paradowała w szpilkach na trzynastocentymetrowych obcasach, potrząsała grzywą płowych włosów, nosiła sukienki rozpięte do pasa, by pokazać swój (nieco kościsty) dekolt, wyszczekiwała polecenia i mówiła do wszystkich „kochanie”, co przy jej silnym południowoafrykańskim akcencie brzmiało zabawnie. Nazywaliśmy ją Panną z Batem lub Księżniczką Bólu — ale nigdy w jej obecności, bo wszyscy (łącznie z Bobem, jak sądzę) baliśmy się jej.

W ogóle nie rozumiała mojej obecności, ale Bob powiedział jej, że mam „klasę” — imponowało mu, że studiowałam w Oksfordzie — dlatego od

czasu do czasu podchodziła do mojego biurka i obracała się, prezentując kolejną potworność, którą na siebie włożyła — na przykład różowy, obcisły winylowy kombinezon lub czarną skórzaną mini z rozporkiem do krocza.

Pytała przy tym:

—Jak ci się podoba, kochanie? Nauczyłam się odpowiadać posłusznie:

—Cudownie, Kathy.

—Z klasą, kochanie?

— I to z dużą.

Wracała do Boba i mówiła: — W porządku.

Zawsze, nie bez powodu, martwiła się, że może wyglądać jak dziwka.

Jak już wspomniałam, pierwsze miesiące płynęły leniwie, lecz niebawem zaczęło nam przybywać coraz więcej pracy. Nakład rósł, więc stać nas było na opłacenie drukarni i wydawanie numeru co miesiąc. Kolejne numery były coraz grubsze, ponieważ Kathy udawało się sprzedawać powierzchniowo reklamowe. To oznaczało, że Harry i ja nie mieliśmy już czasu na długie dyskusje na temat średników, bo nagle oboje zostaliśmy zaważeni pracą. Nawet Kathy mnie wykorzystywała — stałam się „stylistką”, co oznaczało chodzenie po sklepach i błaganie, by wypożyczono nam na czas sesji zdjęciowej jakieś elementy stroju: pierzaste boa, kowbojki, skórzane ochraniacze na spodnie, sznurowane gorsety. Pewnego razu Kathy podeszła do mnie i powiedziała:

— Kochana, idź do Lillywhites i wypożycz czarny skafander do nurkowania.

Poszłam i powiedziałam, że piszę artykuł o nurkowaniu.

— Na jaką głębokość będzie się pani zanurzać?

— Hm. Piętnaście kilometrów?

Zobaczyłam ich miny i poprawiłam się, że chodziło mi o trzy metry, no, w każdym razie niezbyt głęboko. Potrzebuję harpuna i suwaka z przodu. Przynieśli mi jakiś koszmarny, pomarańczowy skafander. Ależ nie, on musi być czarny. W tym czasie otaczał mnie już tłumek zaciekawionych sprzedawców. Jedyne strach przed Kathy powstrzymał mnie przed ucieczką ze sklepu. Wreszcie jeden ze sprzedawców zlitował się nade mną i zapytał:

— Czy chodzi o coś w stylu Jamesa Bonda?

Po czym przyniósł czarny strój piankowy zapinany na suwak, o który mi przez cały czas chodziło.

Musiałam też uczestniczyć w niektórych sesjach zdjęciowych, nie z Bobem, tylko amerykańskim fotografem Philipem O. Stearnsem. Do moich obowiązków należało wkładanie kaset do magnetofonu, rozpylanie w pomieszczeniu zapachów i pudrowanie zadków dziewczyn. W przerwach rozwiązywałam krzyżówki z „Timesa”.

W biurze odpowiadałam za Forum Penthouse'a, jak Bob „z klasą” tytułował rubrykę z listami od czytelników. Przyjaciele sądzili, że wymyślam te listy, lecz nigdy nie musiałam tego robić — czytelnicy naprawdę je pisa-

li. To były gęsto zapisane, dwudziestostronicowe sagi opisujące, jak ich autorzy zostali zniewoleni przez strażniczeki więzienne w ciężkich buciorach i poddani przerażającym formom tortur i upokorzenia. Zadaniem redaktora Forum było dbanie o różnorodność i równowagę, o to, by brygada kar cielesnych i jej niekończące się wspomnienia o laniu w szkole nie zdominowały całego działu. Byłam wdzięczna za odrobinę dziwactwa — od czasu do czasu coś od fetyszysty wielbiącego stopy albo miłośnika osób po amputacji. Pamiętam, że pewnego dnia dostałam list od kogoś z Lytham St Annes, kto napisał, że w jego klubie golfowym wszyscy rzucali klucze z adresami na wielki stos, po czym następowało losowanie i trzeba było iść pod wskazany adres i zadowolić kobietę, która tam mieszkała. Stwierdziłam, że pomysł jest tak groteskowy, że nie warto go publikować — to oczywiste, że sprawa wydawała się zmyślona. Wkrótce „The News of the World” zrobił furorę na historii o imprezach z wymieniem się żonami w klubie golfowym Lytham St Annes.

Pierwsze wywiady przeprowadziłam na potrzeby niekończącej się serii zatytułowanej „Parametry seksualności”. Dotyczyła ona ludzi o dziwnych gustach — fetyszystów wielbiących buty, niezliczonych transwestytów i entuzjastów gumowych lał. Pewnego razu poleciałam do Hagi, żeby porozmawiać ze sławną, starą domina, która rzekomo wysmagała batem połowę wiodących polityków w Europie. Była bardzo wytworna, zabawna i powiedziała mi, że jeśli kiedykolwiek będę potrzebowała pracy, najprawdopodobniej znalazłoby coś dla mnie w jej lochach. Wywiady z tymi ludźmi to była bułka z masłem, bo zawsze opowiadali chętnie, a nawet z wdzięcznością — wystarczyło, że udawałam zainteresowanie, gdy oni pa-

plali. Przypuszczam, że podczas tych pierwszych wyznań dla „Penthouse a” wyrobiłam swój styl prowadzenia wywiadów, w którym cała sztuka polega na tym, by nie okazywać zażenowania i nie przerywać lub nie zakłócać potoku słów. Wystarczyło być pełnym zrozumienia słuchaczem. Zauważyłam, że czasami, nawet teraz, gdy prowadzę wywiad z, powiedzmy, Eddim Izardem lub Graysonem Perrym, popadam niekiedy w manierę „Parametrów seksualności” i pytam tylko o ich transwesty— tyżm. W ubiegłym roku rozmawiałam z Antonym Gormleyem i byłam tak skupiona na pytaniu go o to, jak się czuje człowiek, który owinie się folią samoprzylegającą i obłoży gipsem, i czy ma jakieś równie ekscentryczne stroje (gumowe kombinezony, skafandry nurka), że na chwilę zapomniałam o tym, że rozmawiam ze sławnym rzeźbiarzem.

Moim kolejnym zadaniem było pełnienie funkcji redaktora literackiego, co oznaczało kupowanie fragmentów książek i krótkich opowieści do zapelnienia rosnącej liczby stron. Opowieści musiały mieć, rzecz jasna, „klasę”, ale też być jak najdłuższe i kosztować nie więcej niż pięćdziesiąt funtów. Wyrobiłam w sobie ogromną nienawiść do agentów literackich, którzy zarzucali mnie mnóstwem ckliwych bzdur, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, czym mógłby być zainteresowany „Penthouse”. Bombardowano mnie historiami o starszych, uczęszczających do kościoła pannach, które zdecydowanie nie były odpowiednie dla „Penthouse'a”. Moim wielkim wyczynem było odkrycie literatury science fiction, a w szczególności czasopiśma „New Worlds”, które publikowało J. G. Ballarda, Michaela Moorcocka, Briana Alidssa, Philipa K. Dicka, tylko dla wytrawnych odbiorców. Piśmo z radością sprzedało nam wtórne prawa do druku w odcinkach i stop-

niowo zdobywaliśmy dobrą reputację za publikowanie niezłej literatury science fiction. W późniejszych latach Kathy założyła w Stanach Zjednoczonych czasopismo science fiction zatytułowane „Omni”, które przez pewien czas święciło triumfy.

Głównym wymogiem względem wszystkich artykułów „Penthousea” było to, że miały być długie. Przeprowadzaliśmy wywiady, które ciągnęły się przez trzydzieści stron. Publikowaliśmy fragmenty powieści, które były dłuższe od wielu książek. Prezentowaliśmy recenzje sztuk teatralnych na sześć tysięcy słów i wszystko, co Kingsley Amis zechciał napisać o alkoholach. Chodziło o to, że teksty były drukowane w wersji czarno— białej, a dzięki temu tanie. Strony z dziewczynkami były kolorowe i w owych czasach zdumiewająco drogie, zwłaszcza że Bob miał bardzo wysokie wymagania. (Przejmował się jakością koloru oraz przebiegiem linii zszycia. Żadne zszywki nie mogły wypaść na tyłeczkach dziewczyn). Razem z Harrym dysponowaliśmy bardzo małym budżetem i ogromną powierzchnią do zapelnienia. Kupowaliśmy fragmenty książek z klasyki erotyki, a także o uprowadzeniu przez obcych i przestępstwach wojennych nazistów. Moim zadaniem było „wyfiletowanie” ich, znalezienie soczystych kawałków i wybranie jak najdłuższych fragmentów. Harry utrudniał mi zadanie, bo miał obsesję na punkcie redundancji^{*11}. Potrafił znaleźć nieistotne słowo w każdym zdaniu, nieistotne zdanie w każdym akapicie, zbędny akapit na każdej stronie i radośnie przejeżdżał swoim czarnym wiecznym piórem po

¹¹ * Nadmiarowość w stosunku do tego, co konieczne. Odnosi się do nadmiaru zbędnego, szkodliwego, jak i nadmiaru pożądanego, dobrego (przyp. red.).

nich wszystkich. Protestowałam jednak, bo potrzebowaliśmy tych sześciu tysięcy słów.

— Nie możemy lać wody — odpowiadał. — Piszemy dla mężczyzn!

(Gdy sama zaczęłam pisać dla „Penthousea”, była to moja osobista walka. Miałam ambicję, aby pewnego dnia napisać artykuł, z którego Harry nie mógłby wyrzucić pojedynczego słowa. No i proszę, już zawiodłam. „Co to znaczy »pojedyncze słowo«? — warknąłby. — To przeciwieństwo słowa złożonego? Pisanego z myślnikiem?”. Nawet teraz, długo po jego śmierci, nadal słyszę te warknięcia:

— Dlaczego napisałaś „dawno, dawno”? Czy to ma znaczyć coś innego niż „dawno”? Przypuszczam, że na tej podstawie można by powiedzieć, że Szekspir umarł dawno, dawno, dawno, dawno, dawno, dawno, dawno, dawno, dawno temu.

Jeśli zaś chodzi o słowo „bardzo”, ciągle się wzdrygam, gdy je piszę. Jednak czasami go używam — chociaż nie zrobiłabym tego za życia Harry’ego — bo uważam, że czytelnikom dobrze robi możliwość lekkiego rozluźnienia w zdaniu, w przeciwieństwie do surowej zwięzłości — niemal telegraficznej — do której dążył Harry).

Śmiałe przedsięwzięcie, które w dużej mierze utrzymywało czasopismo, gdy dołączyłam do redakcji, czyli wysyłkowa sprzedaż Penteez Panties — rzekomo erotycznych prezentów dla kochanek (były to tandetne nylonowe gatki dla transwestytów, dlatego w dużych rozmiarach) — przynosiło największe zyski. Klub Książki — „literatura dla znawców” — zajmował pod

tym względem drugie miejsce. Znajdował się w kuchni na parterze i był prowadzony przez Australijkę, Sylvie. Klub przyciągnął naszego jedyne go sławnego gościa, Barry'ego Humphriesa. Jego książka *Bizarre* (Cudak) była sprzedawana przez nasz klub i Barry czasami wpadał do nas, by sprawdzić, ile egzemplarzy się rozeszło i powymieniać się z Sylvie dowcipami na temat australijskiego akcentu. To było na długo przed tym, zanim został Dame Edną, ale już wtedy był dość egzotyczną postacią w dużej, czarnej fedorze i pelerynie. Sylvie wołała mnie na dół, gdy przychodził, abym mogła brać udział w ogólnej wesołości. Pamiętam, jak raz wyszeptałam do Sylvie:

— Wydaje mi się, że jest pijany.

Sądzę, że naprawdę był pijany. Jednak zawsze gwarantował dobrą zabawę. Inni goście nie byli tak mile widziani — kmiotki, które przyjeżdżały z nadzieją, że znajdą tu biuro pełne dziewczynek z „Penthouse'a”. Rany, ale byli zawiedzeni. Trafiali się też podstarzali panowie, którzy zaglądali do nas, przechodząc „w pobliżu” i twierdzili, że Miss Lipca przypomina ich siostrzenicę, z którą dawno stracili kontakt. Czy przypadkiem mamy jej numer telefonu? Recepcjonistka Maureen pozwalała im pogadać przez chwilę, po czym pytała szybko:

— Jak siostrzenica ma na imię?

— Tina — odpowiadał gość, wskazując na czasopismo.

— Nigdy nie podajemy prawdziwych imion. Zatem to nie jest Tina. Do widzenia.

Często widywało się mężczyzn idących ulicą, którzy zataczali się do tyłu zszokowani, gdy doszli do numeru 170, sądząc, że musieli się pomylić. Byliśmy bardzo skromną redakcją.

Lecz rozwijaliśmy się. Gdy dołączyłam do zespołu, było nas siedem osób. Wkrótce było dziesięcioro — pojawił się pracownik obsługujący korespondencję, asystent kierownika artystycznego i sekretarz redakcji. Dom przy Ifield Road 170 pękał w szwach. Bob powiedział, że szuka dużego lokalu i wszyscy śliniliśmy się na myśl o możliwości przeprowadzki do prawdziwego apartamentu na ostatnim piętrze w West Endzie. W rzeczywistości przenieśliśmy się do byłej fabryki kiełbasy przy North End Road, jeszcze gorszej lokalizacji niż Ifield Road, jednak tam naprawdę mieliśmy dużo miejsca i nagle pojawiło się mnóstwo nowych pracowników. W naszym magazynie regularnie ukazywały się reklamy i stopniowo pozbywaliśmy się wątpliwych ogłoszeń drobnych i polegania na Penteez Panties. Bob założył dodatkowe czasopismo zatytułowane „Forum”, w którym znajdowały się tylko listy od czytelników i przez krótki czas (bez sukcesu) publikował ekskluzywną konkurencję dla „Gentel— men's Quarterly”, zatytułowaną „Viva”.

„Penthouse” rozwijał się tak szybko, że trudno było za tym nadążyć. Dostałam wyższe uposażenie i samochód służbowy — cudownego kabrioleta marki Triumph Herald — oraz zgromadziłam szereg imponujących tytułów: redaktor działu listów, redaktor literacki, redaktor działu sztuki i recenzji. Czułam, że rozkwitam i było mi z tym dobrze. Najlepsze było to, że dysponowałam odpowiednim funduszem reprezentacyjnym jako redaktor

literacki i— chciwie wprowadzałam zwyczaj chodzenia na lunch. Powiedziałam Bobowi, że to jest jedyny sposób, by przyciągnąć do magazynu autorów mających „klasę”. Jednak potem nastąpiła katastrofa — Bob otworzył pierwszy Klub Pent—house'a przy bocznej uliczce w Shepherd Market i oznajmił, że od tej pory wszelkie rozrywki muszą się odbywać w klubie.

To było przerażające. Koniec z San Frediano, koniec z Alvaro, koniec z Chanterelle. Spodziewałam się, że moje małe stadko pisarzy — Auberon Waugh, Kingsley Amis, Anthony Powell — zbuntuje się, lecz ku mojemu przerażeniu ochoczo przystali na lunch w Klubie Penthousea. Tylko raz. Nikt nie chciał tam pójść po raz drugi. W klubie panowały egipskie ciemności. Nigdy nie docierało tam światło słoneczne. Podobno miejsce ożywało o północy, lecz w porze lunchu zawsze panowała smutna, ospała atmosfera, zwłaszcza gdy, jak się to często zdarzało, ja i mój autor „z klasą” byliśmy jedynymi klientami.

Zawsze przychodziłam wcześniej. Zabijałam czas rozmowami z dziewczynami i wysłuchiwałam ich problemów. Pamiętam, gdy raz, podczas lunchu z Auberonem Waughem, jedna z dziewczyn podeszła do nas i, zgodnie z tym, czego została nauczona, zaprezentowała się przed Bronem — czyli pochyliła się tak, by klient mógł zajrzeć swobodnie w jej dekolt — po czym natychmiast przeszła do kontynuowania naszej przerwanej rozmowy:

— Tata w końcu został podłączony do dializatora. Jest zachwycony. Jedną rurkę wkładają tutaj, a drugą tu...

Widziałam Brona, który jak w transie wpatrywał się w jej dekolt i nagle zrobił się blady, gdy zaczęła opisywać szczegółowo zasady pracy dializatora. To był częsty problem z dziewczynami — miały być obiektem fantazji, lecz gdy otwierały usta i zaczynały opowiadać o dializatorach ojców lub rozedmie płuc mamusi, fantazja pryskała. Bardzo lubiłam dziewczyny z klubu, lecz dostrzegałam, że moi goście często byli zawiedzeni.

W 1969 roku Bob i Kathy przeprowadzili się do Nowego Jorku, by wypuścić „Penthousea” na rynek amerykański. Przez rok znajdowaliśmy się w dziwnej sytuacji, produkując wszystkie egzemplarze dla Ameryki w Londynie, ponieważ Bob nie miał tam jeszcze redaktorów. Oznaczało to, na przykład, że kupowałam recenzje dotyczące spektakli na Broadwayu i wystaw w Museum of Modern Art, których nigdy nie widziałam, od amerykańskich recenzentów, których nigdy nie spotkałam, mając ślepią nadzieję, że wiedzieli, o czym pisali. Oznaczało to również, że nagle musiałam nauczyć się amerykańskiej pisowni, jak też (co było trudniejsze) używania niektórych słów. To, że trochę inaczej nazywali aluminium, zderzaki i benzynę nie było problemem, lecz to, że mówili „pout” (a nie „sulk”) w znaczeniu „stroić fochy”, zawsze mnie zaskakiwało, podobnie jak użycie słowa „homely” zamiast „ill-favoured”¹². Pamiętam, jak wiele lat później redaktorka z Ameryki zadzwoniła z pytaniem, czy przylecę wkrótce do Nowego Jorku. Powiedziałam, że nie, bo spodziewam się dziecka.

— Lada chwila? — zapytała.

¹² * „Przytulny” zamiast „niezbyt urodziwy”.

— No cóż, to trwa dziewięć miesięcy — odparłam, zapominając, że Amerykanie używają słowa „momentarily” w znaczeniu „niebawem”.

(Kolejną wielką zaletą okresu pracy redakcyjnej dla Ameryki było to, że czytałam mnóstwo amerykańskich czasopism, co bardzo mi się przydało później, gdy zajęłam się wywiadami. Aspirowałam do prowadzenia wywiadów w stylu tych, które czytałam w „Rolling Stone”, „Esquire”, „Intendew” Andy’ego Warhola czy „New Yorkerze”, a nie według okropnych standardów prasy brytyjskiej).

Pewnego dnia Harry wezwał mnie do biura i zapytał, czy mam przy sobie paszport. Oczywiście nie miałam. Po co miałabym go mieć przy North End Road? Harry bardzo uprzejmie zawiózł mnie do domu, żebym wzięła dokument, a następnie do ambasady amerykańskiej po wizę. Tego samego wieczoru siedziałam na pokładzie samolotu. To była moja pierwsza podróż do Stanów Zjednoczonych. Jednak nie leciałam do Nowego Jorku, tylko do Milwaukee przez Chicago, by dostarczyć projekt graficzny do drukarni. Zwykle zajmował się tym kierownik artystyczny, Joe Brooks, lecz w czasie ostatniej podróży do Stanów został zatrzymany podczas odprawy celnej. Celnicy znaleźli u niego korekty „Penthousea” po złamaniu, oświadczyli, że mają „czytelnika” i skonfiskowali towar. Bob uznał, że będę lepszym kurierem, ponieważ nikt nie będzie podejrzewał, że przewożę pornografię.

Na początku latałam do Milwaukee, co było nudne, lecz coraz częściej Bob zapraszał mnie do Nowego Jorku, bym zabrała coś do Londynu. Często to coś nie było gotowe, więc czekałam kilka dni w Nowym Jorku i mia-

łam wspaniałą okazję do poznania miasta. Była tylko jedna wada. Bob i Kathy mieszkali w Sherry— Netherland, gdzie się zatrzymywałam, co wydawało się szczytem luksusu. Jednak nigdy nie dawali mi pieniędzy, twierdząc, że mogę zamówić coś do pokoju. To oznaczało, że mogłam jadać tylko w Sherry— Netherland i naprawdę obrzydło mi tamtejsze menu. Przy ostrożnym gospodarowaniu pieniędzmi i korzystaniu z metra mogłam sobie pozwolić na wizyty w muzeach, jak też na przepłynięcie promem na Staten Island i z powrotem, ale potem wracałam i w perspektywie miałam kolejny wieczór z jedzeniem w hotelu. Czulałam się tak samotna, że często wisiałam wiele godzin na telefonie i rozmawiałam z Davidem. Bob od czasu do czasu pytał, czy dobrze się bawię. Odpowiadałam posłusznie, że tak, dziękuję. Kathy nigdy o to nie pytała. Pewnego razu zadzwoniłam do ich pokoju i przedstawiłam się jako Lynn. Kathy bardzo słodko zaśpiewała mi „Sto lat” i powiedziała, że kupiła mi prezent. Podziękowałam jej (choć nie były to moje urodziny) i poprosiłam do telefonu Boba. Byliśmy w trakcie rozmowy, gdy nagle wyrwała mu słuchawkę i powiedziała:

—Ty nie jesteś Lynn.

—Owszem, jestem. Lynn Barber z Londynu.

—Dlaczego powiedziałaś, że masz urodziny?

—To nie ja tak powiedziałam, tylko ty.

—Nie bądź bezczelna, kochanie.

Bob zabrał jej słuchawkę i odezwał się pojednawczo:

— Myślała, że to jej przyjaciółka, Lynn N.

To potwierdziło moje podejrzenia, które miałam od dawna. Kathy nawet nie wiedziała, jak mam na imię.

Wkrótce potem Bob i Kathy zaczęli zatrudniać personel w Nowym Jorku i tworzyć amerykańską edycję na miejscu, więc moje usługi kurierskie nie były im już potrzebne. Poczułam ulgę i zupełnie nie miałam ochoty pojechać do Nowego Jorku i pracować dla nich, gdy mnie o to poprosili. Byłam już wtedy żoną Davida, kupowaliśmy dom i myśleliśmy o założeniu rodziny, dlatego łatwo przyszło mi powiedzenie „nie”. Muszę jednak przyznać, że angielska edycja „Penthousea” przestała być interesująca, gdy Bob i Kathy wyjechali. Przypominała niemal zwykłe czasopismo z właściwymi działami, dotrzymywaniem terminów, etc. Wszystko było tak dobrze zorganizowane i przewidywalne, że aż nudne. Do 1974 roku, kiedy to odeszłam, by założyć rodzinę, centrum uwagi przeniosło się już do Nowego Jorku, a Londyn stał się tylko filią.

Cieszę się, że pracowałam dla „Penthousea” w tych pierwszych, chaotycznych latach. Oprócz innych rzeczy, była to dla mnie świetna edukacja. Tak bardzo brakowało nam personelu, że angażowałam się w niemal wszystkie sprawy, od zamawiania materiałów biurowych, poprzez opracowanie graficzne i kupowanie fragmentów książek, po szukanie miejsc na sesje zdjęciowe. Ponadto w pierwszym roku pismo zmagало się z trudnościami finansowymi, dzięki czemu wyrobiłam w sobie przychylny podejście do reklam, co się rzadko zdarza wśród dziennikarzy. Większość z nich uważa, że reklamy są okropnymi dodatkami, które psują wygląd stron, lecz ja nauczyłam się w „Penthouseie” widzieć w nich deskę ratunku, która za-

pewniała mi wypłatę pensji przez kolejne trzy miesiące. Gdy Kathy przechodziła przez biuro, piszcząc: „Mam Lufthansę!” lub: „Sześć miesięcy Dormeuil!”, otwieraliśmy (hiszpańskiego) szampana i świętowaliśmy jej sukces. Kiedy Harry pozbawił nas reklamy Lufthansy, umieszczając ją między treścią artykułu o wojennych potwornościach nazistów, po raz pierwszy zważyłam w jego roztropność. Stwierdził, że nie do niego należy decyzja o tym, gdzie umieszczać reklamy, niemniej uważałam, że tak właśnie być powinno.

Ludzie zakładają, że biuro „Penthousea” to pewnie siedlisko seksu, lecz tak nie było, gdy tam pracowałam. Oczywiście, w schowku z materiałami biurowymi dochodziło do dziwnych schadzek, ale nie częściej niż w jakiegokolwiek innej firmie. Bob i Joe Brooks podchodzili do wyboru dziewczyn w sposób biznesowy. Pamiętam, jak Bob powiedział kiedyś:

— Odnieśliśmy już taki sukces, że nie muszę uwodzić dziewczyn, by zgodziły się dla nas pozować.

Joe traktował tę sprawę podobnie. Wybór dziewczyn był zbyt poważną kwestią, aby marnować czas na kanapie podczas castingu. Być może na niższych szczeblach hierarchii dochodziło do nadużyć. Słyszałam, że niezależni fotografowie mówili dziewczynom: „Bądź dla mnie miła, to załatwię ci miejsce w »Penthouse«” — ale obleśni wolni strzelcy zdarzają się w każdym gatunku dziennikarstwa.

W późniejszych latach, gdy już byłam znana, musiałam się bronić przed atakami feministek. „Jak pani mogła pracować dla czasopisma z miękką pornografią”? Bardzo łatwo. Tak się stało. Nigdy nie miałam problemów z

pornografią. Uważam, że uczniowie i samotni starsi mężczyźni muszą mieć nad czym się onanizować, a „Penthouse” był w dużo lepszym guście niż większość innych świerszczyków. Jeśli chodzi o dziewczyny, nie sądzę, by były wykorzystywane. Dobrze zarabiała, a ponadto dbaliśmy o ochronę ich tożsamości, gdy o to prosiły. Prowadziliśmy wymianę z czasopismem „Lui” we Francji i, jak się zdaje, ze szwedzkim pismem. Jeśli znaleźliśmy dziewczynę, która nie chciała, by jej zdjęcia publikowano w Anglii, bo mogliby je zobaczyć rodzice, wymienialiśmy materiał na zdjęcia dziewczyny z Francji lub Szwecji, mającej podobne obiekcje. Bob chętnie szukał „dziewic”, czyli dziewczyn, które nigdy wcześniej nie zajmowały się profesjonalnym pozowaniem. Często kłamały i mówiły, że tego nie robiły, jednak był to przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kiedy sporo dziewczyn chętnie się rozbierało. Jeżeli któraś została Dziewczyną Roku, rozpoczynała karierę, podobnie jak Miss Wielkiej Brytanii lub Miss Świata. Kilka z nich zajęło się sprawami większej rangi.

Wróćmy jednak do pytania, czy wstydziałam się, pracując dla „Penthouse'a”. Nie. Wręcz przeciwnie, jestem z tego dumna. Wiem, że zabrzmiało to naiwnie, lecz naprawdę mieliśmy wrażenie, że bierzemy udział w rewolucji seksualnej i prowadzimy krucjatę przeciwko cenzurze. Gdy dołączyłam do zespołu, nie istniało nawet odpowiednie słownictwo pozwalające mówić o seksie. Połowa określeń była zaczerpnięta z łaciny: *fellatio*, *cunningulus*, *membrum virile*.

Brytyjczycy świętowali, gdy lord Chamberlain zniósł cenzurę w teatrze; cieszyli się, gdy podziemne magazyny „It” i „Suck” stały się legalne. Nadal

pamiętam świetną stronę tytułową tego drugiego czasopisma: „Dwadzieścia sławnych tyłeczków i ich smak”. Pierwszy tyłek należał do Goldy Meir. Byłam bezpośrednim świadkiem rewolucji seksualnej i śmierci cenzury. Rzecz jasna, obecnie wszyscy argumentują, że sprawy poszły za daleko, niemniej pamiętam czasy zacofania sprzed rewolucji seksualnej, gdy strach przed seksem był wręcz zdumiewający. Jedyna edukacja seksualna w szkole obejmowała wykład o masturbacji, rozmnażaniu się żab i — co zaskakujące — o chorobach wenerycznych. Wykłady te tak bardzo pomieszały się w mojej pamięci, że do dziś nie jestem w stanie patrzeć na żabę, nie zastanawiając się równocześnie, czy nie cierpi na zaawansowany syfilis. Tak więc wszystko, co pozwalało wyjaśnić temat, co dawało ludziom słownictwo umożliwiające rozmawianie o seksie, mogło być tylko dobre — włączyłabym w to także „Penthouse'a”.

Odegrałam swoją małą rolę w rewolucji seksualnej, będąc przez pewien czas ekspertem w dziedzinie erotyki. Zaczęłam w 1973 roku, gdy w „Penthouse” zrobiło się nudno. Pisałam niezależne artykuły do kobiecych czasopism, posługując się różnymi nazwiskami. „Czy powinnam z nim spać przed zawarciem małżeństwa?”. „Skąd mogę wiedzieć, czy jest wierny?”. Potem napisałam tekst „Jak ulepszyć sobie męża w łóżku”, który spotkał się z wielkim odzewem. Gdy kilka tygodni później fotograf z „Penthousea”, Amnon Bar— Tur, oznajmił, że zakłada wydawnictwo i zapytał, czy napisałam jakąś książkę, odparłam, że tak i że nosi ona tytuł *How to Improve Your Man in Bed*. Amnon bardzo słabo mówił po angielsku, ale potrafił rozpoznać dobry tytuł. Przyjął tekst za pięćset funtów. Myślałam, że to masa pieniędzy — nawet nie przyszło mi do głowy, by poprosić o tantiemy.

Napisałam książkę w ciągu dwóch miesięcy. Sprzedawano ją na całym świecie. W owym czasie była to nowość, ponieważ poradniki erotyczne pisane przez kobiety były niemal nieznane — jedyny, jaki przychodzi mi do głowy, to *Married Love* (Miłość małżeńska) Marie Stopę, opublikowany w 1918 roku. W zasadzie istniało niewiele pomocnych poradników erotycznych. Do czasów *The Joy of Sex* (Radość z seksu) dziedzina ta była zdominowana przez Roberta Charthama, który pisał nieskończenie wiele książek, noszących tytuły: *Sex Manners for Men*, *Sex Manners for Women*, *Sex Manners for Couples* (Zachowania seksualne mężczyzn, Zachowania seksualne kobiet, Zachowania seksualne par) etc, w których dominowała dziwna obsesja na punkcie rozbierania się. Przez wiele stron ciągnął się opis tego, jak niepostrzeżenie zdjąć kobiecie biustonosz — dość daremne usiłowanie, moim zdaniem, lecz typowe dla tego, co w owych czasach nazywano „sztuką uwodzenia”. Były też książki dla facetów, którzy po prostu chcieli zaciągnąć kobietę do łóżka, nie dając jej możliwości odmowy — nie był to może gwałt podczas randki, ale coś zmierzającego w tym kierunku.

Ja poruszyłam bardziej rzeczywisty problem — jak uczynić z mężczyzny lepszego kochanka, bez konieczności mówienia mu, co ma robić. Z perspektywy czasu wydaje się to niesamowite, lecz w tamtych czasach nie można było powiedzieć facetowi: „To jest moja łechtaczka, o tutaj”, ponieważ większość mężczyzn nie wiedziała, co to jest łechtaczka, ani co się z nią robi, a wydawanie poleceń uchodziłoby za oburzająco wyzwolone. Radziłam kobietom, by postępowały podobnie jak podczas kursu tańca towarzyskiego, gdy mają za partnera idiotę, któremu plączą się nogi, i muszą go prowadzić, równocześnie sprawiając, żeby tego nie odczuł. Obecnie

książka wydaje się niemożliwie staroświecka, lecz napisałam ją w dobrej wierze i była dość przydatna.

Amnon, będący raczej fotografem niż wydawcą, sprzedał rękopis prawdziwemu wydawcy, Heinrichowi Hanau'owi (którego później oskarżono w związku z opublikowaniem *Inside Linda Lovelace* [Głęboko w Lindzie Lovelace]), i skoncentrował się na zrobieniu mi zdjęcia na okładkę książki. To wiązało się z wieloma tygodniami sprzeczek, gdy Amnon pokazywał mi stroje, które uważał za seksowne, a które ja odrzucałam. W końcu zgodziłam się włożyć długą, srebrną suknię oraz szpilki na trzynastocentymetrowych obcasach i ułożyć wytwornie na szeszlunku. Udzieliłam też wywiadów, pojawiłam się w *Cali My Bluff*^{*13} i napisałam niezliczone artykuły do pism kobiecych. Biedny David musiał znosić złośliwości studentów z politechniki, pytających go, czy został ulepszony, lecz robił to z wdziękiem. Jedynym naprawdę okropnym momentem był przypadek, w którym dziennikarz „News of the World” stanął pod drzwiami szkoły, w której moja matka była zastępcą dyrektora, i zapytał ją, co sądzi o mojej książce. Odpowiedziała zgodnie z prawdą, że jej nie czytała i nie ma takiego zamiaru.

Książka sprzedawała się dobrze w Anglii i, co ważniejsze, była sprzedawana na świecie. Obcojęzyczne wydania miały tytuły: *Mehr Spass mit Männern*, *Maakje man meer mans in bed*, *Como Mejorar al Hombre en la Cama* (hiszpańskie wydanie z przezabawną okładką ukazującą mężczyznę,

¹³ * Popularna gra telewizyjna z udziałem sław (przyp. tłum.).

który wyglądał tak, jakby usiłował popełnić samobójstwo, i przytuloną do niego blondynkę). Wiele lat później nagle zaczęłam dostawać listy z prośbą o zgodę na wydanie książki w Portugalii, na Węgrzech — niemal można było śledzić postępy wyzwolenia seksualnego na świecie, kierując się datami wydania w danym kraju *Jak ulepszyć sobie męża w łóżku*. Potem przez wiele lat, gdy pojawiałam się na zagranicznych lotniskach, nagle napotykałam swoje nazwisko w księgarniach i myślałam: „Och, dotarłam do Brazylii”. Odczuwałam przy tym lekką dumę.

Niestety sprzedałam wszystkie prawa Amnonowi, więc nie zarobiłam pieniędzy na swoim zagranicznym sukcesie. Jednak książka cieszyła się takim powodzeniem, że otrzymałam świetną propozycję od wydawnictwa Simon & Schuster ze Stanów, chcącego wydać kolejną część, i tym razem, dzięki Bogu, miałam dość rozsądku, by wynająć agentkę. Następna część miała nosić tytuł *How to Play Around Happily* (Jak się zabawiać), lecz wydawcy przestraszyli się swojej odwagi i zatytułowali ją *The Single Womans Sex Book* (Poradnik erotyczny samotnej kobiety) — gorszy tytuł, ale też była to dużo gorsza książka. Problem polegał na tym, że wszystko, co chciałam powiedzieć na temat seksu, powiedziałam w *Jak ulepszyć sobie męża w łóżku* i naprawdę nie miałam nic do dodania. Poza tym, gdy ją pisałam, karmiłam piersią Rosie i trudno mi było opowiadać z entuzjazmem o grze wstępnej, gdy przejmowałam się pękającymi sutkami. Moja kariera znawczyni erotyki rozpoczęła się wraz z napisaniem pierwszej książki i skończyła po napisaniu drugiej. Przynajmniej poprawiła naszą sytuację materialną i pozwoliła mi zrezygnować z pracy i założyć rodzinę.

Lata spędzone przeze mnie w „Penthouse” miały dziwne postscriptum. W 1983 roku, gdy pracowałam jeszcze dość krótko w czasopiśmie „Sunday Express”, redaktor Ron Hall postanowił opublikować serię poświęconą nowym milionerom — czyli nie tym typowym, odzianym w garnitury facetom z biurowców — i zasugerował, że powinnam przeprowadzić wywiad z Bobem Guccione. Napisałam do niego do Nowego Jorku i natychmiast dostałam zgodę. Bob był wtedy prawdopodobnie u szczytu kariery. „Penthouse” sprzedawał się regularnie w ponad trzech milionach egzemplarzy miesięcznie (sprzedaż osiągnie pięć milionów, gdy na okładce w 1984 roku pojawi się Miss Ameryki) i pokonał „Playboya” w stoiskach z gazetami. Co więcej, czasopismo science fiction „Omni”, które Kathy założyła w 1979 roku, też miało się dobrze, zwłaszcza w Japonii, choć nigdy nie osiągnęło celu, czyli sprzedaży miliona egzemplarzy. W 1982 roku „Forbes Magazine” ocenił wartość sieci Boba na czterysta milionów dolarów. Bob kupił posiadłość w Upper East Side, będącą rzekomo największym prywatnym domem na Manhattanie i zaczął gromadzić swoją muzealną kolekcję impresjonistów i sztuki nowoczesnej. Układało mu się lepiej, niż w jego najśmielszych marzeniach, a Kathy nadal stała u jego boku.

Chciało mi się śmiać, gdy zobaczyłam ich dom — wyglądał, jak żywcem wyjęty z *Obywatela Kanea*. Długim, marmurowym holem, mijając po prawej stronie basen w rzymskim stylu, kolumny i mozaiki, dochodziło się do recepcji, w której wisiały ponure obrazy Starych Mistrzów — „Pieta”, „Zdjęcie z krzyża”. Jedna ze ścian recepcji wyłożona szesnastowieczną boazerią przesuwiała się po naciśnięciu guzika, ukazując ekran kinowy. W piwnicy znajdowały się siłownia i kuchnia oraz bunkier ochrony z bata-

lionem ochroniarzy wpatrzonych w monitory telewizji przemysłowej. W całym domu było pełno olbrzymich psów rasy rhode— sian ridgeback, które należały do Kathy Oprowadziła mnie po domu, pokazując wannę z masażem wodnym, wykładaną mozaiką z dwudziestoczerokaratowego złota oraz wszystkie klozety i umywalki wyrzeźbione z bloków najwyższej jakości włoskiego marmuru z Carrary. Kathy wyglądała dokładnie tak samo, jak ją zapamiętałam, i nadal mówiła do mnie „kochanie”.

Bob był jak zwykle absurdalnie ubrany — miał na sobie jasnoniebieskie zamszowe spodnie i jedwabną kurtkę baseballową, która była rozpięta, aby pokazać mnóstwo wisiorów — i zdaje się miał splecione włosy. O dziwo, przestał palić, był po raz pierwszy w życiu na wakacjach i zaczął sypiać w normalnych godzinach. Wydawał się zrelaksowany, szczęśliwy i bardzo chciał mi pokazać swoją kolekcję dzieł sztuki — cudownego De— gasa, Picassa z okresu różowego, Matisse'a, Rouaulta, Chagalla, Vlamicka, Renoira. Powiedział, że gdy był chłopcem, miał album francuskich impresjonistów i gdy tylko któryś z obrazów z albumu wystawiano na sprzedaż, próbował go kupić.

Poczuł się zraniony, kiedy zapytałam, czy to oryginały i wyjął katalogi aukcyjne z cenami. Stwierdził też, że powinien porozmawiać z marszandem, bo właśnie pobił kogoś' w licytacji Rouaulta.

Potem mówił o innych projektach — wybudowaniu kasyna z hotelem w Atlantic City, by móc finansować własną elektrownię jądrową. Własne co? Podobno w San Diego pracowała dla niego ekipa naukowców mająca stworzyć projekt elektrowni jądrowej, która, jeśli się uda, zrewolucjonizuje

przemysł energetyczny. Bob miał finansować to przedsięwzięcie z wpływów z kasyna w Adan— tic City, które nie zostało jeszcze wybudowane. Inwestycja była przez lata wstrzymywana przez FBI z powodu domniemych związków Boba z mafią. Wreszcie oczyszczono go z wszelkich podejrzeń i przyznano licencję, ale w tym czasie na wpół zbudowane kasyno pochłonęło siedemdziesiąt cztery miliony dolarów. Wówczas scenariusz ten wydawał mi się szaleństwem, lecz z drugiej strony, wszystkie projekty Boba takie były — być może ten się uda. W rezultacie to te „wielkie projekty” doprowadziły go do upadku.

Wywiad zapisał się w mojej pamięci nie tylko dlatego, że widziałam wtedy Boba i Kathy po raz ostatni, ale także ze względu na to, że po raz pierwszy odnalazłam się jako pisarka i zaczęłam rozwijać własny styl. Pamiętam tę wizytę także dlatego, że Joe Brooks, kierownik artystyczny z Londynu, który przeprowadził się do Nowego Jorku razem z Bobem i Kathy, zabrał mnie na lunch. Na koniec pogładził mój policzek i zapytał:

—Miałabyś ochotę na seks?

—Nie, dziękuję, Joe — odparłam uprzejmie.

— Na pewno? W plenerze to nie zdrada. — To był oklepany zwrot w kręgach filmowych i medialnych.

— Tak, jestem absolutnie pewna. Ale miło, że zapytałeś — wcale nie ironizowałam.

Joe Brooks cieszył się sławą wyrobionego kochanka. Był niczym Warren Beatty świata czasopism, podczas gdy ja byłam raczej matką z Finsbury

Park, której figura nawet w najlepszych czasach nie dorównywała standardom z „Penthouse'a”, więc jego pytanie było miłe. Mimo to łatwo odmówiłam.

Gdy artykuł się ukazał, wysłałam kopię do Boba Guccione. Zadzwoił do mnie Joe Brooks i powiedział:

— Bob stwierdził, że cię zabije, jeśli kiedykolwiek pojawisz się w Nowym Jorku. Nie spodobało mu się to, co napisałaś o Kathy.

Potraktowałam tę groźbę wystarczająco poważnie, by odczuwać strach podczas kolejnych podróży do Nowego Jorku, a gdy Graydon Carter z „Vanity Fair” próbował mnie przekonać do tego, bym się tam przeprowadziła w połowie lat dziewięćdziesiątych, strach przed spotkaniem z Bobem i Kathy był jedną z licznych obaw (choć mniej istotnych), które kazały mi odmówić.

Naturalnie, śledziłam historię „Penthouse'a” z drugiej ręki, w prasie i słuchając plotek rozgłaszanych przez innych byłych pracowników czasopiśma. Praca w „Penthouse” to jak chodzenie do mało znanej, ale kolorowej, prywatnej szkoły podstawowej zamkniętej w związku ze skandalem — gdy poznaje się kogoś, kto ma taką samą przeszłość, nie da się z nim rozmawiać o niczym innym. Dowiedziałam się więc, że w 1988 roku Bob wreszcie poślubił Kathy, mniej więcej w tym samym czasie powiększyła sobie piersi (ktoś mi powiedział, że wyglądała jak „szkielet z nadmuchiwanym matercem przywiązany do klatki piersiowej”). W 1995 roku stwierdzono u niej raka piersi i dano jej tylko sześć tygodni życia, ale walczyła z chorobą za pomocą kontrowersyjnego nowego leku. Zmarła w czasie operacji w 1997

roku. W tym czasie imperium „Penthousea” chyliło się ku upadkowi, po części na skutek pojawienia się pornografii internetowej, ale też dlatego, że Bob stracił sto milionów dolarów na próbie wybudowania kasyna w Atlantic City i elektrowni atomowej (w owym czasie utrzymywał osiemdziesięciu dwóch naukowców w San Diego). W 1992 roku musiał pożyczyć osiemdziesiąt milionów, żeby zapłacić podatek. Niestety, pokłócił się też ze swoimi synami, Bobem juniorem i Tonym, i odmówił spotkania się z nimi nawet wtedy, gdy stwierdzono u niego raka krtani. Ponadto podjął złą decyzję o obniżeniu poziomu „Penthousea” w reakcji na pornografię internetową — pod koniec lat dziewięćdziesiątych pojawiły się zdjęcia ukazujące penetrację, a nawet „sporty wodne”¹⁴.

W ostatniej, rozpaczliwej próbie ugłaskania kredytodawców, Bob sprzedał swoją kolekcję sztuki w Sotheby's w 2002 roku, lecz podczas gdy dwa lata wcześniej wyceniono ją na pięćdziesiąt dziewięć milionów dolarów, teraz przyniosła jedynie dziewiętnaście milionów. To nie wystarczyło. W 2003 roku ogłoszono upadek imperium „Penthouse'a”, a rok później Bob został eksmitowany ze swojej posiadłości. W tym czasie miał już zaawansowanego raka krtani i otrzymywał pożywienie przez rurkę wprowadzoną do żołądka. Na ostatnich zdjęciach, które widziałam, wyglądał okropnie. Nie jestem pewna, gdzie żyje, ani czym się zajmuje. Wspominam go z czułością i jestem mu wdzięczna za wprowadzenie mnie w dziennikarstwo.

¹⁴ * Urofilia — dewiacja seksualna, w której podniecenie daje kontakt z moczem partnera (przyp. tłum.).

Fleet Street

Nasza pierwsza córka, Rosie, urodziła się w 1975 roku, a druga, Theo, w 1978. Do pracy wróciłam w roku 1981, więc odsłużyłam swoje jako pozostająca w domu matka. Mam nadzieję, że robiłam to należycie, choć do dziś oblewa mnie zimny pot na dźwięk słów: „opieka nad grupą” albo gorzej: „papier mâché”. Na szczęście wówczas w Finsbury Park kłębiło się od szlachetnych matek, które dzwoniły i mówiły, że planują spędzić wieczór na robieniu masek z papier mâché. Czy moje córki miałyby ochotę się przyłączyć? Ależ oczywiście! Problem pojawiał się wtedy, gdy musiałam odwdziaczyć się podobną rozkoszą. Lecz niebawem odkryłam, że największą radością dla dzieci ze średniej klasy Finsbury Park było posadzenie ich przed telewizorem, ponieważ w domach nie pozwalano im oglądać telewizji. W tamtych czasach panował tak duży rygorizm dotyczący telewizji (początek lat osiemdziesiątych), jak teraz, powiedzmy, w kwestii recyklingu i dodatków spożywczych. David jednak często mówił, podpierając się swoimi badaniami prowadzonymi w ramach studiów dziennikarskich, że oglądanie telewizji było dla dzieci dobre. W konsekwencji nasze córki, które mogły oglądać telewizję tak długo, jak chciały, rzadko to robiły, podczas gdy ich przyjaciele siedzieli przyklejeni do odbiornika.

W czasach tej opieki nad grupą zajmowałam się wyłącznie pisaniem opasłego tomiska zatytułowanego *Czasy świetności historii naturalnej*, opisującego wpływ darwinizmu na wiktoriańskie książki z dziedziny historii naturalnej. Z perspektywy czasu wydaje mi się to kompletnym szaleństwem, ale wtedy myślałam, że mając dzieci, łatwiej mi będzie pisać historyczną książkę opierającą się na poszukiwaniach w bibliotece, niż uprawiać dziennikarstwo z pozycji wolnego strzelca. Rany, jak bardzo się myliłam! Książka otrzymała wspaniałe recenzje i nadal stanowi moją wizytówkę w przypadku kontaktów z takimi ludźmi, jak sir David Attenborough, lecz gorzko żałuję, że ją pisałam. To było pięć lat ciężkiej pracy za prawie żadne pieniądze i dowód na to, co mówiło mi wielu nauczycieli z Oksfordu — że nie nadaję się na stypendystkę. Najsmutniejsze było to, że o ile przed napisaniem tej książki uwielbiałam czytać wiktoriańskie dzieła przyrodnicze i szukałam ich w antykwariatach, to potem nie mogłam na nie patrzeć, nawet na takie perełki, jak *Tenby* Philipa Gosse'a.

To stary, dobry Harry Fieldhouse przywrócił mnie dziennikarstwu. Odszedł z „Penthousea” i straciłam go z oczu, ale podobno pracował w czasopiśmie „Telegraph” i powiedział redaktorowi, że jestem znawczynią historii naturalnej (ha!) i dzięki temu właściwą osobą do przeprowadzenia wywiadu z etologiem, laureatem Nagrody Nobla, Konradem Lorenzem z Wiednia. Zlecenie przyszło nie wiadomo skąd (nie wiedziałam, że stał za tym Harry); od lat nie zajmowałam się dziennikarstwem i nigdy nie prowadziłam wywiadu z tak poważanym naukowcem, niemniej, rzecz jasna, z radością pojechałam do Wiednia. Martwiłam się, że Lorenz będzie oschły i konkretny, ale okazał się wyjątkowo uroczym, kulturalnym i fascynującym człowie-

kiem. Pamiętam, jak leżałam w pokoju hotelowym w Wiedniu i myślałam: „To niesamowite. Płaci mi się za spotkanie, dla którego gotowa byłabym zabić”. Do tego czasu nie miałam sprecyzowanych planów, lecz nagle, w wieku trzydziestu sześciu lat, wiedziałam, co chcę robić — przeprowadzać wywiady, jak najwięcej wywiadów.

Wkrótce potem Harry Fieldhouse skontaktował się ze mną i powiedział, że pracuje dla kolorowego dodatku „Sun— day Express”. Zapytał, czy chciałabym się przyłączyć. Czy bym chciała? Umierałam z chęci powrotu do pracy po sześciu latach spędzonych w domu w Finsbury Park. Poza tym rozpaczliwie potrzebowaliśmy pieniędzy. Oznaczało to także, że będę pracowała przy Fleet Street, chociaż wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że będę świadkiem jej ostatnich dni. Uwielbiałam widok ciężarówek z platformami, przywożących wielkie bele papieru gazetowego ze Skandynawii, które były rozładowywane i znikwały w czeluściach budynku „Express”, zwanego też Black Lu— byanka. Uwielbiałam czuć, że jestem częścią tej branży, że mam jakiś związek z drwałami, którzy ścinali drzewa, pracownikami papierni, którzy robili z nich papier gazetowy, kierowcami ciężarówek, którzy przewozili go przez kontynent, drukarzami, którzy — gdy nie strajkowali — drukowali gazety. Poręcze tylnych schodów w Black Lubyanka pokrywała gruba warstwa tuszu z dłoni drukarzy, a w całym budynku późnym popołudniem słyszało się, a nawet czuło, wielki huk i drżenie, gdy prasy zaczynały tłoczyć.

Oczywiście, uwielbiałam przechodzić przez sławne lobby w stylu art deco, by odebrać fundusz reprezentacyjny w „banku w niebie”. Cóż to był

za bajeczny fundusz! Gdy za pierwszym razem wypełniłam formularz, zastępca redaktora naczelnego powiedział, że wygląda żałośnie. Jak mogłam jeździć pociągiem w wagonie drugiej klasy lub, co gorsza, metrem? Czy nie wiedziałam, że w świetle prawa Związku Zawodowego Dziennikarzy możemy korzystać tylko z pociągów pierwszej klasy i taksówek? I te straszne, tanie restauracje, do których chodziłam! Zapłacenie rachunku za lunch w wysokości sześciu funtów było nie do przyjęcia. Pokazał mi plik rachunków restauracyjnych i powiedział, że następnym razem mam się bardziej postarać. W owych czasach było czymś zupełnie normalnym, że dziennikarze prosili o pół tuzina paragonów za każdym razem, gdy płacili rachunek w restauracji. A jeśli jechało się w podróż zagraniczną, szło się do „banku w niebie” po zaliczkę w wysokości trzystu lub pięciuset funtów bez żadnego wyjaśnienia.

Podsumowując, „Sunday Express” był najfajniejszym miejscem, w jakim kiedykolwiek pracowałam, i zawarłam tam wiele przyjaźni. Przychodziliśmy do pracy około dziesiątej trzydzieści lub jedenastej, otwieraliśmy pocztę, rozmawialiśmy o tym, co robiliśmy poprzedniego wieczoru, czytaliśmy gazety (z jakiegoś powodu wszyscy musieliśmy czytać codziennie wszystkie gazety), lecz najważniejszym zadaniem każdego poranka było umówienie się na lunch. Jeżeli ktoś z nas „zabawiał kontakt”, szedł z gościem do wspaniałej restauracji, takiej jak Savoy Grill lub Rules; w przeciwnym razie chodziliśmy do pobliskiej włoskiej restauracji Capitelli lub do Joe Allena w Covent Garden, bądź też do niewiarygodnie podejrzanego City Golf Club, gdzie jedzenie było potworne, ale słyszało się najlepsze i najświeższe plotecki z Fleet Street. Zdarzały się lunche z trzema, czterema

lub sześcioma butelkami. Lunch był kiepski, jeśli kończył się przed szesnastą. Niekiedy „pomagaliśmy” naszemu ekspertowi od win, Ozowi Clarke'owi, w degustowaniu trunków. Wówczas biuro było zalewane butelkami win przez kilka dni. Miałam notować komentarze Oza, ale po kilku butelkach nie byłam w stanie odczytać własnego pisma. W efekcie nie spisywałam ich w redakcji tylko w domu przed wyjściem do biura.

Moja pierwsza praca w „Sunday Express” polegała na cotygodniowym opracowywaniu szybkiego wywiadu z jakąś sławą. Cykl nosił tytuł: „To, czego nie zrobiłem do osiemnastki, a co mogłoby mieć wpływ na moje życie”. To był jeden z tych jedno—stronicowych wywiadów w rodzaju „Dzień z życia...”, w których naprędce sklejało się przytoczone pojedyncze zdania tak, by tworzyły spójną narrację. Nie szalałam na punkcie tej formy ani tematu — wszyscy mówili, że żałują, iż nie uczyli się więcej języków obcych i że przerwali naukę gry na pianinie — niemniej odkryłam, że pytanie sławnych ludzi o to, jacy byli, mając osiemnaście lat, czyli na początku dorosłości, często pozwalało wiele się o nich dowiedzieć. Była to doskonała możliwość nabycia doświadczenia w obchodzeniu się z celebrytami, bo pozwalała na pozbycie się podstawowego problemu nowicjusza, czyli tremy w obecności gwiazdy. Oczywiście, zawsze się cieszyłam, że ich poznaję, ale nie na tyle, by zapomnieć o zadawaniu pytań. Naprawdę świetną nauką dyscypliny była konieczność urozmaicania wywiadów co tydzień, gdy forma była tak sztywna. Nauczyłam się, by szukać raczej różnic między ludźmi niż podobieństw i zachowywać osobliwość ich wypowiedzi.

Pamiętam sympatyczny wywiad z sir Ralphem Richardso— nem, który we wcześniejszej rozmowie telefonicznej wydał się bardzo dziwny. (W tamtych latach numery telefoniczne sławnych osób znajdowały się w almanachach *Who is Who*, a nawet w londyńskiej książce telefonicznej. Nie trzeba było zwracać się do milionów biur PR, jak ma to miejsce dzisiaj). Sir Ralph ochoczo zgodził się na wywiad, po czym zapytał:

—A ile mi zapłacicie?

—Nie płacimy za udzielenie wywiadu — odparłam zszokowana.

—A czy pani nie dostaje pieniędzy, moja droga? Odpowiedziałam, że owszem, dostaję.

—Wydawało mi się, że mówiła pani, że to mają być moje słowa.

—No... tak — zaczynałam powoli dostrzegać trudności.

—Coś pani powiem — kontynuował. — Sam to napiszę i będziecie mi mogli zapłacić. Nie chcę czeku, tylko skrzynkę wina ze sklepu Berry Bros and Rudd. Proszę im powiedzieć, że to dla mnie. Wiedzą, co lubię. Kiedy chce pani przyjść porozmawiać?

Odłożyłam słuchawkę głęboko zdumiona, lecz gdy opowiedziałam o wszystkim naczelnemu, zaśmiał się i stwierdził: „O tak”. Przypuszczam, że wysłał wino, ponieważ sir Ralph powitał mnie ciepło. Mówił tak gładko i zabawnie, że bez wątplenia zasłużył na skrzynkę wina.

Najbardziej żenujące spotkanie miałam z Robertem Robinsonem, wszechobecnym mistrzem quizów radiowych i telewizyjnych. Pojechałam

taksówką do jego eleganckiego domu w Chelsea i — jak to się wtedy często zdarzało — żułam gumę, którą wyrzuciłam do popielniczki w taksówce, gdy wysiadałam. Pani Robinson wpuściła mnie do środka i przedstawiła mężowi. Nadal staliśmy w przedpokoju, gdy rozległ się dzwonek u drzwi. Robert Robinson otworzył drzwi i poirytowany taksówkarz wcisnął mi moją zżutą gumę do ręki, krzycząc:

— Obrzydliwy zwyczaj!

Mężczyzna odwrócił się na pięcie, by odejść, po czym ze spóźnionym refleksem odwrócił się ponownie — nagle rozpoznał Roberta Robinsona, którego widywał w telewizji.

—Przepraszam pana — wyjąkał. — Gdybym wiedział, że to pan...

Nieszczęśnik próbował zabrać gumę z dłoni Robinsona, ale ta mocno przywarła. Im bardziej taksówkarz starał się ją od— kleić, tym bardziej rozciągała się ona między ich dłońmi, aż wreszcie oderwała się i spadła na wspaniały dywan. Pani Robinson cicho jęknęła i wyglądała tak, jakby miała się rozplakać. Stałam oniemiała, zbyt zawstydzona, by przeprosić. Atmosfera w czasie wywiadu nie polepszyła się.

Miałam też niezwykle krępujące spotkanie z Alanem Whi— ckerem. Mieszkał na wyspie Jersey i zaprosił mnie na lunch do domu. Uznałam, że jest nieco sztywny, ale bardzo uprzejmy. Lunch przebiegał gładko. Pan Whicker opowiadał, że gdy miał osiemnaście lat, trwała wojna i jakie dziwne było to, że chłopcy udawali mężczyzn, kiedy znajdowali się daleko od domu. Mówił o tym, jak szybko człowiek zmieniał swój system warto-

ści. Zapytałam — ponieważ wydawało mi się to na temat — czy kiedykolwiek był w domu publicznym. Bez słowa rzucił serwetkę na stół i wyszedł z pokoju. Siedziałam tam przez prawie pięć minut, zastanawiając się, co zrobić. Kiedy wrócił, trzymał w dłoni kartkę papieru, z której czytał niczym adwokat:

—Rozumiem, pani Barber, że pracowała pani dla czasopisma „Penthouse” i jest pani autorką książki zatytułowanej *Jak ulepszyć sobie męża w łóżku*.

—Zgadza się — odparłam.

Chciał dostać podpisany egzemplarz książki, czy co? Oboje wpatrywaliśmy się w siebie skonsternowani. Potem znowu wyszedł, wrócił, podniósł serwetkę i ponownie zajął się jedzeniem. Z perspektywy czasu sędzę, że uznał, iż jest to doskonały moment na wyjawienie prawdy, gdy wyciągnął na światło dzienne wstydliwie skrywaną tajemnicę, jakim to jestem haniebnym pornografem. Ale to nigdy nie było tajemnicą — wszyscy, którzy mnie znali, wiedzieli, że pracowałam dla „Penthouse'a”. Czułam jednak, że nie powinnam powtarzać pytania o dom publiczny!

(Nawiasem mówiąc, pytanie mężczyzny o to, czy był w domu publicznym lub czy kiedykolwiek miał kontakty homoseksualne jest rosyjską ruletką — nigdy nie wiesz, jaką reakcję wywoła. Zawsze pracuję w oparciu o założenie, że ludzie nie powinni czuć się urażeni pytaniem. Przecież mogą odpowiedzieć: „Nie, nigdy”. Niestety, niektóre osoby, w tym najwyraźniej również pan Whicker, utożsamiają pytanie z oskarżeniem. Nadal uważam, że warto o to pytać, ponieważ reakcja sama w sobie jest informacją).

Mniej więcej po roku mojej pracy w „Sunday Express” pod kierownictwem Charlesa Wintoura, poinformowano nas, że będziemy mieć nowego naczelnego — Rona „Borsuka” Halla, którego właśnie wylano z czasopiśma „Sunday Times”. (W „Private Eye” ochrzczonego Borsukiem, ponieważ chodził jak to zwierzę, podwijając palce u stóp). Tak się złożyło, że znałam Rona Haila z dawnych czasów, gdyż był przyjacielem przyjaciela Simona, Danny’ego, i spotykałam go czasami przy Bedford Square. Oświadczał mi się raz czy dwa, ale miałam nadzieję, że o tym zapomni. W ogóle miałam nadzieję, że mnie nie pamiętał. Najwyraźniej jednak nie zapomni, ponieważ niemalże pierwszego dnia swojej pracy w „Sunday Express” zaprosił mnie na lunch do Zanzibaru i powiedział:

—Wiem, że jesteś cudownie niedyskretna. Podaj mi najważniejsze informacje o swoich kolegach.

Oczywiście, zrobiłam to z radością.

Powiedział, że jego zdaniem powinnam pisać dłuższe artykuły, a nie tylko te krótkie w stylu „To, czego nie zrobiłem...”. Na początek chciał, abym napisała artykuł na pierwszą stronę o Auchtermuchty. Hę? Co to jest Auchtermuchty?

— Czy nie czytasz kolumny Johna Junora? — warknął.

John Junor był redaktorem „Sunday Express” i pisał artykuły, w których, jak się dowiedziałam, często wspominał o Auchtermuchty. Było to małe miasteczko, które mijał w drodze do Royal and Ancient Golf Club w St Andrews. Z jakiegoś tajemniczego powodu stało się ono jego osobistym

Brigadoon*¹⁵. John często pisywał zartobliwe panegiryki do starszyny kościoła Auchtermuchty.

Mój artykuł miał być gałązką oliwną. Do tej pory Junor nie rozmawiał z nikim z czasopisma. Kierownictwo gazety obstawało przy tym, żeby „Sunday Express” prowadził magazyn mogący konkurować z rywalami, lecz Junor kategorycznie odmawiał jego stworzenia. Ron Hall miał nadzieję, że jeśli napiszę duży panegiryk sławiący Auchtermuchty, schlebi to Johnowi Junorowi do tego stopnia, że nawiąże z nami dobre stosunki. Ron nalegał w szczególności, bym nakłoniła starszyny kościoła Auchtermuchty do zdjęcia grupowego. Ron powiększy je, oprawi w ramki i podaruje Junorowi jako dowód ich nowej przyjaźni, podobnie jak przewodniczący Mao podarował pandy prezydentowi Nixonowi w 1972 roku.

Nie sądzę, bym zdawała sobie sprawę z ogromu dyplomatycznej odpowiedzialności, jaka spoczywała na moich barkach. Wiedziałam, że muszę napisać dobry, długi artykuł o zwykłym szkockim miasteczku. Ron twierdził, że to będzie łatwe — zaparkuję pod pubem i pogadam z mieszkańcami. Interesujące historie pojawią się na pewno. Stwierdził, że tak właśnie działają prawdziwi dziennikarze. Cóż, ha! Ha, do cholery! Pojechałam do Auchtermuchty i weszłam do pubu w porze lunchu. Wszyscy się cofnęli na mój widok z przerażeniem, bo nigdy wcześniej kobieta nie wchodziła do tego lokalu. Mówiąc o „wszystkich”, mam na myśli pół tuzina zniedołęż-

¹⁵ * Musical i film opowiadające o tajemniczym miasteczku ukazującym się raz na sto lat na dwadzieścia cztery godziny (przyp. red.).

niałych alkoholików, którzy stanowili całą klientelę. Po dziesięciu minutach od przyjazdu do Auchtermuchty zostałam uznana za nierządnicę, o czym wieść szybko się rozniosła w tak małym miasteczku. Gdy późnym popołudniem poszłam pod szkołę, sądząc, że mogłabym pogawędzić z matkami odbierającymi dzieci ze szkoły, kobiety ostentacyjnie odwracały się do mnie plecami. Wiedziały, że jestem tą angielską latawicą, którą widziano, jak wchodziła do pubu.

Do końca dnia nie udało mi się porozmawiać z nikim. Zrozpaczona zadzwoniłam do Rona, cytując jedno z jego ulubionych powiedzonek: „Jeśli nie udaje ci się od razu, zrezygnuj”.

W normalnych okolicznościach zaśmiałyby się, ale tym razem był przerażająco konsekwentny.

— Musisz napisać ten artykuł, Lynn. Musisz zostać w Auch— termuchty tak długo, jak będzie trzeba. Jeśli wrócisz z niczym, nie ma tu dla ciebie pracy.

Niemal z miejsca porzuciłam karierę dziennikarki. Jednak stopniowo, z biegiem dni — choć wydawało się, że były to lata — zdołałam nawiązać kontakt tu i tam, i wreszcie zebrałam starszyznę kościoła Auchtermuchty do zdjęcia grupowego. Udało się. John Junor był mile podłechtany, Ron Hall był zachwycony, moja praca była bezpieczna. Niemniej tydzień w Auchtermuchty był najdłuższym, najtrudniejszym i najbardziej wyczerpującym zadaniem w życiu. W późniejszych latach, gdy czasami znajdowałam się w towarzystwie zagranicznych korespondentów wspominających wojny i horrory, które widzieli, dorzucałam swoje żalosne dwa grosze:

— Nigdy nie byłam w Afganistanie, Iraku lub Kosowie, ale swego czasu spędziłam tydzień w Auchtermuchty...

Po triumfie w Auchtermuchty dostawałam większe i lepsze tematy. Wszystko szło jak po maśle do czasu, gdy zachorowałam na dyskopatię, po czym trafiłam do szpitala na wiele miesięcy i pozostałam już na zawsze kulawa. Ostatnim wywiadem, który przeprowadziłam przed pójściem do szpitala, była rozmowa z popularną piosenkarką lat sześćdziesiątych, Sandie Shaw. Spotkałyśmy się na lunchu w restauracji Neal Street w Covent Garden. Przyjechała godzinę później, z chłopakiem, którego imienia nigdy nie ujawniła. Wszystko mnie w niej wkurzało. Powiedziała, że nie ma ochoty na lunch i postanowiła zamówić coś spoza menu, listek tego, odrobinę tamtego. Odpowiadała na wszystkie pytania nadającym „tak” lub „nie” albo prychała znudzona. W tym czasie odczuwałam już silny ból i nagle wybuchnęłam:

— Mam tego dość. Nie chcę tu siedzieć bardziej niż ty. Jutro idę do szpitala na operację i guzik mnie obchodzi twoja nędzna kariera! Zjedz swoją sałatę i idź do domu.

Natychmiast zmieniła się w zupełnie inną osobę. Pełna współczucia i troski zapytała o operację i powiedziała z mocą:

— Nie możesz im pozwolić operować kręgosłupa. To twoje połączenie mózgu z Ziemią. Będę dla ciebie śpiewała. Zwołam swoją grupę. Oto pieśń, której musisz się nauczyć.

Następnie na środku restauracji zaśpiewała długą piosenkę (która przypominała piosenkę Lynne Franks, czyli Ediny z *Absolutely Fabulous*^{*16}), zręcznie chwyciła rachunek, zapłaciła i wsadziła mnie do taksówki. W jakiś sposób zdobyła mój numer telefonu, ponieważ kilka dni później, gdy byłam w szpitalu, zadzwoniła do Davida i powiedziała mu, że śpiewa dla mnie codziennie. Próbowiła nauczyć go pieśni, ale wyjaśnił jej, że to nie jest zgodne z jego religią (podobnie jak w moim przypadku, chodziło o ateizm, ale tego jej nie powiedział), na co odparła, że oczywiście szanuje inne wyznania. Okazała się bardzo miła, chociaż zbyt zwariowana, jak na mój gust.

Długi pobyt w szpitalu wyraźnie wzmocnił mój charakter. Wyszłam z niego o wiele odważniejsza, z większą gotowością mówienia „nie” i mniejszą chęcią zadowalania innych. Wkrótce potem przeprowadziłam wywiad z Bobem i Kathy w Nowym Jorku. Wywiad, który okazał się punktem zwrotnym w mojej karierze. Do tego czasu pisałam wywiady w trzeciej osobie, co było zgodne z przyjętym zwyczajem. Jeśli nawet z jakiegoś powodu wspomniało się o sobie, zawsze robiło się to pod przykrywką „waszego reportera” lub „niniejszego autora”. Istniało przekonanie, że dziennikarze powinni zachować jak największy obiektywizm i nigdy nie narzucać swojego zdania. Dość posłusznie postępowałam zgodnie ze zwyczajem — nadal uważałam się za nowicjuszkę — lecz gdy przyszło do pisania o Bobie i Kathy, musiałam wyjawic, że pracowałam dla nich siedem lat. Gdybym tego nie zrobiła, zachowałabym się nieuczciwie.

¹⁶ * *Absolutnie fantastyczne* — popularny na Wyspach Brytyjskich sitcom (przyp. red.).

Wyjaśniłam to Ronowi Hallowi, ale, jak przystało na byłego naczelnego „Sunday Times”, był głęboko związany z panującym zwyczajem i stwierdził, że pisanie w pierwszej osobie jest „nieprofesjonalne” i „dziewczyńskie”. Ja jednak, dzięki odwadze nabytej w szpitalu, uparłam się i oznajmiłam, że nie mogę pisać inaczej. W końcu się zgodził.

— Spróbuj napisać to po swojemu, ale jeśli stwierdzę, że to nie jest dobre, będziesz musiała napisać to po mojemu.

Zgodziłam się. Napisałam artykuł po swojemu, a Ron nigdy już nie wspomniał o pisaniu według jego zasad. Od tego momentu wszystkie artykuły pisałam w pierwszej osobie i wreszcie poczułam, że znalazłam swój styl. Nigdy nie wierzyłam w obiektywne wywiady— Jeżeli w pokoju znajdują się dwie osoby, nie można udawać, że osoba udzielająca wywiadu mówi w próżnię. Pisałam z coraz większą pewnością siebie i niebawem, w 1986 roku, zdobyłam pierwszą brytyjską nagrodę prasową.

Rok później otrzymałam kolejną nagrodę za jedyną w całej swojej karierze sensację na wyłączność — wywiad z Johnem Paulem Gettym II. W owym czasie Getty był samotnikiem, który uciekł z Rzymu w 1972 roku, po tym, jak jego żona, Talitha Pol, zmarła z powodu przedawkowania narkotyków. Zaszły się na wiele lat w domu przy Cheyne Walk. Pojawiły się pogłoski, że przebywa w londyńskiej klinice z powodu niejasnych problemów z krążeniem. Gdy moja koleżanka, Pauline Peters, oznajmiła, że potrzebuje pomocy w telefonicznym pytaniu cudzoziemców, dlaczego zdecydowali się zamieszkać w Anglii, postanowiłam zadzwonić do Getty'ego do kliniki. Zostałam natychmiast połączona i gawędziliśmy o jego miłości

do Anglii, a zwłaszcza do krykieta. Spisałam jego słowa i przekazałam je Pauline. Wszyscy w biurze pękali ze śmiechu i twierdzili, że Getty nigdy nie udziela wywiadów i że musiałam rozmawiać z oszustem.

—To absurdalne — powiedziałam. — Zadzwonię do niego jeszcze raz.

Zadzwołam więc do kliniki i poprosiłam o połączenie mnie z panem Gettym. Tym razem recepcjonistka odparła:

— Nie mogę. Pan Getty nie odbiera telefonów.

Wtedy rozpoczęłam swego rodzaju krucjatę, której celem było przeprowadzenie wywiadu z Johnem Paulem Gettym po to, by udowodnić, że to właśnie z nim rozmawiałam. Pisałam do niego co tydzień, nigdy nie otrzymując odpowiedzi. Potem napisałam do jego radcy prawnego, Vanniego Trevesa. Ten zaprosił mnie do swojego biura i powiedział, że pan Getty nigdy nie udziela wywiadów, ale może zgodzi się na rozmowę pod warunkiem, że nie będę miała przy sobie notatnika, magnetofonu ani niczego, co mogłoby mu przypominać, że jestem dziennikarką. (Nienawidził dziennikarzy od czasu, gdy jego syn został porwany w Rzymie i prasa nie dawała mu spokoju). Treves oznajmił:

—Zadzwonię do pani w odpowiednim czasie.

Oto, co się stało: Treves zadzwonił do mnie pewnego popołudnia i powiedział:

—Proszę przyjechać do St James's Place.

Spotkał się ze mną na ulicy i zaprowadził do mieszkania Getty'ego. Getty niezupełnie ze mną rozmawiał — oglądał w telewizji grę w golfa — jednak pozwolił mi rozejrzeć się po mieszkaniu, podziwiać piękny, stary gramofon oraz obrazy Gustava Moreau i odpowiedział na dość pytań, bym mogła napisać porządny artykuł. Jego wyłączność polegała na tym, że był to pierwszy opublikowany wywiad z Gettym — niemal nikt inny się z nim nie spotykał — od ponad dekady. W późniejszych latach Getty stał się bardziej towarzyski i dość często zapraszał dziennikarzy na mecze krykieta do Womersley, swojej wiejskiej posiadłości, więc moja sensacja była ulotna (jak to bywa z sensacjami), ale to wystarczyło, bym zdobyła kolejną nagrodę prasową.

Jako jedyna nagradzana autorka tekstów w „Sunday Express” spotykałam się z dużą troską, dostawałam wysokie wynagrodzenie, hojny dodatek reprezentacyjny, samochód firmowy, prawo wyboru darmowych wycieczek. Dostałam też piękne biuro (gdy przeprowadziliśmy się na drugą stronę mostu Blackfriars) z widokiem na Tamizę. Cieszyłam się wszystkimi dodatkowymi przywilejami, na jakie może liczyć dziennikarz — z wyjątkiem uznania. Przygnębiało mnie to, że nikt ze znanych mi osób nie czyta „Sunday Express”. Gdy jechałam do rodziców, do Wiltshire, wszyscy w pubie gratulowali mi artykułów, lecz w Londynie nie spotkałam ani jednego czytelnika „Sunday Express”.

I jak można się było spodziewać, po kilku latach zaczęło mnie nosić. Ubiegałam się o pracę w innych gazetach, sądząc, że laureatka dwóch nagród powinna mieć wzięcie. Jednak nigdy go nie miałam — myślę, że

„Sunday Express” był tak niepopularnym czasopismem, że redaktorzy z Fleet Street po prostu go nie czytali.

Pod koniec 1989 roku byłam na lunchu z Ronem Hallem w Groucho Club, podczas którego przedstawił mnie koledze z „Sunday Times”, Ianowi Jackowi, Ian powiedział, że pomaga wypromować nową gazetę „Independent on Sunday”. („Independent” odnosił sukces od 1986 roku; teraz powstawało jego niedzielne wydanie, którego naczelnym miał zostać Stephen Glover. Ian Jack odpowiadał za dział recenzji). Zapytałam:

—Czy znajdzie się tam praca dla autorki obszernych artykułów?

—Może — odparł. — Prześlij mi swoje wycinki.

Tak też zrobiłam. Właśnie wtedy „Sunday Express” wysłał mnie do Punta del Este w Urugwaju, bym napisała o regatach dookoła świata Whitbread Round the World. A w zasadzie nie o regatach — uchowaj Boże — tylko o balach, imprezach i świętowaniu po przybyciu jachtów. To miała być świetna okazja zobaczenia południowoamerykańskich wyższych sfer w czasie zabawy. Korespondent „Express” informował nas na bieżąco o postępach wyścigu i wreszcie otrzymałam telefon: „Przylatuj teraz, jachty pojawią się za trzy dni”. Tak więc wybrałam się do Punta del Este, gdzie dowiedziałam się, że z powodu flauty jachty nadal znajdują się trzy dni drogi od brzegu.

I tak było przez prawie dwa tygodnie. Znani i bogaci, którzy przybyli do Punta del Este w tym czasie, co ja, zostali tam dzień lub dwa, po czym wyjechali i nie wrócili. Po jakimś czasie nawet mieszkańcy stracili zaintereso-

sowanie. Niekiedy miałam wrażenie, że jestem jedyną osobą w Punta del Este, która nadal wypatrywała jachtów na horyzoncie. Stawałam na różnym nabrzeżu każdego dnia o świcie, modląc się o widok żagli, niczym żona biednego rybaka, który nie wrócił do portu. Przez cały czas szalałam z niecierpliwości, myśląc, że przegapiam swoją szansę w „Independent on Sunday”. Gdy jachty wreszcie przyplłynęły, wiele tygodni później, w środku nocy, wszystkie bale i imprezy zostały odwołane. Jedynym świętowaniem, które pamiętam, było wypicie dużej ilości piwa Steinlager na zwycięskim jachcie z Nowej Zelandii oraz przepłynięcie jachtem Rothmansa do Montevideo. Potem pędziłam na złamanie karku do Anglii i wściekłego Davida, który woził dzieciaki do szkoły przez trzy tygodnie, a nie przez cztery dni, jak mu obiecałam. Zakładałam, że straciłam szansę na dołączenie do zespołu nowego „Independent on Sunday”.

Sukces

Ale nie. Na szczęście w „Independent on Sunday” wszyscy byli tak zajęci zatrudnianiem prawdziwych dziennikarzy — zagranicznych korespondentów, redaktorów sportowych, komentatorów politycznych, że całkowicie zapomnieli o skromnym autorze wywiadów, więc posada była nadal wolna, gdy wróciłam z Urugwaju. Poszłam na spotkanie ze Stephenem Gloverem, który popatrzył krzywo na mój życiorys — siedem lat w „Penthouse”, siedem w „Sunday Express”, dwie książki o erotyce (jak wielu z szefostwa „Independent”, był synem pastora) — ale stwierdził leniwie, że Ian Jack i Sebastian Faulks uważają moje wywiady za naprawdę dobre. Powiedziałam mu, że jurorzy oceniający brytyjską prasę też tak uważają, zważywszy na fakt, że zdobyłam już dwie nagrody i spodziewałam się zdobyć kolejne. Tak więc, bez większego entuzjazmu, Glover zaproponował mi pracę. Oznaczało to odczuwalny spadek pensji i brak samochodu, lecz w tym czasie rozpaczliwie wręcz pragnęłam opuścić „Sunday Express”. Poza tym ogromnie fajnie było dołączyć do zespołu gazety, o której wszyscy mówili. Podobało mi się też to, że biuro znajdowało się tuż obok cmentarza Bunhill Fields, na którym nocowało najwięcej szpaków w Londynie, więc w czasie zachodu słońca mogłam spacerować na tyłach budynku i obserwować nadlatujące ptaki.

Teoretycznie byłam członkiem zespołu, który mógł zajmować się czymkolwiek. W praktyce zaczęłam przeprowadzać wywiady od pierwszego dnia i uczyniłam z tego swoją specjalność. Drukowaliśmy numery próbne przez prawie dwa miesiące, zanim gazeta weszła na rynek, więc zgromadziłam spory zapas wywiadów, spośród których Stephen Glover mógł wybierać. W pierwszym numerze ukazał się wywiad z Johnem Aspinallim, w którym — święcie w to wierzę — przyznał, że widział lorda Lucana¹⁷ po tym, jak zamordował opiekunkę do dzieci. Wypowiedź była jednak niejednoznaczna i zdaje się, że nikt oprócz mnie tak jej nie odbierał, więc pierwszy wywiad przeszedł bez echa. Jednak wywiady pojawiające się w kolejnych tygodniach przyciągnęły sporą uwagę, zwłaszcza atak na Malvyna Bragga i wywiad z Richardem Harrisem, w którym skomentowałam jego dziwny zwyczaj gmerania w spodniach dresowych. Nagle, z dnia na dzień, w wieku czterdziestu sześciu lat odniosłam sukces. Ludzie zaczęli nazywać mnie Demoniczną Barber i pisać rozemocjonowane artykuły o tym, czy powinno pozwalać się na takie „agresywne” wywiady. Całe to zamieszanie wydawało mi się dziwne, ponieważ pisałam podobne wywiady dla „Sunday Express” przez wiele lat, ale dopiero teraz zostałam określona mianem megalomaniaczki od krytyki, która wszystkich wrabia. Martwiłam się, że ludzie przestaną udzielać mi wywiadów. To prawdopodobnie rzeczywiście powstrzymało niektórych, ale innych pobudziło do działania — uważali, że spotkanie się ze mną jest przejawem odwagi.

¹⁷ * Hrabia Richard John Bingham, 7. lord Lucan, podejrzany o zabójstwo opiekunki swoich dzieci 7 listopada 1974 roku. Zniknął niedługo po zabójstwie i nigdy nie

(Nadal jestem zakłopotana reputacją Demonicznej Barber. Wydaje mi się, że wzięło się to z faktu, iż czytelnicy lepiej pamiętają słowa miażdżącej krytyki niż przyjazne kawałki. Jednak nigdy nie wiem, czy wynika to z tego, że lepiej piszę te pierwsze, czy też z ogólnego trendu *Schadenfreudē**¹⁸. Wywiady, które pamiętam z okresu „Independent on Sunday” to raczej wnikliwe rozmowy z Rudolfem Nuriejewem, Roaldem Dahlem, Muriel Spark, lecz te przyciągnęły mniejszą uwagę. Natomiast w przypadku «Observera» — czytelnicy lepiej pamiętali miażdżącą krytykę takich osób, jak Harriet Harman, Marianne Faithfull lub John Prescott).

Pierwszy rok w „Independent on Sunday” (1990) był rokiem chwały, w którym zdobyłam kolejną nagrodę prasową oraz nagrodę What the Papers Say i niemal bez przerwy zwracano na mnie uwagę. Nagle różni ludzie chcieli mnie poznać, dziwne stowarzyszenia, od Inns of Court po Royal Naval College w Greenwich, prosiły, bym zaszczyliła ich spotkania swoją obecnością, kluby oferowały honorowe członkostwo, związki z Oksfordu i Cambridge prosiły, bym zabrała głos w ich debatach. Przyjęłam kilka z zaproszeń, lecz niebawem zrozumiałam, że tego rodzaju okazje przygnębiają mnie. Wracałam z tych spotkań zniechęcona. Początkowo nie mogłam zrozumieć, dlaczego, jednak wreszcie to do mnie dotarło — wszyscy ci ludzie, gdy już mnie poznawali, czuli się rozczarowani. Bez względu na to, na co mieli nadzieję, byłam inna. Po części chodziło o mój wiek. Gdy pierwszy

został odnaleziony. W 1992 roku uznano go za zmarłego.

¹⁸ * Niemiecki termin oznaczający radość czerpaną z cudzego nieszczęścia (przyp. tłum.).

numer „Independent on Sunday” szedł do druku, Stephen Glover powiedział:

— Opublikujemy twoje zdjęcie obok nazwiska. Masz jakieś?

Owszem, miałam bardzo ładne zdjęcie, które wykorzystywałam w „Sunday Express”. Niestety miało już dziesięć lat, a lata te nie były dla mnie łaskawe, więc fotografia dawała mylące wrażenie mojego wyglądu. Było też coś więcej — ludzie spodziewali się, że będę mówiła tak, jak piszę, to znaczy konkretnie i zdecydowanie, podczas gdy w rzeczywistości jestem straszną gadułą, a co więcej, dźwigam bagaż w postaci akcentu z lekcji dykcji. Gdybym komunikowała się tylko za pomocą słowa pisanego, byłabym o wiele bardziej satysfakcjonującym rozmówcą!

Moje otarcie się o sławę było błahe i krótkotrwałe — trwało zaledwie kilka miesięcy — ale dało mi możliwość zrozumienia problemów prawdziwej gwiazdy. Spotkania z ludźmi, którzy myślą, że cię znają, podczas gdy ty nie masz o nich pojęcia, są bardzo denerwujące. Często mówią z taką poufałością, że ma się wrażenie, iż są to starzy przyjaciele lub koledzy, o których się jakoś, niewybaczalnie, zapomniało. Przypuszczam, że sławy przyzwyczajają się do tego — lecz oswojenie się z tą sytuacją w konsekwencji odcina ich od normalnych ludzi i jeszcze bardziej utrudnia, a nawet uniemożliwia, zawieranie im prawdziwych przyjaźni. Jonathan Ross opowiedział mi kiedyś o tym, co nazywa „powitaniem sławy”, czyli sposobie, w jaki sławni ludzie pozdrawiają się ruchem głowy w zatłoczonym pomieszczeniu, by odpowiednio się porozumieć. Twierdzi, że opinia publiczna zakłada, że sławy znają się nawzajem, więc nigdy się ich należycie sobie

nie przedstawia. Skinienie głowy jest sposobem powiedzenia: „Wiem, kim jesteś i spodziewam się, że ty też wiesz, kim ja jestem”.

(W ostatnich latach miałam okazję znowu posmakować, nie tyle sławy, co bycia rozpoznawaną. Wystąpiłam w od dawna emitowanym serialu telewizyjnym *Grumpy Old Women* [Zgryźliwe staruchy]. Gdy rankiem następnego dnia po emisji programu poszłam na zakupy w Crouch End, całkiem sporo nieznajomych kłaniało mi się i uśmiechało się do mnie na ulicy. Kolejnego dnia ukłoniła mi się jedna lub dwie osoby. Trzeciego dnia nie zaobserwowałam już żadnych oznak bycia rozpoznawaną — pamięć widzów jest krótka).

Początkowo praca w „Independent on Sunday” była ogromną radością — miałam wspaniałych kolegów, takich jak Ian Jack, Zoe Heller, Sebastian Faulks, Blake Morrison, Allison Pearson, Nick Cohen, Simon Garfield, Michael Fathers — jednak niebawem nakład zaczął gwałtownie spadać. Panowało ogólne niezadowolenie z redaktora naczelnego i było nieskończenie wiele spisków, by go wyrzucić. Nie miałam nic przeciwko spiskom — mój sprzeciw budziło to, że nie zostałam do żadnego zaproszona. Byłam kobietą. Podczas wszystkich lat spędzonych w „Penthouse” i „Sunday Express” nawet przez minutę nie poczułam, czym jest dyskryminacja płci (nie doznawałam jej też później), lecz „Independent on Sunday” było rządzone wyłącznie przez męską klikę, która najwyraźniej uważała kobiety za obywateli drugiej kategorii. Od czasu do czasu zapraszali Zoe lub mnie na konferencję, jeśli były tam kamery telewizyjne, lecz zazwyczaj zadowalali się spotkaniami wyłącznie w męskim gronie, na których poważnie dyskutowali

o tym, „czego chcą kobiety”. Pamiętam, jak pewnego dnia Peter Wilby, zastępca redaktora naczelnego, wystawił głowę z sali konferencyjnej i zapytał mnie:

— Co kobiety myślą o Maastricht?

Potem wrócił do kolegów i rzekł:

— Twierdzi, że jej to nie interesuje.

Odkryłam, że poczucie, iż jest się dyskryminowanym to zjawisko nawarstwiające się i destrukcyjne; człowiek staje się coraz bardziej wrażliwy na spostrzegane zniewagi, aż wreszcie jest naprawdę przeczulony. Wracałam do domu i rozprawiałam na temat patriarchy i męskiego szowinizmu, podczas gdy David mieszał risotto i pytał, czy mam później ochotę na *po-ires Hélènes*. To była szalona sytuacja. Chciałam uciec z „Independent on Sunday”, by nie postradać zdrowych zmysłów.

Możliwość ucieczki pojawiła się w osobie korpulentnego Graydona Cartera. W 1993 roku jadłam lunch w Gro ucho Club (jak zwykle w owych dniach), gdy ktoś mi powiedział, że Graydon został właśnie redaktorem naczelnym „Vanity Fair” na miejsce Tiny Brown. Słabo go znałam — kupił kilka moich wywiadów od „Independent on Sunday”, by opublikować je w „New York Observer”, czasopiśmie, którego był naczelnym. Poprosił, bym się z nim spotkała, gdy będę w Nowym Jorku. Carter był niepoprawnym anglofilem mającym w biurze absurdalną kolekcję bibelotów niczym z angielskiego wiejskiego domu — stare pałki do krykieta, rakiety śnieżne i zdjęcia w sepia przedstawiające osady wioślarskie — lecz spodobały mi się

jego serdeczność i dowcip. Gdy tylko się dowiedziałam, że przeszedł do „Vanity Fair”, zastanawiałam się, czy zaproponuje mi pracę. I rzeczywiście, telefon zadzwonił tego samego popołudnia.

Zaproponował mi kontrakt na bajeczną kwotę. Jedynym mankamentem było to, że chciał, bym przeprowadziła się do Nowego Jorku. Powiedziałam mu, że nie mogę tego zrobić — David pracował w Londynie, dziewczynki nadal chodziły do szkoły — więc Graydon poszedł na kompromis i uznał, że mogę zostać w Londynie, pod warunkiem że będę pojawiała się w Nowym Jorku w regularnych odstępach czasu. Wyobrażałam sobie, że to będzie raz w roku, jednak on myślał o spotkaniach comiesięcznych, ale był to najmniejszy z naszych problemów. Główny polegał na tym, że nie nadawałam się na amerykańską dziennikarkę. W Anglii dzwoniłam do swojego redaktora naczelnego i pytałam, czy chce wywiad z X i natychmiast miałam odpowiedź, że tak lub nie. W „Vanity Fair” musiałam omawiać pomysły i przedstawiać je kolejnym redaktorom, z których wszyscy pytali, jaki będzie mój punkt widzenia. Szczerze nienawidziłam tego pytania. Jeśli ma się już gotowy punkt widzenia, to znaczy, że przed spotkaniem postanowiło się, co zostanie napisane, a zatem równie dobrze można by nie przeprowadzać wywiadu. Zdawało się, że redaktorzy „Vanity Fair” oczekują niemal streszczenia wywiadu, jeszcze zanim się odbył. Ponadto konieczność przepuszczania pomysłów przez tę biurokratyczną maszynę oznaczała, że gdy je zatwierdzano, często były one o wiele miesięcy przeterminowane.

Byli też weryfikatorzy informacji. Oczywiście, czytałam *Jasne światła, wielkie miasto* i wiedziałam, z czym wiąże się weryfikowanie informacji,

lecz nadal nie zdawałam sobie sprawy z tego, w co się pakuję. Najdziwniejszy przykład dotyczył sytuacji, w której przedstawiałam sylwetkę P. D. James. Napisałam coś o tym, że spędzała weekend w Salisbury. Wkroczyli weryfikatorzy. Co to za miejsce, to Sall— is— burry? To miasto katedralne w hrabstwie Wiltshire, około stu sześćdziesięciu kilometrów na zachód od Londynu. Z jakiego źródła zaczerpnęłam tę informację? Moi rodzice mieszkają w pobliżu. Okazało się, że to nie jest żadne źródło. Musiałam znaleźć uznany przewodnik informujący o tym, gdzie się znajduje Salisbury. Oczywiście, nie było to trudne, niemniej do furii doprowadził mnie fakt, że w moim artykule umieszczono spory fragment z przewodnika. P. D. James spędziła weekend w „Salisbury, mieście założonym w średniowieczu w hrabstwie Wiltshire, sławnym z najwyższej — mierzącej sto dwadzieścia trzy metry — wieży katedralnej w Anglii”. To było szaleństwo, które wciąż się powtarzało — wielkie fragmenty niemające związku z kontekstem pojawiały się nagle w środku akapitu, całkowicie rujnując płynność mojego tekstu.

Kolejny kłopot polegał na tym, że autorzy piszący dla „Vanity Fair” powinni wieść styl życia rodem z czasopisma, spotykając się z „tymi, którzy pociągają za sznurki” i biorąc udział w „ważnych” przyjęciach. Pewnego razu poleciałam do Nowego Jorku i zatrzymałam się na trzy dni w Roy-alton, by wziąć udział w świętowaniu rocznicy „Vanity Fair”. Zabawa była świetna, ale ja czułam się nieco skonsternowana i zadawałam sobie pytanie, co ja tu robię? Jednak Graydon wierzył i nadal wierzy w wartość takich przyjęć i dowodzi słuszności swego przekonania, urządzając coroczną fetę po rozdaniu Oscarów, która jest zdecydowanie najmodniejszą imprezą w

Hollywood. Niestety, zbyt późno się zorientowałam, że zaproszenie Graydo— na było równoznaczne z wezwaniem do bezwzględnego zachowania dyscypliny. Zdenerwowałam go poważnie tylko raz — i to znacznie bardziej, niż wtedy, gdy spaprałam artykuł na pierwszą stronę, o czym później — gdy powiedziałam, że nie mogę wziąć udziału w kolacji na cześć lorda Snowdona, ponieważ na stepnego dnia rano mam wywiad z Michaelem Cainem i muszę położyć się wcześniej spać. Większość brytyjskich redaktorów naczelnych byłaby pod wrażeniem mojego poświęcenia, ale nie Graydon.

— Tylko przeprowadzasz z nim wywiad — warknął.

Nie chciałam mówić, że właśnie za to mi płaci. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że byłam mało zarozumiała, ale wywodziłam się ze starej tradycji Grub Street, według której pismaki są pariasami i wolą odgryźć sobie ręce, niż zadawać się z celebrytami.

Największa trudność podczas pracy dla „Vanity Fair” polegała na tym, że nikt z wielkich Hollywoodu, z którymi Graydon chciał mnie umówić, nie zgadzał się na spotkanie ze mną. Odczuwali zapewne (prawdopodobnie nie bezpodstawnie) brak zaufania do brytyjskich dziennikarzy, zwłaszcza takich, którzy mieli przydomek Demoniczna Barber, więc sporo czasu siedziałam z założonymi rękami. Niemal codziennie przychodziły do mnie wielkie paczki z „materiałem do przejrzenia” i książkami, „o których mogłabym pomyśleć”, ale nie pojawiały się okazje do wywiadu. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że nie mogłam pisać dla nikogo innego, więc stałam się nerwowa z powodu całego tego lenistwa. Powtarzałam sobie: „Wyluzuj,

ciesz się". Jednak im częściej to mówiłam, tym bardziej się denerwowałam. Nie umiałam być sybarytką i pogodzić się z tym, że dostaję mnóstwo pieniędzy za nic.

Wreszcie Graydon zadzwonił z informacją, że umówili mnie na wywiad z aktorem, Nickiem Nolte. To miał być artykuł na pierwszą stronę ze zdjęciami Annie Leibovitz. Wywiad został umówiony na piątkowy wieczór w domu Nolte w Malibu, więc poleciałam do Los Angeles, spędziłam kilka miłych dni na przygotowywaniu się nad basenem na półwyspie, po czym zawieziono mnie do domu aktora. Pamiętam, że to był bardzo ciemny dom, wyglądający dość złowrogo, niemniej sam Nolte wydawał się przyjazny. Gdy wyszłam od niego po około trzech godzinach, miałam wrażenie, że wywiad poszedł całkiem nieźle. Sprawdziłam taśmy — były w porządku — i szczęśliwa położyłam się spać, nie mogąc doczekać się spotkania z Annie Leibovitz następnego ranka.

Obudził mnie telefon od jednego z redaktorów „Vanity Fair”, dzwoniącego z Nowego Jorku z pytaniem:

— Co się stało?

Najwyraźniej rzeczniczka prasowa Nolte zadzwoniła w nocy do Graydona i odwołała sesję zdjęciową oraz zerwała wszelką współpracę z „Vanity Fair”, ponieważ bardzo zdenerwowałam Nolte. Co takiego? Przecież zachowywał się przyjaźnie, gdy wychodziłam. Do dziś nie wiem, co się stało. Graydon wysłuchał nagrania i też nie wiedział. Może nie byłam tak pełna szacunku, jak powinnam względem gwiazdy Hollywoodu, jednak w owym czasie Nolte nie wydawał się tym oburzony. Graydon zachował się hero-

icznie, mówiąc mi, żebym się nie winiła, ale to musiał być dla niego cios. Stracił temat na pierwszą stronę w ostatniej chwili i odwołał Annie Leibovitz. Oznaczało to również, że moja kariera dziennikarki w Hollywood była skończona, zanim się na dobre zaczęła — rzeczniczka prasowa Nolte, Pat Kingsley, w owych czasach miała kontrolę nad sprawami większości ważniejszych gwiazd i nie zamierzała już dopuścić mnie do którejkolwiek z nich. Graydon szlachetnie nie zerwał dwuletniego kontraktu, lecz oboje wiedzieliśmy, że nie mam przyszłości w „Vanity Fair”.

Prawdę powiedziawszy, po okresie rozbijania się limuzynami w „Vanity Fair”, byłam zadowolona z tego, że wróciłam do egzystencji przepracowanej i niedostatecznie opłacanej dziennikarki przy starej, brudnej Grub Street. Przez krótki czas pracowałam dla „Sunday Times”, co było okropne. Więcej radości dała mi praca w magazynie „Telegraph”, jednak z nikim nie związałam się na stałe, dopóki nie dołączyłam do zespołu „Observera” w 1996 roku. Panował tam wówczas lekki chaos, ponieważ w ciągu czterech lat aż cztery razy zmieniano redaktora naczelnego i po każdym pozostawał personel. Gdy kierownictwo objął Roger Alton, wreszcie zapanował porządek. To był najbardziej inspirujący i entuzjastyczny naczelny, z jakim kiedykolwiek pracowałam — kiedy odchodził w Boże Narodzenie 2007 roku, przez cały tydzień trwały przyjęcia pożegnalne, podczas których wszyscy pracownicy, łącznie ze mną, ze łzami w oczach składali mu podziękowania i bili brawo. Tacy redaktorzy naczelni zdarzają się rzadko — najczęściej podaje się przykład Kelvina MacKenziego z „Sun” i Harolda Evansa z „Sunday Times”. Czuję się zaszczycona, że pracowałam dla kogoś takiego. Następca Altona, John Mulholland, zapowiada się też bardzo obiecująco.

Od czasu dołączenia do «Observera» zdobyłam kolejne dwie brytyjskie nagrody prasowe. Byłam szczególnie zadowolona, gdy dostałam nagrodę w 2002 roku, co oznaczało, że zdobywałam nagrody w ciągu trzech dekad — a jeszcze lepiej, w dwóch tysiącleciach. Wiem, że chwalenie się nagrodami jest idiotyczne, ale uwielbiam je — nie bez znaczenia jest również to, że wykorzystuję je do zapewnienia swoich rodziców, że niekoniecznie zostanę następnego dnia wylana z pracy. (Nadal czekają na czarną godzinę i powtarzają mi, że zawsze mogę wrócić do stenografowania). Uwielbiam w mojej pracy w „Observerze” — oprócz drogich kolegów — wielką wolność w wyborze tematów, które obejmują całą plejadę postaci, od Kerry Katony po Gerry'ego Adamsa. Zawsze istnieje ryzyko, że dziennikarz zostanie obsadzony w roli zawodnika wagi lekkiej lub ciężkiej, ale mnie dość zręcznie udawało się balansować między tymi dwiema skrajnościami. Moim zdaniem cała radość i cel dziennikarstwa polegają na celebrowaniu ludzkiej różnorodności.

Przede wszystkim „Observer” dał mi szansę rozwijania mojego rodzaje się zainteresowania przeprowadzaniem wywiadów z artystami. Zawsze miałam wrażenie, że nie rozmawia się z nimi dość często, w porównaniu z aktorami. Trwało to do połowy lat dziewięćdziesiątych, czyli do powstania grupy Młodych Brytyjskich Artystów (YBA). Na szczęście dołączyłam do „Observera” w czasie, gdy już istniało to pokolenie przyciągających uwagę artystów, których liderami byli Damien Hirst i Tracey Emin, z radością spotykający się z dziennikarzami. Uwielbiam przeprowadzać wywiady z artystami, ponieważ mam wrażenie, że robię coś użytecznego. Próbuję odkryć taki sposób mówienia o sztuce, który nie jest zarówno bełko-

tem o teorii sztuki, jak i kołtuństwem w stylu „Daily Mail”. Przypomina mi to nieco początkowe pisanie dla „Penthouse'a” — jest tak wiele złych sposobów mówienia o sztuce, że jeśli uda się znaleźć ten dobry, człowiek ma wrażenie, iż wreszcie wyłożył kamieniami drogę przez grzędawisko, po której mogą przejść następni. Inna korzyść polega na tym, że niektórzy artyści, z którymi rozmawiałam, zostali moimi dobrymi przyjaciółmi, ożywając tym samym moje życie towarzyskie. Wyjazd do Wenecji z Trący Emin na tamtejsze biennale był najwspanialszym wydarzeniem w moim życiu, chociaż weekend w Suffolk z Sarah Lucas plasuje się tuż za nim. Byłam zachwycona, gdy poproszono mnie, bym w 2006 roku została członkiem jury w komisji przyznającej Nagrodę Turnera — to coś, czym lubię się chwalić, podobnie jak pięcioma nagrodami prasowymi. Nie jestem znawczynią sztuki bardziej, niż byłam znawczynią erotyki lub wiktoriańskiej historii naturalnej, lecz z radością wykorzystuję wszelkie okazje do wykazania się wiedzą, jakie tylko napotkam na swej drodze.

Katastrofa

Oto gdzie się znalazłam około 2000 roku. Byłam osobą po pięćdziesiątce, dość pewną siebie, raczej szczęśliwą, prawdę powiedziawszy, zadowoloną ze swoich dokonań. Kochałam swoją pracę i swoje życie. Stworzyliśmy rodzinę, mieliśmy duży dom w Highgate i spłaciliśmy kredyt, córki były na uniwersytecie. Moi rodzice, którzy dawno już przeszli na emeryturę, mieszkali w pięknej wiosce Ebbesborne Wake w hrabstwie Wiltshire, gdzie radzili sobie sami, mimo że tata był niewidomy, a mama cierpiała na artretyzm. Matka Davida umarła, a ojciec sprzedał Little Ha— seley, przeniósł się do Oksfordu i też nieźle sobie radził. David — w tym czasie rozczarowany politechniką, która przeniosła się do Harrow i zmieniła nazwę na University of Westminster — mógł sobie pozwolić na wcześniejsze odejście na emeryturę i powrót do malarstwa. Wynajął pracownię w starej fabryce w Hackney. Każdego ranka machałam do niego po śniadaniu na pożegnanie i szłam do swojego studia do pracy. Osiągnęliśmy to, o czym marzyliśmy przed wielu laty w Stockwell — David malował, ja pisałam, nie mieliśmy zmartwień finansowych i mogliśmy wieść życie takie, jakie chcieliśmy. Miałam wrażenie, że nam się powiodło.

Początek końca przyszedł latem 2001 roku, gdy przebywaliśmy u przyjaciela w Gloucestershire. David obudził się w nocy i stwierdził, że nie może zrobić siusiu. To był objaw, którego zawsze się bał i o którym miał hipochondryczno— encyklopedyczną wiedzę. Wierzył, że to pierwszy objaw raka prostaty. Zawiozłam go do szpitala Cheltenham. David był z bólu, a ja rozjeżdżałam lisy, zające, szczury i gronostaje, gdy pędziłam przez rozjaśnione światłem księżyca wzgórze Cheltenham. W izbie przyjęć krzyczeli i rozrabiali zalani krwią mężczyźni, podczas gdy pielęgniarka zapytała Davida o objawy i zapisała: „zatrzymanie moczu”. Obejrzała go wykończona lekarka stażystka, która między ziewnięciami potwierdziła, że David ma powiększoną prostatę, ale to nie oznacza, że ma raka. Powiedziała, że wielu panów po pięćdziesiątce ma powiększoną prostatę — można to spokojnie leczyć. Założyła Davidowi cewnik, opróżniła pęcherz, dała tabletki i kazała skontaktować się w poniedziałek z jego lekarzem prowadzącym.

Ten zapisał lekarstwa, które rozwiązały problem do tego stopnia, że David niemal przestał się martwić. Jedynym przypomnieniem o kłopotach było to, że co trzy miesiące musiał chodzić na pobranie krwi, by badać poziom PSA. 16 października 2002 roku poszedł na regularne badanie krwi w szpitalu Whittington — i został wezwany na kolejne badanie, potem na następne. Oczekiwaliśmy złych wieści dotyczących jego prostaty. Jednak gdy David wrócił po spotkaniu z hematologiem 25 października, wiadomość była tak zła, że nie potrafiliśmy jej pojąć. Lekarze sądzili, że David ma przewlekłą białaczkę limfatyczną. W celu potwierdzenia diagnozy miał przejść badanie szpiku kostnego i śledzony. Na pocieszenie usłyszał, że może przeżyć jeszcze dziesięć lat.

Dziesięć lat! David miał pięćdziesiąt osiem lat. Żadne z nas nigdy nie wątpiło, że dożyje dziewięćdziesiątki, jak jego ojciec. Nie palił, prawie nie pił alkoholu, dużo ćwiczył i wyglądał nieprawdopodobnie młodo. Niekiedy wyobrażałam sobie swoją śmierć — David zawsze siedział przy moim łóżku i trzymał mnie za rękę. Teraz, po raz pierwszy, pomyślałam o tym, że mogłabym przeżyć Davida, że któregoś dnia mogę zostać wdową. Dziesięć lat. Jak mam to sobie wyobrazić? I jak mam postępować w tym czasie? Czy nagle powinnam stać się czułą żoną u boku męża, zaspokajającą każdą jego zachciankę? Może dałabym radę przez dziesięć dni, ale nie dziesięć lat. Poza tym to doprowadziłoby go do wściekłości, nie mówiąc o mnie.

Zapytałam ostrożnie, mając nadzieję na odmowną odpowiedź:

— Może powinnam zrezygnować z pracy, żebyśmy mogli pojechać do Indii, Australii i wszystkich tych miejsc, w których nigdy nie byłeś?

Zaśmiał się i stwierdził:

— Już nigdy więcej nie chcę jeździć za granicę. Nienawidzę tego.

To był taki sam szok, jak owe dziesięć lat. Myślałam, że zawsze uwielbiał zagranicę — przez cały czas trwania naszego małżeństwa miałam poczucie winy, że moja praca wiąże się z wyjazdami zagranicznymi, a jego nie. I co roku rezerwowałam zagraniczne wakacje — niechętnie — bo myślałam, że to jest niesprawiedliwe, że w moim paszporcie są te wszystkie stemple, a w jego nie.

—Od kiedy to nienawidzisz zagranicy?

—Od lat — odparł swobodnie.

Byłam tak wściekła, jakby mi powiedział, że od lat miał romans. Być może na tym polega problem długoletnich małżeństw — człowiek wyraża swoje opinie i upodobania na początku, a potem zapomina wspomnieć o zaszłych zmianach.

— Ty możesz jechać — stwierdził. — Nie będę cię zatrzymywał.

— Ale ja nie chcę jeździć za granicę!

— Nieprawda, lubisz to.

— Nie, nie znoszę.

— Jednak zawsze jedziesz.

— I zawsze tego nie znoszę.

Tak więc moja pierwsza próba w roli poświęcającej się żony w ciągu kilku minut przekształciła się w awanturę i pomyślałam: „Do diabła z tym. Nie będę znowu próbować”. Tak było dobrze, bo przynajmniej dalej mogliśmy żyć normalnie, a dodatkową korzyścią było to, że dowiedzieliśmy się czegoś, czego z niewiadomych powodów nie mówiliśmy przez lata — że żadne z nas nie lubiło jeździć za granicę. David powiedział, że wiosną pojedziemy do Kornwalii, jak zawsze, potem jak zwykle odwiedzimy przyjaciół w Norfolk, Yorkshire, Szkocji i Peak District, a na główne wakacje nie pojedziemy za granicę, tylko wynajmiemy duży dom nad jeziorem i zaprosimy przyjaciół.

Wiele godzin spędziłam w Internecie, rzekomo szukając domów w Krajinie Jezior, podczas gdy tak naprawdę czytałam dziesiątki stron poświęco-

nych białaczce. Prawie żadna nie informowała o tym, jak długo można z nią żyć, zaś te, na których o tym pisano, mówiły raczej o pięciu niż dziesięciu latach. Cieszyłam się, że David nigdy nie opanował obsługi Internetu. Tymczasem Rosie drukowała bardziej podnoszące na duchu strony — zauważyłam, że dbała o usuwanie wszelkich złych treści.

David był umówiony na spotkanie z najlepszym hematologiem. Uzbrojona w wiedzę z Internetu poprosiłam go, żeby się dowiedział, czy ma białaczkę kosmatokomórkową, czy innego rodzaju. Wrócił z informacją, że w ogóle nie ma białaczki tylko zwłóknienie szpiku kostnego.

— Och, to dobra wiadomość — stwierdziłam.

Lepiej mieć coś, o czym nigdy się nie słyszało, niż coś, o czym wiadomo, że zabija. David zgodził się, że to dobre wieści, więc obdzwoniliśmy wszystkich przyjaciół i powiedzieliśmy:

— Dobre wieści! Okazało się, że to nie jest białaczka.

A raczej to ja obdzwoniłam wszystkich przyjaciół. David od samego początku uważał, że robię źle, mówiąc ludziom o jego chorobie. Gdyby mógł, ukrywałby ją przed wszystkimi, nawet naszymi córkami. To zawsze było kością niezgody między nami — jego zwyczaj trzymania wszystkiego w tajemnicy i mój informowania o wszystkim. Nie rozumiał, dlaczego muszę wygadywać się przed przyjaciółmi; ja nie rozumiałam, dlaczego musi zachowywać tajemnicę. Uważał, że jestem papłą; ja miałam go za paranoika. Mówiłam mu, że lubię rozmawiać z przyjaciółmi i że rozmowa nie ma sensu, jeśli nie będę im nic mówiła. Przeprowadzając wywiady z ludźmi,

zaobserwowałam, jak często mówili, że każdy ma jakąś tajemnicę. Ja nie skrywałam nawet najmniejszej tajemnicy na swój temat, nie dlatego, że wiedziałam takie cnotliwe życie— ale dlatego, że nie potrafiłam utrzymać niczego w sekrecie dłużej niż dziesięć minut. Sądzę, że skrywanie tajemnic jest obciążeniem, niemal chorobą. To psuje związki z ludźmi, oznacza, że przez cały czas żyje się w strachu przed tym, że zostanie się obnażonym. Uznałam, że zwyczaj Davida trzymania wszystkiego w tajemnicy był typowy dla mężczyzn, zaś moje paplanie było charakterystyczne dla kobiet — nie chodziło o to, że on się mylił, a ja miałam rację, ale o różne temperamenty. Byłam całkowicie pewna, że poinformowanie przyjaciół o jego chorobie będzie słuszne, dlatego powiedziałam o tym wszystkim, zanim zdołał mnie powstrzymać. Wszystkim, z wyjątkiem jego rodziny — akceptowałam fakt, że to David wybierze chwilę, którą uzna za stosowną, by poinformować braci i ojca.

Tym, co czyniło ów okres dziwnym, było to, że David mimo śmiertelnej choroby nie miał żadnych widocznych objawów — wyglądał na idealnie zdrowego do dnia, w którym trafił do szpitala. Jedynym konkretnym objawem, który lekarz był w stanie wskazać, była powiększona śledziona. Gdy doktor pokazał mi, gdzie znajduje się śledziona, David przyznał, że czuje w tym miejscu wybrzuszenie i że czasami okolica talii jest napięta. Z biegiem miesięcy wybrzuszenie powiększało się i niekiedy widziałam, jak uwypukla się koszula. Innym, słabym objawem była pojawiająca się od czasu do czasu czerwona wysypka na policzkach, zdaniem lekarza „nieistotna”. Miała jednak znaczenie dla Davida — nienawidził, gdy coś psuło jego wygląd.

Pod pewnym względem jednak były jakieś objawy — od dwóch lub trzech lat obserwowałam, że David się starzeje. Nie w sposób dramatyczny, nie wyglądał na człowieka przed sześćdziesiątką, ale już nie tak młodo, jak dawniej. Pojawiło się kilka zmarszczek na policzkach, plamy wątrobowe na dłoniach, słabiutkie zaczątki przerzedzania się gęstych, ciemnych włosów na czubku głowy, obwisła skóra na szyi. Wytykałam mu to z pewną radością — chciałam, by się choć troszkę zestarzał. Powtarzałam, że nie przeszkadza mi to, że ludzie uważają go za mojego młodego kochanka, niemniej nie znosiłam, gdy brali go za mojego syna. Byłam starsza od Davida zaledwie o dziesięć dni, lecz krótko po czterdziestce stałam się panią w średnim wieku, podczas gdy on nie wyglądał na swoje lata. Przez ostatnie dwa lub trzy lata doganiał mnie — i to szybko. Nie chodziło tylko o łysinę czy plamy na dłoniach, ale o zmęczenie — to, z jakim trudem dźwigał się z kanapy, jak czasami opierał łokcie na stole i podtrzymywał rękami głowę, jakby była za ciężka. Dostrzegłam też, że starzeje się pod innymi względami — nie znosił popu, gderał na temat osób używających telefonów komórkowych w pociągach. Niekiedy myślałam: „Nadal wyglądasz tak młodo, ale mentalnie jesteś starszy ode mnie”.

Rzecz jasna, czytałam o zwłóknieniu szpiku w Internecie i dowiedziałam się, że jest to postępujące twardnienie szpiku, lecz jak w przypadku białaczki, niewiele pisano o tym, jak długo można z nim żyć — na jednej ze stron wspomniano o czterech latach. Na innych pisano o pięciu, maksymalnie dziesięciu latach. Podczas gdy nasi przyjaciele gratulowali Davidowi, że to nie białaczka, ja zaczęłam myśleć, że być może zwłóknienie szpiku jest gorsze.

David poszedł na spotkanie z ordynatorem hematologii w szpitalu Whittington. Ordynator powiedział mu, że jedynym lekarstwem na zwłóknienie jest przeszczep szpiku, lecz górna granica wieku pacjentów do przeszczepu wynosi pięćdziesiąt pięć lat. Niemniej zobowiązał się, że wspomni o Davidzie doktorowi MacKinnonowi, szefowi oddziału transplantacji szpiku w University College Hospital (UCH). Od tej chwili doktor MacKinnon stał się naszym bogiem — to od jego decyzji zależało życie Davida. David wrócił ze spotkania z nim z dobrą i złą wiadomością. Dobra była taka, że doktor zgodził się na przeszczep, mimo że David przekroczył granicę wiekową, pod warunkiem że uda się znaleźć dawcę. Lecz ryzyko śmierci było dość wysokie — dziesięć procent, jeśli dawcą jest rodzeństwo i trzydzieści procent, jeśli jest to ktoś obcy. Zła wiadomość była taka, że bez przeszczepu David miał przed sobą tylko „dwa dobre lata” życia. Co więcej, przeszczep powinien być wykonany jak najszybciej, bo w przeciwnym razie zwłóknienie będzie zbyt zaawansowane, by transplantacja coś dała. Od tego czasu sporo myślałam o tych dwóch dobrych latach. Żałowałam, że nie zapytałam, czy będą dwa dobre lata, potem dwa znośne i dwa lub trzy niezbyt dobre. Jak długo mógłby żyć? David nie zadawał takich pytań — całkowicie ufał MacKinnonowi. Będzie miał przeszczep. Zostanie wyleczony. Hurra!

Na decyzję doktora MacKinnona wpłynął fakt, że David miał dwóch braci, z których każdy mógł być dawcą. Doktor stwierdził, że bracia będą musieli przyjechać do UCH na kompleksowe badania, lecz proces przekazania szpiku był dość łatwy. Wyobrażałam sobie, że wiąże się to z wycięciem fragmentu kości z kończyny i przeszczepieniem go w jakiś sposób w

kość Davida. Okazało się jednak, że wystarczy wbić igłę w ramię, podobnie jak w przypadku oddawania krwi. Charles, starszy brat Davida, przebywał w Papui Nowej Gwinei. Był w odwiedzinach u syna, który odbywał tam służbę jako wolontariusz, lecz Luke, młodszy brat, mieszkał przy tej samej ulicy. Gdyby choroba dotyczyła mnie, pobiegłabym do domu Luke'a, gdy tylko wyszłabym ze szpitala, ale David czekał kilka dni, zanim poszedł się z nim spotkać. Zastanawiałam się, skąd u Davida taka niechęć; powiedział mi, że bym go nie nagabywała.

W tym czasie przeczytaliśmy pewną książkę. Był to poważny, oprawiony w plastik podręcznik zatytułowany *Your bone — marrow transplant* (Transplantacja szpiku kostnego) i przykład niezwyklej przejrzystości — gdy czytałam tekst, bardzo brakowało mi jakiegoś zaciemnienia sprawy! David był wstrząśnięty, gdy przeczytał ją po raz pierwszy. Ja nigdy nie mogłam do niej wrócić — otwierałam książkę na przypadkowej stronie i odkładałam ją, gdyż robiło mi się słabo. Była tam lista wszystkich leków, które David będzie musiał przyjąć i ich strasznych efektów ubocznych — nudności, wypadanie włosów, pokrzywki, afty, biegunka, osłabienie. W zasadzie musiał poddać się kuracji wykorzystującej toksyczne lekarstwa, które zniszczą jego układ odpornościowy, zanim można będzie wprowadzić szpik kostny dawcy i nastąpi jeden bardzo niebezpieczny tydzień, kiedy jego odporność będzie zerowa.

Luke poszedł na badania, gdy tylko David go poinformował, lecz na wyniki czekaliśmy dwa tygodnie. W piątek wieczorem zadzwonili do nas z UCH z informacją, że mają wyniki. Pytali o numer telefonu Luke'a, bo

chcieli mu je przekazać. Przez cały dzień był na planie (pracował jako operator kamery) i miał wyłączoną komórkę. Błagałam, żeby podali nam wyniki. Protokół jednak wymagał, by najpierw poinformować dawcę. To było okrutne. Nie udało się skontaktować z Lukiem w piątek, więc cały weekend spędziliśmy w niepewności. A raczej to ja spędziłam go w niepewności, podczas gdy David był bardzo spokojny.

— Nie chcesz wiedzieć? — wściekałam się. — Czy będziesz żył, czy umrzesz? Ja byłabym choć trochę ciekawa! Jak możesz udawać taką głupią obojętność?

Sądzę, że nie była to obojętność, tylko pesymizm. David spodziewał się złych wieści, jak zawsze, i chciał kolejnych dwóch dni nadziei.

W poniedziałek poznaliśmy wyniki — Luke okazał się doskonałym dawcą, można było przystąpić do procedury transplantacji szpiku. Lecz chcieli także zbadać Charlesa, by mieć „zabezpieczenie”. To oznaczało kolejne dwa tygodnie oczekiwania na to, aż Charles wróci z Papui Nowej Gwinei. David znowu wydawał się zadowolony, podczas gdy ja chodziłam po ścianach ze zniecierpliwienia. Dlaczego musieli angażować Charlesa? Może nie zechce zostać dawcą — był cukrzykiem i miał własne problemy zdrowotne, a poza tym mieszkał w Hampshire, więc przyjazd do UCH był dla niego uciążliwy. Gdy wreszcie wrócił do Anglii i David mu powiedział, zgodził się i pobiegł do UCH na badania. Okazało się, że jest jeszcze lepszym dawcą niż Luke. Tak więc to Charles miał zostać pierwszym dawcą, a Luke „zabezpieczeniem”, cokolwiek to oznaczało.

Dopiero w tym momencie David powiedział ze śmiechem:

— A więc oni rzeczywiście są moimi braćmi!

Byłam zbyt zaszokowana, żeby się odezwać. Byliśmy małżeństwem od ponad trzydziestu lat, a ja dopiero teraz się dowiadywałam, że David zawsze myślał to, co ja — że być może nie jest synem swego ojca. To dość uzasadnione podejrzenie, ponieważ David miał ciemną karnację i żydowski wygląd, jak matka, podczas gdy jego bracia byli blondynami i wyglądali na Anglików, jak ich ojciec. David urodził się w 1944 roku, gdy jego ojciec walczył na wojnie, więc Leonora mogła zaszaleć podczas jego nieobecności. Pamiętam, że gdy po raz pierwszy spotkałam rodzinę Davida, zastanawiałam się, czy ośmielę się wspomnieć mu o tym podejrzeniu. Nigdy tego nie zrobiłam, a potem o wszystkim zapomniałam do czasu, gdy kwestia umiarkowanego zainteresowania historią rodziny stała się nagle palącą w obliczu badań szpiku kostnego. Najwyraźniej David martwił się tym przez cały czas — to dlatego tak zwlekał z poproszeniem Luke'a o poddanie się badaniom.

Jak wiele się dowiadywałam po trzydziestu latach małżeństwa! Teraz wiedziałam, że mój mąż nienawidził zagranicy i przez całe życie podejrzewał, że nie był synem swojego ojca. Zawsze uważałam, że nie da się do końca poznać innych ludzi, ale źle się czułam z tym, że nie wiedziałam takich rzeczy o własnym mężu. On jednak głęboko ukrywał emocje związane z jego rodziną, których nigdy nie rozumiałam — pokłady z czasów dzieciństwa, które leżały niemal niewzruszone przez cały okres naszego małżeństwa nagle się poruszyły i na powierzchni pojawiły się bąble. Dlaczego tak niechętnie podchodził do powiedzenia ojcu o swojej chorobie? Twierdził,

że nie chce martwić Maurice'a, ale czasami zastanawiałam się, czy nie obawiał się, że Maurice nie zmartwi się wystarczająco. Odkładał poinformowanie ojca z miesiąca na miesiąc i pytał, po co miałby mu mówić? Zastanawiałam się, dlaczego miałby nie mówić. Przecież w końcu i tak się dowie. David nie mógł zniknąć na wiele tygodni (w szpitalu mówiono o minimum sześciu) niepostrzeżenie dla swojego ojca.

Od śmierci matki David odwiedzał Maurice'a w Oksfordzie raz na dwa tygodnie. Szli razem na lunch i odwiedzali kościoły lub spacerowali w Chilterns. Od czasu do czasu z nim jeździłam, ale zdawało się, że David wolał robić to sam. Z upływem tygodni odnosiłam coraz silniejsze wrażenie, że wracał z tych wizyt z coraz większym poczuciem żalu — narzekał, że Maurice był całkowicie zajęty sobą i mówił wyłącznie o własnych bólach, osłabionym kolanie, bólu zębów. Wyglądało na to, że David uważał, iż Maurice powinien się domyślić choroby syna. Lecz niby skąd miał wiedzieć, jeśli David nic mu nie mówił? Ponaglałam go, by powiedział ojcu, jednak twierdził, że lepiej będzie go poinformować, gdy już będziemy znali datę przeszczepu i gdy wszystkie niepewne kwestie zostaną wyjaśnione. Powiedział mi też, że nie mam prawa w to ingerować — to jego choroba i jego ojciec. Tak więc spędziliśmy niełatwe święta Bożego Narodzenia, w czasie których wszyscy, nawet nastoletnie dzieci Luke'a, wiedzieli o Davidzie, i tylko Maurice żył w niewiedzy, więc nadal mówił o swoim słabym kolanie oraz bólu zębów. David zarzucał mi, że wywracałam oczami podczas kolacji. Może i tak.

Kilka dni później, gdy spędzaliśmy Nowy Rok u przyjaciół w Yorkshire, zadzwonili rodzice, by mi powiedzieć, że ich dom został zalany po raz drugi tej zimy. Pojechałam do Wiltshire zabrać ich, a potem z powrotem do Londynu. Tak bardzo znudziło mnie ich gadanie o powodzi, że warknęłam:

— Posłuchajcie, mam wam coś ważnego do powiedzenia. Mamo, załóż aparat słuchowy. Powiedziałam, żebyś założyła aparat słuchowy! David jest bardzo poważnie chory. Będzie miał przeszczep szpiku. Istnieje dziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że to go zabije.

To ich zamknęło i spędziliśmy resztę drogi w ciszy. Byłam zadowolona z siebie.

Kara przyszła kilka dni później, gdy ojciec oznajmił, że z uwagi na chorobę Davida, postanowili z mamą sprzedać dom na wsi. (Nie szukajcie tu żadnego związku — jesteśmy na terytorium Dicka Barbera). Zamierzał natychmiast zadzwonić do agenta nieruchomości i wystawić dom na sprzedaż. To było w styczniu, gdy w domu nadal stała woda do kostek, przy drzwiach leżały worki z piaskiem, a wszystko wyglądało tak źle, że gorzej już być nie mogło. Prosiłam o cierpliwość — czy nie mógł poczekać kilka miesięcy, do czasu gdy woda się cofnie, zakwitną wiosenne kwiaty i jabłonie, i domek znowu będzie wyglądał pięknie? Nie, nie, to trzeba zrobić teraz. Szalona niecierpliwość mojego ojca była dokładnym przeciwieństwem szalonej cierpliwości Davida. Obaj doprowadzali mnie do obłędu. Próbowалаm wywołać w ojcu litość.

— Tato, mam dość swoich problemów. Czy nie możesz poczekać do czasu, gdy załatwimy sprawy Davida?

— Nie, nie, nie mogę zwlekać.

W ciągu tygodnia ojciec sprzedał dom przygodnemu przedsiębiorcy budowlanemu za pięćdziesiąt tysięcy funtów, czyli kwotę niższą od wartości, jaką oszacował agent nieruchomości.

Oczywiście nie zastanowił się nad tym, gdzie będą mieszkać. Stwierdził beztrąsko:

— Wynajmiemy coś. Albo zatrzymamy się w hotelu.

— W Londynie? — zadrżałam.

—Boże ucho! Nie w Londynie — ryknął. — Nie moglibyśmy mieszkać w takim hałasie. — Wykrzyczał to zwykłym głosem jak na statku w czasie sztormu, po czym huknął do mojej matki: — Powiedziałem, że nie moglibyśmy mieszkać w Londynie z powodu hałasu!

—Ależ oczywiście — zapiszczała. — Cały ten ruch!

Tak naprawdę mogliby mieszkać przy Spaghetti Junction*¹⁹ a i tak nic by nie słyszeli, niemniej w porządku, Londyn był zbyt hałaśliwy — pozbyłam się kłopotu. Teraz musiałam tylko znaleźć im jakieś lokum do wynajęcia. Poszperałam w Internecie i podzwoniłam po agencjach nieruchomości, ale dowiedziałam się, że właściciele nie są chętni wynająć dom parze ludzi przed dziesięćdziesiątką, z których jedno jest niewidome, a drugie ma ar-

¹⁹ * Jedno z największych skupisk obwodnic i autostrad, znajdujące się w Birmingham (przyp. tłum.).

tretym. W tym czasie ich sprzątaczką znalazła im elegancki, nowo wybudowany dom w Nunton niedaleko Salisbury i, zanim mi o tym powiedzieli, podpisali umowę i zorganizowali przeprowadzkę.

David pojechał pomóc w przeprowadzce i zaszlochał, gdy odjeżdżali z Ebbesborne Wake — uwielbiał to miejsce. Rodzice nawet się za siebie nie obejrżeli. Mieszkali tam przez dwadzieścia lat, ale pozbyli się przeszłości i ruszali ku przyszłości. Kilka miesięcy później z dumą pokazali mi reklamę domu w agencji nieruchomości — teraz nie był to dom wiejski, tylko domek letniskowy otoczony morzem żwirku. Nie było tam śladu omszałych drzew ani róż, które rosły poza rabatką. Trawnik, na którym co roku liczyłam szachownice, został wyłożony płytami chodnikowymi.

— Całkiem ładnie to urządzili — powiedzieli z dumą rodzice.

Bez zapowiedzi doszło do kolejnej tragedii — zmarł nasz drogi przyjaciel, Richard. Jego partner, Hugh, znalazł go martwego w łóżku, gdy zaniósł mu poranną herbatę. Hugh zadzwonił do mnie zrozpaczony. Pojawiłam się pod drzwiami jego domu w Hampstead razem z policją — najwyraźniej muszą badać każdy przypadek nagłej śmierci. Byli uprzejmi, ale nagle zrozumiałam, dlaczego zalegalizowanie związków homoseksualnych jest konieczne — wszystkie pytania były kierowane do mnie, jakby Hugh nie istniał. Powiedziałam:

— Ale to Hugh mieszkał z Richardem, to on żył z nim od dwudziestu pięciu lat.

Mimo to każde pytanie nadal było kierowane do mnie. Kiedy Richard był po raz ostatni u lekarza? Czy uskarżał się na jakieś dolegliwości? Pytałam Hugh, po czym przekazywałam im jego odpowiedzi. Policja upierała się, byśmy zadzwonili do brata Richarda, aby spytać, co mają zrobić z ciałem po autopsji. Brat Richarda zapytał, czego sobie życzy Hugh. Według policji Hugh nie miał nic do powiedzenia.

Zabrali ciało Richarda szarą, nieoznakowaną furgonetką. Sekcja wykazała to, czego się spodziewaliśmy — Richard miał atak serca. Został pochowany w piękny wiosenny dzień na przykościelnym cmentarzu we wsi swojego brata w Sussex. Ubierając się na pogrzeb, David odkrył, że nie może zapiąć marynarki od najlepszego garnituru z powodu powiększonej śledziony. Podczas nabożeństwa powiedział spokojnie:

— Podoba mi się tradycyjny pogrzeb w kościele, z tymi wszystkimi starymi pieśniami.

Skinęłam głową i zgodziłam się z nim.

Krótko potem poszliśmy do notariusza i sporządziliśmy testamenty, zostawiając wszystko sobie nawzajem. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy o zrobieniu czegoś takiego. W jakiś sposób śmierć Richarda sprawiła, że mogliśmy podjąć tematy tabu — testamentu, pogrzebu — i pomyślałam, że spośród wszystkich przysług, jakie Richard nam wyświadczył, największa była po jego śmierci. David, Rosie, Theo i ja płakaliśmy na jego pogrzebie i rozmawialiśmy o tym, które pieśni i czytania nam się podobają. Mimo że byliśmy ateistami, uznaliśmy, że pogrzeb kościelny jest najlepszy.

Wreszcie wszystkie badania zostały przeprowadzone i szpital wyznaczył Davidowi datę usunięcia śledziony — najwyraźniej to było ważne. Śledziona mogłaby produkować konkurencyjne płytki krwi, które zaszkodziłyby przeszczepowi. Potem miał sześć do ośmiu tygodni na dojście do siebie, zanim pójdzie do UCH. Ustaliliśmy, że na Wielkanoc pojedziemy do Kornwalii, a potem do Krainy Jezior, tuż przed wycięciem śledziony, aby w czasie długich spacerów David wyrobił sobie jak najlepszą kondycję. Wreszcie powiedział ojcu, który, jak należało się spodziewać, czuł się dotknięty tym, że David nie poinformował go wcześniej. Zapytał o operację, po czym wrócił do narzekania na słabe kolano i bolące zęby.

Na kilka tygodni przed Wielkanocą David poszedł na regularne badanie prostaty — i dowiedział się, że ma raka. Jego wyniki poszły o kilka oczek do góry na skali i przekroczyły punkt, w którym przestaje się mówić o powiększonej prostaty, a zaczyna się mówić o raku. Jeśli wyniki znowu się pogorszą, będzie to oznaczało, że rak stał się agresywny i może pęknąć. Czy w tej sytuacji można zrobić przeszczep? Przecież uczyniono wyjątek, godząc się na leczenie go, chociaż przekroczył granicę wiekową; to będzie jeszcze większy wyjątek, jeśli otrzyma zgodę na leczenie mimo raka. Wielki bóg MacKinnon skierował Davida do nowych lekarzy w Royal Free, którzy zdecydują, co robić w związku z rakiem.

Tak więc pojechaliśmy na święta do Kornwalii z wielkim poczuciem niepewności. Jeśli będą leczyć prostatę — nawet przy pełnym sukcesie — będzie pewnie za późno na przeszczep. A jeśli zrobią przeszczep, to zostawią raka, który będzie rósł niekontrolowanie przez cały czas potrzebny na

przyjęcie się szpiku. Po raz pierwszy wpadłam w rozpacz. Myślałam, że David pójdzie do szpitala i wyjdzie z niego raz na zawsze — dlaczego nie mielibyśmy powiedzieć: „Do diabła z kuracją, zdecydujmy się na dwa dobre lata”? Gdy bardzo ostrożnie napomknęłam o tym pomysle, David wydawał się tak zdenerwowany, że nie zrobiłam tego już nigdy więcej.

Lecz mimo niepewności w owe wakacje zbliżyliśmy się do siebie najbardziej od lat — miałam wrażenie, jakbyśmy wrócili do pierwszych, najszczęśliwszych dni naszego małżeństwa i rodzicielstwa. Chodziliśmy po tych samych ścieżkach nad klifami, podziwialiśmy te same, dzikie kwiaty i wspominaliśmy nasze pierwsze wakacje w Kornwalii, gdy Rosie i Theo były dziećmi. Jacy byliśmy energiczni! Nie wahaliśmy się przed przejściem z Coverack do Cadgwith przez wielkie klify Black Head z Rosie na ramionach Davida i Theo w chuście na moim brzuchu. Tak bardzo cieszyliśmy się z pobytu w Kornwalii, urzeczeni klifami i widokami. Byliśmy bardzo biedni i bardzo szczęśliwi. Pręt, który wszczepiono mi kilka lat później, gdy zachorowałam na dyskopatię, oznaczał, że nie będę więcej uprawiać długich pieszych wędrówek. Potem, gdy wróciłam do pracy i stać nas było na bardziej luksusowe wakacje za granicą, w willach z basenami i służbą, to chociaż były one przyjemne, już nigdy nie byliśmy tak skonsolidowaną rodziną.

Wielkanoc w Kornwalii dała nam okazję potrzebną do tego, byśmy przypomnieli sobie, dlaczego się w sobie zakochaliśmy. Nasze małżeństwo przypominało zaniedbaną działkę, której nikt od dawna nie pielęgnował. W Kornwalii powróciliśmy do pierwszych naszych wspólnych dni, delektując się

swoją wiedzą (David znał się na kwiatach, a ja na ptakach), śmiejąc się z naszych lęków (David miał lęk wysokości, ja bałam się krów), trzymając się za ręce. Pomyślałam, że właśnie tak nasze małżeństwo powinno wyglądać od tej chwili. Może mogłabym nawet zrezygnować z pracy i przeprowadzilibyśmy się do Kornwalii? David zaśmiał się, gdy mu o tym powiedziałam:

— Umarłabyś z nudów po kilku dniach!

Jednak wydawał się zadowolony, że to zaproponowałam. Przez cały czas, w tle, podczas późnych godzin nocnych, leżąc w łóżku, przeprowadzaliśmy w tajemnicy kalkulacje — rak, przeszczep, przeszczep, rak — jak długo, o Boże, jak długo?

Po Kornwalii nastąpiło mnóstwo wizyt w szpitalu — badania raka prostaty, badania śledziony, badania krwi, jednego dnia dobre wieści, drugiego dnia złe, zupełnie nowa grupa lekarzy w Royal Free obok transplantologów z UCH, oddział wewnętrzny w Middlesex i oddział hematologii w Whittington. David nigdy nie zrezygnował z chodzenia do swojej pracowni, ale nie było dnia, by nie miał wizyty w szpitalu. Czasami mówił: „Nie zniosę kolejnej biopsji” lub „Nie chcę brać tabletek, po których będę gruby” — zastanawiałam się, czy zdawał sobie sprawę z tego, jak długim i nieprzyjemnym procesem jest przeszczep. W końcu onkolodzy z Royal Free i transplantolodzy z UCH postanowili wspólnie, że najpierw zostanie wykonany przeszczep, a rakiem prostaty będziemy martwić się później. Twierdzili, że istniała szansa, iż przeszczep powstrzyma raka.

Wreszcie ustalono daty — usunięcie śledziony w maju, przeszczep w lipcu — które dały nam iluzję pewności jego przyszłego życia.

18 maja zawiozłam go do szpitala w Middlesex na usunięcie śledziony. Nigdy wcześniej nie spędził nocy w szpitalu i był przerażony brakiem prywatności, tym, że będzie musiał rozmawiać z nieznajomymi tylko dlatego, że leżą na łóżkach obok. Zabroniłam mu zachowywać się jak sztywny uczeń z Eton i, oczywiście, polubił swoich sąsiadów. Chociaż był w szoku, że nie czytają. On zatracił się w lekturze Saint— Simona, oni nie potrafili przebrnąć przez „Sun”.

Operacja się udała i zostawiła ślad w postaci zaledwie pięciocentymetrowej blizny, mimo że śledziona Davida była tak ogromna, iż chirurg zalał ją formaliną i zrobił z niej eksponat. Moje urodziny wypadły na dzień po operacji i myślałam, że David o tym zapomni. Okazało się, że zrobił dla mnie piękne szkice małych, abstrakcyjnych obrazów — to był najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek mi dał, nad którym musiał pracować wiele miesięcy. Wrócił do domu na czas swoich urodzin, wypadających dziesięć dni po moich. Uczciliśmy je homarami i szampanem. David był nieco zmęczony i trochę szczuplejszy — stracił w szpitalu trzy kilogramy — ale wyglądał dobrze. Jedyna zła wiadomość była taka, że poziom płytek krwi był bardzo wysoki i David musiał robić sobie zastrzyki przeciwzakrzepowe. Mówiono o takiej możliwości, ale i tak było to przerażające. Musiał nauczyć się używać strzykawki, która przypomniała, że nadal dzieje się coś tajemniczego i paskudnego.

Powiedziano mi, że przez dwa miesiące między usunięciem śledziony i przeszczepem, trzeba odbudować siły i przybrać na wadze, czemu oddał się z radością. Na tydzień przed transplantacją pojechaliśmy na wesele syna przyjaciela do Irlandii Północnej. David był w doskonałej formie, śpiewał, żartował i tańczył całą noc. Gdy powiedział przyjaciołom, że idzie do szpitala na przeszczep szpiku kostnego, nie uwierzyli mu. W kolejną niedzielę piliśmy szampana i siedzieliśmy w ogrodzie do zachodu słońca. To był początek najdłuższego, najbardziej upalnego lata tego stulecia — i ostatni dzień Davida w domu. Następnego ranka, w poniedziałek 7 lipca, zawiozłam go do UCH.

Smutne jest to, że gdy czytam swój pamiętnik, widzę, że miesiące od czasu postawienia diagnozy, oczekiwanie i niezdecydowanie przed przeszczepem, popchnęły nas na oddzielne tory. Coraz częściej pisałam o Davi-dzie jak o pacjencie — zwracałam uwagę na jego dziwne nastroje, nagłe ataki wściekłości, podenerwowanie, ale dostrzegałam w tym raczej objawy, a nie prawdziwe uczucia. To było nieuniknione, że stopniowo wydawał się coraz bardziej zajęty sobą, ciągle mówił o chorobie i kolejnej wizycie w szpitalu. A tych wizyt było z upływem miesięcy coraz więcej. Pojawili się nowi lekarze, którzy byli dla mnie tylko nazwiskami — doktor Panos, Cypryjka, hematolog, którą David szanował; doktor Miller, urolog, którego nie znosił, ponieważ wsuwał mu palec w tyłek; i wszechpotężny MacKinnon, który decydował o tym, czy można zrobić przeszczep, czy nie. Nie poznałam żadnego z nich — David nigdy nie zaproponował, bym wybrała się

z nim na wizytę w szpitalu. Ja też tego nie sugerowałam. Nie wiem, czy on o tym myślał, ale ja na pewno uważałam, że moje towarzyszenie mu będzie przypominało lekarzom, że jest starszy, niż się wydaje i przez to nie spełnia warunków do wykonania przeszczepu. Poza tym stwierdziliśmy oboje, że mogę mieć tendencję do mówienia niewłaściwych rzeczy i zadawania dziwnych pytań, jak zawsze — chociaż z perspektywy czasu żałuję, że tego nie zrobiłam.

Do chwili, gdy David poszedł do szpitala, to on był pełen wiary, a ja sceptycyzmu. Sądziłam, że za bardzo ufa lekarzom i ich pewności, ich schludnym procentom. Gdy mijały miesiące, docierało do mnie, że wszystkie te rzekomo proste zabiegi wiązały się ze zniszczeniami — nikt go na przykład nie ostrzegł, że po usunięciu śledziony będzie musiał robić sobie zastrzyki przeciwzakrzepowe i przyjmować antybiotyki do końca życia. Potem — w sposób dla mnie niewytłumaczalny — gdy tylko pojechaliśmy do UCH, przestałam się w ogóle martwić. Fakt, że całe skrzydło szpitala przeznaczono na oddział transplantacji szpiku kostnego, że lekarze i pielęgniarki wydawali się tacy radośni i kompetentni, sprawił, że potraktowałam to jako rutynowy zabieg. Pamiętam, jak przekonywałam Rosie, która mieszkała w Brighton, że nie musi tak często przyjeżdżać do szpitala, bo będziemy jej bardziej potrzebowali, gdy David wróci do domu, wyleczony i znudzony. Podchodziłam do tego tak, że David przejdzie sześć piekielnych tygodni, ale potem wszystko będzie w porządku.

Pierwszy tydzień na oddziale był całkiem przyjemny. Pierwszego dnia David miał mały zabieg polegający na wprowadzeniu portu naczyniowego

w klatkę piersiową. Potem codziennie spędzał kilka godzin pod kroplówką, ale w tym czasie mógł się swobodnie poruszać. Lubił dobre jedzenie, więc pierwsza wycieczka odbyła się do hipermarketu Sainsburys po porządne zaopatrzenie — wędzonego łososa, prosciutto, figi. Poprosił, żebym przyniosła mu jego szkicowniki i przybory malarskie oraz zawiozła go do tajemniczego ogrodu w Regent's Park, gdzie uwielbiał malować. Przez kilka dni wydawało się, że jego największym problemem jest nuda, więc zorganizowałam grafik wizyt przyjaciół, którzy go zabawiali, a pewnego wieczoru poszliśmy nawet na przyjęcie. I znowu, gdy David powiedział przyjaciołom, że jest w trakcie procedury przygotowującej do przeszczepu szpiku kostnego, po prostu mu nie uwierzyli — Geoffrey Wheatcroft powiedział, że jest w trakcie kanałowego leczenia zęba, co jest o wiele gorsze. Nastrój w czasie tych pierwszych dni był niemal radosny. Jediną rzeczą, która sprowadziła nas na ziemię, było to, że David musiał podpisać oświadczenie stwierdzające, iż rozumie, że ma tylko pięćdziesiąt procent szans na wyleczenie. Pięćdziesiąt procent! Wcześniej mówiono nam o dziesięcioprocentowym ryzyku śmierci, z czego wnioskowaliśmy, że ma dziewięćdziesiąt procent szans na wyleczenie. Co się stało z czterdziestoma procentami, które nie oznaczały ani śmierci, ani wyleczenia? David podpisał oświadczenie, jak zwykle nie zadając pytań.

W piątek zauważyłam, że był zbyt podniecony, mówił głośno o „pielęgniarkach z ptasimi mózdkami” i śmiał się za dużo. W niedzielę zadzwonił do mnie wcześniej rano. Ze strachu nie mógł złapać tchu. Powiedział, że w nocy nie mógł oddać moczu. Popędziłam do UCH i znalazłam go niemal bełkoczącego w panice. Nie było z nim kontaktu, dopóki nie przyszedł le-

karz. Wyjaśnił, że David przyjmował mnóstwo płynów w postaci kroplówek, że problemy z prostatą są naturalne, ale skończą się po przeszczepie. W poniedziałek miał lekko podniesioną temperaturę i zabroniono mu wychodzić na dwór. We wtorek uskarżał się na biegunkę i bóle. Był w dziwnym, niespokojnym, pompatycznym nastroju, „zbyt zajęty”, by ze mną rozmawiać. Zamiast tego dał mi do przeczytania swój pamiętnik, który był wspaniałym opisem wiru życia towarzyskiego w stylu Prousta, od czasu do czasu zakłócanego przez drażliwą żonę, która pojawiała się, by psuć mu zabawę.

W czwartek 17 lipca zaczął się przeszczep. Charles przyszedł do pokoju zabiegowego na pobranie szpiku kostnego i siedział z nieruchomym ramieniem przez cztery godziny, co nie mogło być przyjemne. Miał jednak bardzo dobry humor. Potem pojawił się nasz przyjaciel, Erie Christiansen. Razem z Davidem i Charlesem dyskutowali o historii, podczas gdy pielęgniarki podawały Davidowi krew Charlesa.

— Nie chce pani zostać, by popatrzeć? — zapytały, ale nie mogłam się doczekać, by stamtąd wyjść.

Popędziłam do Fresh Art Fair i kupiłam obraz. Po raz pierwszy kupiłam obraz bez konsultacji z Davidem. Czułam się dziwnie winna, do tego stopnia, że nie powiedziałam o tym Davidowi. To on był znawcą sztuki — miałam wrażenie, jakbym wykonała pierwszy, przedwczesny krok ku niezależności.

Następnego dnia David wyglądał nieprawdopodobnie dobrze. Miał różowe policzki, jak Charles, i żartował, że być może zamieni się w Charlesa

i zacznie nosić ubrania z katalogu Bo— den oraz mówić o swoich „kumplach”. Z czasem robił się coraz słabszy, a w weekend powiedziano, że popadł w neutropenię, czyli że miał zerową odporność na skutek infekcji. Nad drzwiami powieszono wielką tablicę z informacją, że goście muszą myć ręce i wkładać plastikowy fartuch — jego brat Luke wyglądał komicznie w motocyklowym skórzanym ubraniu i w tym żółtym fartuchu wiszącym z przodu. David miał trudności z jedzeniem — nie miał apetytu, a jego usta wypełniały afty. Zaskoczył mnie jednak, mówiąc, że nigdy się nie nudzi — być może dlatego, że powoli wycofywał się do swojego prywatnego, odurzonego lekami świata.

Pod koniec trzeciego tygodnia, w niedzielę 27 lipca, usta Davida były tak obolałe, że podawano mu morfinę, a jadł tylko koktajle. Zaczęły mu wypadać włosy i na poduszce leżały całe ich pukle; miał obrzmiałe dłonie i kostki; trzął się z powodu gorączki i mówił niespójnie. Rosie, która nie widziała go od tygodnia, była przerażona zmianą, jaka w nim zaszła. W poniedziałek 28 lipca David zadzwonił, żeby mnie poinformować, że przenoszą go na oddział nefrologii w Middlesex i że powinnam przyjść spakować jego rzeczy. Co takiego? Dlaczego? Nikt wcześniej nie wspominał o nerkach, lecz najwyraźniej przestały funkcjonować i należało zrobić dializę. Lekarz przyznał, że niewydolność nerek jest rzadkością i nie wiedzą, dlaczego do niej doszło — to był pierwszy raz, gdy zobaczyłam jednego z trans—plantologów wytrąconego z równowagi. Davida przewieziono karetką, a ja zostałam, by go spakować. Myślałam o spakowaniu rzeczy tylko

na jedną noc, ale pielęgniarki powiedziały, że mam zabrać wszystko, żeby zwolnić pokój. To zabrzmiało tak, jakby oddział umywał ręce.

Do czasu, gdy dojechałam do Middlesex i znalazłam oddział nefrologiczny, David został umieszczony w dość ponurej sali. Z przerażeniem zauważyłam, że przy drzwiach nie wisi tablica ostrzegająca i pielęgniarki oraz salowe wchodzą na salę, nie myjąc rąk. Pomyślałam, że może powinnam zostać na noc, ale David stanowczo odmówił — miałam wrażenie, że wszystko, co robiłam, budziło jego wrogość i poirytowanie. Tak więc pojechałam do domu, zadzwoniłam do Charlesa, Luke'a i córek, by im powiedzieć, co się stało. Położyłam się spać, myśląc: „Mogę obudzić się wdową”.

Jednak nie. Rano David nadal żył. Miał krwawiące usta, opuchnięte powieki, a z tyłu głowy wypadły mu wszystkie włosy. Był mocno pobudzony i powiedział, że w nocy odwiedził go jakiś Chińczyk i ukradł jego port naczyniowy. Pomyślałam, że bredzi. Potem przyszedł konsultant (z lekarzem Chińczykiem) i wyjaśnił, że port naczyniowy Davida był zainfekowany — stąd posocznica. Usunęli go w nocy. Pojawił się też miły czarnoskóry pielęgniarz, Steve, który zdołał uspokoić Davida — mnie się to nie udawało. Podłączył Davida do dializatora, który cicho warczał, usypiając go.

Przez większą część pierwszego tygodnia na oddziale nefrologii David był jak obłąkany. Czasami wpadał w paranoję, czasami był apodyktyczny, często zarzucał mi głupotę. Miał dziwną teorię déjà vu, którą starał się wyjaśnić.

— To jest teraz. Wyrwę się z tego zapętlenia tylko wtedy, gdy umrę. — Wpadał w furję, gdy nie rozumiałam i zaczynał od nowa. — To jest teraz.

Chciało mi się krzyczeć. Później znalazłam zapiski na ten temat w jego pamiętniku. Pewnej nocy powiedział pielęgniarzowi Steve'owi, że ma syna, który ma HIV — a to skąd się wzięło? Chwalił się też Steve'owi i innym pielęgniarzom, że jestem sławną pisarką. Czasami dziękował mi wylewnie za to, że jestem taka troskliwa; kiedy indziej ostro krytykował to, że jestem taka gruba. Cieszyłam się, że podczas większości wizyt towarzyszyła mi Theo, która była w stanie poprawić nastrój Davida, gdy mnie się to nie udawało. Potem jednak często wybuchała płaczem, gdy wychodziłyśmy z sali. W czasie jednej z nielicznych chwil przytomności umysłu powiedział, że jego zdaniem przeszczep się nie przyjął. Odparłam, że jest za wcześnie, by to wiedzieć — lecz w duchu zaczęłam podzielać jego pesymizm. Wszystko szło nie tak.

W tym czasie miałam okropne sny, prawie w ogóle nie spałam w nocy, przez co odpływałam w dziwnych porach dnia. Wszystko wydawało się zdezorganizowane. W gazetach pisano o strasznej historii doktora Kelly'ego, naukowca z Ministerstwa Obrony, który popełnił samobójstwo. I było tak gorąco, dzień w dzień. Temperatura rosła niezmordowanie powyżej dwudziestu pięciu, a nawet trzydziestu dwóch stopni Celsjusza. Nigdy nie robiło się chłodniej, nawet w nocy. Co więcej, był to dziwny, parny, mglisty upał, raczej jak w Indiach przed monsunem, niż w Anglii w lipcu. Na domiar złego w ogrodzie zamieszkał duży lis i przechadzał się wzdłuż murów, przez co koty wpadały do domu przez otwór w drzwiach i sikały. Wcześniej dość często mieliśmy lisy w ogrodzie, ale nigdy tak duże i śmiałe. Myślałam o nim, jak o śmierci i bałam się, że pewnego dnia wejdzie przez drzwiczki dla kotów i zawładnie domem.

Ilekroć odwiedzałam Davida w szpitalu w Middlesex — a byłam obowiązkowa, chodziłam do niego przynajmniej raz, często dwa razy dziennie — zaczynałam kombinować, jak szybko wyjść. Miałam swoje wymówki — trzeba było wykupić bilet parkingowy, wykonać telefon, podlać ogród (o Boże, zdaje się, że ogród był na pierwszym miejscu) — i zawstydziałam się, gdy pewnego dnia Steve powiedział, że może mi zorganizować miejsce parkingowe. Wyjaśnił, że są specjalne, darmowe miejsca parkingowe i zobowiązał się załatwić mi bon na jedno z nich, bo sam wie, jak drogie jest parkowanie w centrum Londynu. Rumieniłam się coraz bardziej, bo przecież stać mnie było na zajmowanie miejsca przez dowolny czas. Nienawidziłam być w szpitalu, nienawidziłam być „żoną pacjenta”, nienawidziłam tego, że nie wiem, o czym rozmawiać z Davidem — gdy próbował rozmawiać poważnie, na przykład o umieraniu, zbywałam go, a gdy opowiadałam mu o codziennych rzeczach, o przyjacielach, którzy dzwonili, robiłam z siebie idiotkę. Pytał grzecznie o moją pracę — jaką pracę? Prawie nic nie robiłam. Ja pytałam o pielęgniarki, o to, co się działo w nocy i jak jego jelita. Miałam świadomość, że postępuję niewłaściwie, wpadając jak po ogień. Porządne żony pacjentów siedziały przy łóżkach mężów niczym podpory, tylko od czasu do czasu wychodząc po filiżankę herbaty. Przebywały tam całymi dniami, może nawet nocami. David powiedział mi — jak sądzę dlatego, że wyczuwał moje poczucie winy — że te kobiety nie są z Londynu i nie miałyby dokąd pójść. Ja jednak miałam wrażenie, że one są po prostu dobrymi żonami, które trwają u boku męża przez całe życie. Pewnego razu jedna z nich powiedziała do mnie w windzie:

— Możemy tylko dawać im naszą miłość.

Poczułam się gorsza i rozgniewałam się. Rozgniewałam się też na Davida za to,— że mnie opuszczał.

Pod koniec tygodnia wyglądało na to, że David stopniowo dochodzi do siebie. Nadal łatwo się denerwował, sporo narzekał, co stało się jego zwyczajem, ale dzięki Bogu nie opowiadał już o teorii *déjà vu*. Steve ogolił mu głowę, więc nie było już przygnębiających pukli włosów na poduszce. Prawdę powiedziawszy, wyglądał dość dobrze z łysą głową. Próbował czytać gazety i rozwiązywać proste krzyżówki. Dziwne było to, że nie pozwolił mi przynieść walkmana i stwierdził, że zupełnie nie znajduje już przyjemności w słuchaniu muzyki klasycznej. Początkowo nie chciał nawet żadnych książek, ale potem przyniosłam *The Poet's Tongue* (Język poezji) i znowu zaczął czytać poezję. Pewnego dnia powiedział, że stracił pamięć. Nie pamiętał tych wszystkich wierszy, które kiedyś znał. Nie mógł sobie nawet przypomnieć *The Rime of the Ancient Mariner* (Rymowanka starożytnego żeglarza).

— Na pewno pamiętasz. „Oto starożytny żeglarz / Zatrzymał jeden z trzech...”.

David ciągnął dalej, bez wysiłku wyrzucając z siebie setki wersów. Gdy dzieci były małe, David zawsze recytował poezję podczas jazdy samochodem — mógł to robić przez całą drogę z Londynu do Kornwalii — lecz gdy dziewczynki podrosły, jęczały:

— Och nie, tylko nie *Rymowanka starożytnego żeglarza!* David stopniowo przestał to robić i dziwnie było znowu słyszeć, jak recytuje wiersz po tylu latach. Weszła jedna z pielęgniarek i była tak zdumiona, że aż po-

szła po drugą — może myślały, że recytowanie poezji jest nadnaturalnym darem, podobnie jak mówienie w obcych językach.

W niedzielę 3 sierpnia powiedziano nam, że David wytworzył kilka białych krwinek — przeszczep się przyjął! Zadzwoiłam do Charlesa i Luke'a i powiedziałam, że mają otwierać szampana — David znajdował się na drodze do wyzdrowienia. Nadal był problem z jego nerkami — co kilka dni miał robione dializy — lecz lekarze byli pewni, że jego nerki zaczną funkcjonować w ciągu tygodnia lub dwóch i że będzie mógł pojechać do domu. Do domu! Spędził w szpitalu miesiąc, a wydawało się, że upłynął rok.

Gdy David przestał zachowywać się jak obłąkany, stał się sentymentalny, często płaczliwy. Mówił o śmierci Richarda i o tym, jak bardzo mu go brakuje. Wiedziałam, że myślał o własnej śmierci i chciał o niej porozmawiać, ale z jakiegoś powodu zawsze go powstrzymywałam i stawałam się bardzo ożywiona. Pewnego dnia przyszła do niego hematolog — Cypryjka (wielu wiodących hematologów jest Cypryjczykami, ponieważ na Cyprze występuje endemiczna choroba krwi zwana talasemią) i David zapytał ją, skąd pochodzi. Kobieta odpowiedziała, że z Famagusty. Wtedy David zaczął ze łzą w oku wspominać radosne wakacje na plaży w Famaguście, które tam spędził, gdy był dzieckiem. Znowu zamarłam, jak zawsze zderwowana opowiadaniem o tej idylli jego dzieciństwa, które mi się nie podobały. Nie mogłam znieść, że plaża w Famaguście nadal — ponad pół wieku później — jest symbolem najszcześniejszych chwil jego życia. Chciałam zawyć: „Przecież byłeś szczęśliwy, wiem, że byłeś szczęśliwy przynajmniej jeszcze dwa razy, gdy urodziły się Rosie i Theo”. Innym ra-

zem próbował mi powiedzieć — znowu ze łzami w oczach — że jest bardzo poruszony moją lojalnością. Jęknęłam, gdy użył słowa „lojalność”, a nie „miłość”. Może lojalność była najlepszą rzeczą, jaką mogłam zrobić. Pamiętam, jak swego czasu ojciec stwierdził ze złością, że odwiedzam jego i matkę tylko z poczucia obowiązku. Warknęłam:

- A czego więcej chcesz?

- Miłości.

Jakie to proste. Lecz to mój ojciec („Obiecanki cacanki, a głupiemu radość”), nie kto inny, nauczył mnie utożsamiać poczucie obowiązku z miłością.

Od tej pory David w widoczny sposób czuł się lepiej i był mocniejszy. Zabierałam go na krótkie spacerunki, najpierw do końca oddziału, potem do szpitalnego ogrodu — kupiłam mu letni kapelusz, bo nadal było upalnie. W gazetach pisano, że temperatura niebawem wzrośnie do blisko czterdziestu stopni Celsjusza; w całej Europie ludzie umierali z powodu gorąca. Kupiłam zraszacz do ogrodu i z wielką rozkoszą siedziałam każdego wieczoru na dworze z lampką wina i słuchałam, jak strumienie wody padają na liście. Lis zniknął.

David odzyskiwał odporność, więc wizyty gości były bezpieczne i znowu stałam się jego sekretarką, ustalając napięty grafik, by przyjaciele mogli dotrzymać mu towarzystwa. Bardzo chciał wyjść na ulicę. Lekarze zgodzili się, więc przyniosłam jego ubrania. Zdenerwował się, gdy odkrył, że ma zbyt opuchnięte stopy, by wsunąć je do butów. Kupiłam mu jakieś

okropne sandały zapinane na rzepy. W piątek 8 sierpnia oznajmił, że pójdzie na porządny spacer, by zobaczyć kościół Butterfielda, Ali Saints Margaret Street, który tak bardzo lubił. Podreptaliśmy tam — on w miękkim kapeluszu i komicznych sandałach, ja jęcząc jak zwykle, gdy musiałam iść tak daleko, zwłaszcza do kościoła. Ali Saints był według mnie odpychający — wiktoriański kościół ze wszystkimi tymi zapachami i dzwonami — lecz David się tego spodziewał i drażnił się ze mną. Potem poszliśmy na kawę do włoskiej kawiarni przy Charlotte Street. Przez cały czas byłam zdenerwowana, ale on był pewien siebie i chętnie rozmawiał o planach na przyszłość — chciał malować większe obrazy abstrakcyjne, zorganizować wystawę. Po powrocie spotkaliśmy się z konsultantem i zapytaliśmy, czego należy się spodziewać. Powiedział, że pewnie jeszcze tygodnia lub dwóch pobytu na oddziale nefrologii, a potem być może kilku dni w UCH, lecz David niemal na pewno wyjdzie ze szpitala przed końcem miesiąca. Lekko spanikowałam na myśl, że będę musiała się nim opiekować w domu, ale David mnie uspokoił i powiedział, że jeśli będzie potrzebował profesjonalnej opieki, wynajmiemy pielęgniarkę — wiedział, że Florence Nightingale nigdy ze mnie nie będzie. Był taki szczęśliwy i pewny siebie, teraz to on mnie pocieszał i śmiał się z moich słabostek.

Ustaliliśmy, że w sobotę 9 sierpnia rano odwiedzi go Rosie, a potem nasz dobry przyjaciel, Lesley Hoskins, zabierze go na lunch. Theo miała wpaść do niego po południu, a ja miałam go odwiedzić wieczorem, gdy skończy się dializa. Tak więc dysponowałam całym dniem wolnym i poszłam popływać w Highgate Ponds, posadziłam tytoń szlachetny i od tygodni nie czułam się tak zrelaksowana. Wieczorem siedziałam w ogrodzie,

zraszacz pracował — to był najgorętszy dzień w roku — i czekałam na telefon od Davida. Gdy telefon zadzwonił około dziewiętnastej, spodziewałam się usłyszeć głos męża. Zamiast tego odezwała się siostra oddziałowa, mówiąc, że David „nie reaguje”.

Dojechałam do szpitala dwa razy szybciej niż zwykle, przeciskając się między samochodami, i zastałam lekarzy stłoczonych w sali Davida. Leżał na boku, drżąc i miał dziwnie zaciśnięte dłonie. Nie zareagował, gdy wzięłam go za rękę i powiedziałam jego imię. Lekarze stwierdzili, że według nich David miał krwiaka — wylew krwi do mózgu — co spowodowało paraliż lewej strony ciała. Poinformowali mnie, że tomografy w UCH nie działają z powodu upału i że przewiożą go do szpitala przy Queen Square na badania. Musieli podłączyć go do respiratora. W tym czasie zadzwoniłam do Theo, która przypadkiem była w pobliżu na spotkaniu z przyjaciółmi. Przybiegła na oddział, stukając obcasami o podłogę. Miała na sobie uroczą wyjściową sukienkę. Zalała się łzami, gdy zobaczyła Davida.

Powiedziałyśmy, że pojedziemy do szpitala przy Queen Square same, a nie karetką. Wyszłyśmy w gęstą noc, by pogrążyć się w jej mroku. Przyjechałyśmy pod wielki, całkowicie wymarły szpital, w którym jedyną oznaką życia była obecność dwóch strażników. Zastanawiałyśmy się, czy się nie pomyliłyśmy. Lecz strażnicy powiedzieli, że spodziewają się karetki, która ma podjechać od tyłu budynku. Jeden z nich przeprowadził nas przez ciągnące się kilometrami puste korytarze — światła były zapalone, komputery szumiały, ale nigdzie nie było widać ludzi — i czekałyśmy na przyjazd karetki na czymś, co przypominało dziecięce podwórko (później dowiedziały-

śmy się, że był to tył szpitala dziecięcego Great Ormond Street). Wreszcie ambulans podjechał i zobaczyłyśmy Davida przypiętego do noszy, całkowicie nieruchomego, z wielką rurą przy twarzy.

Razem z Theo szliśmy za noszami przez te długie korytarze z powrotem w stronę frontu budynku. Tam złośliwa Australijka powiedziała, że jest koordynatorką i że szukała nas wszędzie — brzmiało to jak besztanie za spóźnienie. Zaprowadziła nas do bardzo małej poczekalni z nastawioną na minimalną temperaturę klimatyzacją i zostawiła w tym arktycznym zimnie, podczas gdy Davida zabrano na badania. Mniej więcej po godzinie miły neurochirurg, Grek, przyszedł nam powiedzieć, że badanie wykazało rozległy wylew krwi do mózgu i, o ile w normalnych okolicznościach próbowaliby przeprowadzić operację, w tym przypadku operacja zabije Davida. Z perspektywy czasu wiem, że powinnam powiedzieć: „Jeśli nic nie można zrobić, proszę pozwolić mu odejść”, lecz byłam zbyt skołowana. Nie wyczułam sugestii i powiedziałam coś w rodzaju: „Proszę zrobić wszystko, co możecie”. Lekarz odparł, że porozmawia z konsultantami z oddziału transplantologii i nefrologii, którzy już tu jadą. Razem z Theo tak bardzo zmarzłyśmy w poczekalni, że wróciłyśmy do dusznego holu i obserwowałyśmy procesję konsultantów przybywających eleganckimi samochodami — porsche, aston martinami, mercedesami — witających się uściskami dłoni i poklepywaniem po plecach. Zniknęli na sali operacyjnej, obok której się przechadzałam i na którą zaglądałam przez okno, aż jeden z lekarzy mnie zobaczył i zaciągnął żaluzje. Po kolejnej godzinie neurochirurg przyszedł oznajmić, że lekarze uznali, iż operacja nie ma sensu i David wróci na salę

intensywnej opieki do Middlesex. W tym momencie australijska lalunia radośnie stwierdziła:

— Powinnyście iść do domu i napić się herbatki. Jutro możecie odwiedzić ukochanego.

Nadal żałuję, że byłam zbyt wyczerpana, by ją uderzyć.

Oficjalnie śmierć Davida nastąpiła w południe w niedzielę 10 sierpnia, choć dowiedziałam się, że nawet śmierć nie jest sprawą oczywistą. Theo i ja przespałyśmy się kilka godzin — biedna Rosie w Brighton czekała na pierwszy pociąg do Londynu. Umówiliśmy się, że się spotkamy w sali intensywnej opieki, jak tylko Rosie zdoła tam dotrzeć. Tymczasem zadzwoniłam do Charlesa bardzo wcześnie, prosząc, by przekazał wiadomość Maurice'owi i spróbował skontaktować się z Lukiem, który był gdzieś w Szkocji. Razem z Theo poszliśmy zobaczyć Davida w sali intensywnej opieki i obie natychmiast się odwróciłyśmy. Najwyraźniej nie żył, ale był podłączony do okropnej maszyny, która sprawiała, że jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, jak u jakiejś wiktoriańskiej figury woskowej. Lekarz wyjaśnił, że mózg umarł, ale organizm Davida można podtrzymać przy życiu przez dzień, jeżeli pozostali członkowie rodziny chcieliby się pożegnać. Przekazałam to wszystko Charlesowi, ten Maurice'owi i Luke'owi, który pędził ze Szkocji, by być przy Davidzie.

Musiałyśmy pójść z Theo na oddział nefrologii, aby zabrać rzeczy Davida — wszystkie zebrano w torby i wstawiono do szafki. W sali był już inny pacjent, nie widziałam Steve'a ani innych miłych pielęgniarek. Szef nefrologii przyszedł wyjaśnić, co się stało — na potrzeby dializ trzeba roz-

rzedzać krew, więc zawsze istnieje niewielkie ryzyko wystąpienia wylewu krwi do mózgu. Wróciliśmy na oddział intensywnej opieki. Dołączyła do nas Rosie. Zespół lekarzy zebrał się, by za pomocą eufemizmów omówić z nami pewne sprawy — ogólnie chodziło o podjęcie decyzji, kiedy odłączyć Davida od aparatury, która sztucznie podtrzymywała go przy życiu.

— Zróbcie to teraz — odpowiedziałyśmy chórem.

— A co myślicie o dawstwie organów? — zapytali lekarze.

Zgodziłyśmy się i poinformowano nas, że koordynatorka będzie z nami w kontakcie. Później do mnie dotarło, że oznaczało to konieczność podtrzymywania Davida przy życiu na wypadek, gdyby któryś z jego narządów wewnętrznych był potrzebny. Koordynatorka zadzwoniła po południu, przeprowadzając dziwny wywiad. Między innymi pytała o to, czy David kiedykolwiek uprawiał seks z prostytutkami, zwierzętami, w Afryce.

— Nie wszystko na raz — zażartowałam i usłyszałam, jak kobieta po drugiej stronie linii wydaje okrzyk oburzenia.

David by się z tego śmiał, ale nie mógł już tego słyszeć. Powiedziała mi, od niechcienia, że uznano go za zmarłego w południe.

Posłowie

Gdy organizowałam pogrzeb Davida, przedsiębiorca pogrzebowy powiedział, że obecnie jest przyjęte umieszczanie zdjęcia ukochanej osoby na przodzie karnetu porządku nabożeństwa. Uznałam, że to dobry pomysł. Miałam setki zdjęć Davida i pomyślałam, że łatwo mi będzie jakieś znaleźć. Przeglądając rodzinne albumy fotograficzne, odkryłam z przerażeniem, że nie było tam żadnego zdjęcia nadającego się na nabożeństwo pogrzebowe, bo na większości z nich były homary. Czasami były to połówki homarów leżące na talerzach w otoczeniu liści sałaty, czasami żywe, świeżo kupione, wymachujące odnóżami w stronę aparatu. Typowe zdjęcie ukazywało na pierwszym planie wielkiego homara, a w tle Davida przyjmującego zachwyconą minę smakosza.

Homary zajmowały ważne miejsce w naszych rodzinnych albumach, ponieważ David uwielbiał je jeść i nauczył to robić również nasze dzieci, więc zawsze jedliśmy homary przy okazji naszych urodzin: Theo — 5 marca, Rosie — 3 maja, moich — 22 maja i Davida — 1 czerwca — a ja robiłam wtedy zdjęcia. Były też podobne ujęcia przedstawiające Davida trzymającego bożonarodzeniowy pudding z płonącą brandy, lecz zdjęcia z homarami były bardziej pociągające. Pod pewnym względem miałam wrażenie, że zdjęcie Davida z homarem byłoby idealne na jego nabożeństwo pożegnalne, byłoby to wspomnienie niezliczonych, radosnych spotkań ro-

dzinnych. A pastor co najmniej trzykrotnie powtarzał mi, że pogrzeb ma być odzwierciedleniem moich życzeń. Tak bardzo chciałam dać zdjęcie z homarem! Lecz ojciec Davida byłby zbulwersowany, brat Charles zdumiony i nawet młodszy brat, Luke, mimo że też wielbiciel homarów, mógłby uznać to za brak szacunku. Muszę zrobić ukłon w stronę konwenansów i znaleźć zdjęcie bez homara.

Przeglądałam albumy dalej. Było tam mnóstwo zdjęć Davida z dziewczynkami na wietrznych wzgórzach Krainy Jezior, na klifach Kornwalii, ale mój mąż zawsze miał na sobie anorak i rozwiane włosy. Kilka — bardzo niewiele — zdjęć przedstawiało mnie i Davida razem, ubranych na przyjęcie i szczerzących się, choć nieco zażenowanych. Były to zdjęcia robione aparatem dzieci i poruszone. Znalazły się też nowsze fotografie ukazujące Davida, jak maluje w swojej pracowni, ale stał na nich odwrócony tyłem do aparatu. Wreszcie doszłam do wniosku, że nie dysponuję żadnym zwykłym zdjęciem Davida i będę musiała zapomnieć o pomysłe zdjęcia na karnecie podczas nabożeństwa pogrzebowego.

Gdy otworzyłam jeden z listów z kondolencjami (Jak szybko człowiek nabywa znajomości strasznej terminologii! Oczywiście, miałam na myśli listy od przyjaciół), wypadło z niego zdjęcie. Była to urocza fotografia przedstawiająca uśmiechniętego Davida na tle jakiegoś listowia. To był list od Erica Chris— tiansena. Zdjęcie zostało zrobione podczas przyjęcia z okazji sześćdziesiątych urodzin Erica przez jego żonę, Sukey. W każdym razie był to doskonały portret, a drukarze powiedzieli, że można usunąć liście i umieścić na karnecie tylko zdjęcie twarzy Davida. Tak też zrobili i

wyglądało to dobrze — chociaż gdy patrzyłam na karnet podczas nabożeństwa, żałowałam, że nie ma na nim homara.

Później kilkoro przyjaciół pytało, czy mam kopie tego zdjęcia, które mogliby zachować. Wydrukowałam z tuzin. Zachowałam oryginał — z listowiem — i oprawiłam w srebrną ramkę. Wiedziałam, że powinnam mieć zdjęcie Davida na kominku, więc postawiłam to oraz zdjęcie w anoraku, na którym widać go razem z córkami w Kornwalii. Idąc na kompromis, umieściłam też zdjęcie przedstawiające Davida z homarem, ale nie oprawiłam go w ramki, tylko wsunęłam je niedbale w oprawę lustra wiszącego nad kominkiem. Miałam wrażenie, że robię wszystko, co powinna robić wdowa.

Kilka tygodni później kolega Davida, Paddy Scannell, przysłał mi gazetkę z University of Westminster z nekrologiem. Była to dłuższa wersja nekrologu z „Guardian” i nie zawierała nic interesującego. Sensacyjne było jednak zdjęcie, jakie wykorzystano. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Ukazywało rozpromienionego Davida, szczęśliwego, pełnego uniesienia i, co mogłam stwierdzić, wstawionego. Uśmiechał się z wielką sympatią do aparatu, albo raczej do osoby, która ów aparat trzymała. Napisałam do Paddy'ego z podziękowaniem za nekrolog i zapytałam, od niechcienia, skąd jest to zdjęcie i czy mogę zdobyć jego kopię. Wyjaśniłam mu, że na większości zdjęć Davida widać homary i że jego portrety należą do rzadkości. Zapytałam — znowu mając nadzieję, że od niechcienia — kto wykonał to zdjęcie i przy jakiej okazji.

Paddy odpisał, że zdjęcie należy do koleżanki, która obecnie przebywa w Stanach, ale załatwi mi kopię, gdy tylko koleżanka wróci. Ona! Cóż, potwierdziło się to, co podejrzewałam. Od pierwszej chwili, gdy ujrzałam to zdjęcie, było dla mnie jasne, że David był zakochany w osobie, która je robiła. To nie tylko czułość była w jego uśmiechu, raczej pewność, jakby twierdził: „No dobra, jestem pijany, ale wiem, że nie masz mi tego za złe”. Nigdy nie pytałam Davida, czy miał romanse, ale potrafiłam dostrzec momenty, w których wracał późno z pracy lub gdy miał tajemnicze dodatkowe wykłady lub wyjazdy służbowe w weekendy. I kiedy był dla mnie szczególnie miły. Oczywiście, zawsze był dla mnie miły, lecz zdarzały się chwile szczególnej sympatii, które według mnie odzwierciedlały poczucie winy.

Byłam pewna, że dysponuję dowodem jego niewierności rozumiałam, że dowód ten nie wystarczyłby w sądzie, niemniej dla mnie był oczywisty. Jakie to we mnie budziło uczucia... Mieszane, ale przede wszystkim ulgę. Ulgę zdjęcia ze mnie wielkiego ciężaru poczucia winy, które gnębiło mnie od chwili jego śmierci. Poczucia winy, że nie spędzałam z nim dość czasu w szpitalu, że siedziałam w ogrodzie, gdy on dostał wylewu, że nie wsłuchiwałam się w jego zmartwienia ze współczuciem, że byłam taka żywiołowa. Mówiłam mu: „Ależ ty nie umrzesz. Lekarze wiedzą, co robią”. Poczucia winy ciągnącego się od wieków przez wszystkie lata naszego małżeństwa. Nigdy nie byłam dobrą żoną; nie powinien się ze mną żenić; zasługiwał na kogoś lepszego. Jeśli jednak był niewierny, wszystko stawało się o wiele łatwiejsze.

Wyzbycie się poczucia winy było tym, czego wówczas potrzebowałam. Pozwoliło mi przestać myśleć obsesyjnie o tym, co się stało w szpitalu i zacząć myśleć o tym, jak mam żyć dalej. Od chwili śmierci Davida byłam niemal sparaliżowana, teraz poczułam wielki przypływ energii, dzięki której zorganizowałam wystawę jego prac, zmieniłam wystrój domu, aranżację ogrodu przed domem, postawiłam ogrodzenie. Kilka miesięcy później przyszedł kolejny list od Paddy'ego. Było w nim zdjęcie. Potrzebowałam chwili, by je rozpoznać — rozpromieniony David, lekko wstawiony, ale też drugi mężczyzna, siedzący obok, też rozpromieniony i też lekko wstawiony, wspierający się na ramieniu Davida. List Paddy'ego wyjaśniał, że drukarze usunęli drugiego mężczyznę na potrzeby nekrologu. Tym mężczyzną był Frank H., kolega Davida, a zdjęcie zrobiła jego żona w czasie przyjęcia pożegnalnego przed wyjazdem Franka.

Wielki Boże! Przyjęcie pożegnalne Franka H. zapisało się w mojej pamięci jako jeden z tych wieczorów, gdy David z tajemniczych przyczyn wrócił późno. Pamiętam, co wówczas myślałam: „Nigdy nie słyszałam o jego koledze, Franku H. Dlaczego więc uczestniczył w jego przyjęciu pożegnalnym?”. Jeśli miałabym spisać powody, dla których kiedykolwiek podejrzewałam, że David nie był mi wierny, przyjęcie pożegnalne Franka H. — owego tajemniczego kolegi, o którym nigdy nie słyszałam — znalazłoby się zapewne na początku listy. A oto i Frank H. — dość przyjemny facet, sądząc po wyglądzie — obejmujący czule ramię Davida i uśmiechający się do aparatu tak samo, jak David. Gdy przyjrzałam się zdjęciu uważniej, dostrzegłam, co ukazywało. David był nieco wstawiony, ale Frank H. był pijany — opierał się na ramieniu Davida zapewne po to, by się nie przewró-

cić. David uśmiechał się do pani H., chcąc ją uspokoić. Śmiał się ze starego, dobrego Franka, drogiego kolegi, który był podchmielony. W każdym razie tak odczytałam to zdjęcie i dlatego zajmuje ono dumne miejsce na kominku. Jak już wcześniej wspomniałam, wierzę głęboko, że drugiego człowieka nie da się w pełni poznać — takiej lekcji udzielił mi Simon przed laty.

TLR

Podziękowania

Pragnę podziękować Tony'emu Laceyowi z wydawnictwa Penguin za wiarę we mnie; podobnie dziękuję swojej agentce Gili Coleridge. Dzięki dla Iana Jacka za opublikowanie pierwszego tekstu w „Granta”. Dziękuję też Nickowi Hornby'emu, Amandzie Posey i Finoli Dwyer za stworzenie tak wspaniałego filmu. Jestem wdzięczna wszystkim kolegom z «Observera», lecz szczególnie pragnę podziękować Johnowi Mulhollandowi, Jane Ferguson i Nicoli Jeal, którzy przymykali oko na moje zaniedbania w czasie, gdy kończyłam książkę. Przyjaciół, którzy pomagali mi słowami zachęty jest zbyt wielu, bym ich tu wymieniła, ale wiedzą, o kim mówię. Jak zwykle wyrazy miłości i wdzięczności dla moich córek, Rosie i Theo. Dzięki za stałe wsparcie.